

Anna Markowa • Wiesław Szymański • Jan Leończuk • Ewa Alimowska
Janusz Taranienko, Leonarda Szubzda • Joanna Papuzińska • Janina
Kozak-Pajkert • Małgorzata Dobkowska • Elżbieta Michalska • Halina
Kabac • Zbigniew Patryk • Krzysztof Dąbrowski • Agnieszka Krotke •
Regina Kantarska-Koper • Irena Słomińska • Irena Grabowiecka • Janina
Puchalska-Ryniejska • Katarzyna Drzemicka • Roman Kowalewicz •
Barbara Lachowicz • Krystyna Gudel • Joanna Dawidziuk • Joanna
Pisarska • Wojciech Załęski • Andrzej Wydmieński • Jan Filewicz • Marek
Dobrowolski • Tomasz Wilga • Józef Budziński • Zofia Maria Dembińska •
Julian Dworakowski • Teodor Sokołowski • Elżbieta Skąpska •
Eugeniusz Szulborski • Roman Kowalewicz • Marek Kurasz • Stanisława
Suszyńska • Anastazja Banasiak • Janina Osewska • Janusz Sowiński •
Mateusz Kołos • Dariusz Tichoniuk • Zofia Piłasiewicz • Dawid Klepadło •
Anna Krot • Kamil Dąbrowski • Eligiusz Buczyński • Ewa Kondraciuk •
Kamila Korobkiewicz • Iwona Gołko • Piotr Balkus • Bogdan Jankowski •
Juliusz Szczęsny Batura • Iorgos Gotis • Hatif Janabi • Irena Słomińska •
Irena Grabowiecka • Krzysztof Gedroyć • Elżbieta Cichla-Czarniawska •
Eugeniusz Szulborski

EPEA

almanach

Białystok 2008

EPEA

ALMANACH

ak

KSIĄŻNICA PODLASKA IM. ŁUKASZA GÓRNICKIEGO
BIAŁYSTOK 2008

Redaktor naczelny:
Jan Leończuk

Redakcja:
Janusz Taranienko
Daniel Znamierowski

Redakcja techniczna:
Ewa Frymus-Dąbrowska

„Zrealizowano przy wsparciu finansowym
Urzędu Marszałkowskiego Województwa Podlaskiego
w Białymstoku.”



TOM VII

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca

ISBN 978-83-60368-02-2

Skład i druk:



MARIUSZ ŚLIWOWSKI
15-703 Białystok, ul. Zwycięstwa 26c lok.7
tel. (85) 869-14-87, kom. 0602 766 304
www.prymat.stnet.pl, e-mail: prymat@stnet.pl

Anna Markowa

1932–2008

W atelier „Rembrandt”

W atelier „Rembrandt”

Przy ulicy Lipowej

Zwanej modnie

Rue de Tilleul

Na fotelu malarstwa

Pierwsza fotografia

Za oknem świat

Oswojony gościnny

Nowy dwudziesty wiek

Będzie piękny

Tak mówią

Wieczni optymiści

Nikt nie widzi

Że nad horyzontem

Wstaje daleka luna

Może właśnie to dziecko

Już młodziwiec

W latach wielkiej wojny

Na innej fotografii

Nakreśli słowa

„A kiedy już nie będzie nas”

Poprosi o wspomnienie

Kobietę w czerni

Później zapadnie cisza

Między burzami

Modern – retro

W Elektro – Teatrze Modern

Zwiewne panny

Wypłakują oczy

Na filmie „Wrzos”

Kochają się namiętnie

W pięknym ordynacie

Michorowskim

Wyobraźnią

Są tam – na ekranie

Wielbią marnego aktora

Rudolfa Valentino

Białego szejka

W Elektro – Teatrze Modern

Charlie Chaplin

Titina ach Titina

Mistrz wabi gorączką złota

Śmiesz przepowiada

Czas dyktatorów

Reklamy krzyczą

„Wszystko tu zobaczysz

Ponury dramat

Pogodną komedię

Farsę sensację”

Elektro – Teatr Modern

Zapomniane – niezapomniane

Kino retro

Jeszcze trwa ta niedziela

Zaraz zagra orkiestra
Oni ruszą w tan
Gdzie różdżka czarodziejska
Która ich ożywi
By zaczęli wirować
W rytm modnego walca
Radośni roześmiani
Nieskończenie młodzi

Słoneczny park
Restauracja Raj
Brakuje tylko
Gajów oliwnych

Zaraz zagra orkiestra
Oni ruszą w tan
Nieświadomi przeznaczeń

Nie wiedzą że nadchodzi
Anioł z mieczem ognistym
Który ich rozproszy
Na cztery strony świata
Daleko od raju

Ale jeszcze trwa
Ta miniona niedziela
Na fotografii

Zamieszkali w albumie

„Gdzie są chłopcy z tamtych lat
Gdzie się pogubili”
Kto to śpiewał?
Marlena Dietrich?
Edith Piaf?
Nie pamiętam

„Gdzie dziewczyny z tamtych lat
Gdzie się pogubiły?”

Tacy przystojni
Takie urodziwe
Zamieszkali w albumie
Oprawnym w skórę
Z resztkami wzorów
I złocen

Na twardym kartonie
W barwie sepia
Twarze poważne
Lub uśmiechnięte
Wystudiowane pozy
Na specjalne życzenie
Fotografa

Potem
Oni poszli na wojnę
One pozostały
Zmieniły strojne suknie
Na surową czern

Nie wiadomo kto wrócił
Zdażył się zestarzeć
Która z dziewcząt zaznała
Spóźnionej miłości
A kto pogubił się
W ostatnich słowach piosenki
„Jak to właściwe jest”

Krótko trwało

Krótko trwało
Od wczoraj
Do dziś

Ktoś majstrował
Przy werku zegara
Wskazówki oszalały
Już za pięć dwunasta

Nie czuję lęku
Przed lustrem
Widzę spodziewane
A jednak pytam
Dlaczego tak krótko

Gdzie

Nie wrócę do źródeł
Wyschły
Nie ocalę korzeni
Zgniły
Nie zamieszkam w tamtym domu
Zapominam
Gdzie był
Czy był

Ślady

Moja piękna
Ciemnowłosa matka
Wrzuciła kamień
W milczącą wodę stawu

Wróżyła
Albo chciała zostawić
Dziecinny ślad
Gestu
Dnia
Godziny

Miała rację
Pamiętam
A przecież tyle
Zapomniałam skrzętnie

Zabronię
Mojej pięknej
Ciemnowłosej wnuczce
Bawić się
Śladem na wodzie

Obecni inaczej

Niemodne domy
Które wspominają
Zamierzchlą dawność
Te małe okienka
Za bladą szybą
Zarys ludzkiej twarzy
Nikt nie wie czyjej
Bo nikt nie pamięta

Ci co odeszli
Chodzą po ulicach
Tak nierealni
W staroświeckich strojach
Nikną za bramą
Jakieś kamienicy
Przy biednych kramach
Nieruchomo stoją

W zaułku wąskim
Przed dumnym pałacem
I w bujnym parku
Pogrążeni w ciszy
Zastygli w trwaniu
Obecni inaczej
Magiczne oko
Urok starej kliszy

Epilog – Prośba

Pomódl się za mnie
Gdy tracę nadzieję
I nawet drzewa
Nie są mi przyjazne
Spoglądam w ciemność
W porze – kiedy dnieje
A kiedy mroczno
Nie potrafię zasnąć

Pomódl się za mnie
Bo dzisiaj nie umiem
Słowa jak plewy
Jak wyschnięty orzech
Nie widzę twarzy
W bezimiennym tłumie
Rzeki wędrują
Do martwego morza

Pomódl się za mnie
Gdyż jestem bez domu
W murach z betonu
Umiera się w ciszy
Nie wracaj sennie
Po prostu się pomódl
Jeśli cię słucha
To i mnie usłyszy

Wiesław Szymański

Pożegnanie Anny Markowej

Obraz pierwszy.

Jej radiowy gabinet. Szara smuga papierosowej mgły, sączące się słabo światło lampki na biurku i Ona – pochylona nad kartkami z kolejnym felietonem. Uważna, skupiona, cyzelująca słowa, by jak najmniej ich użyć do powiedzenia jak najwięcej.

I to ciche – Chodź, chodź, no co tam masz ? Coś podpisać? A o czym to jest?

A kiedy zdarzało się, że kreśliła w moim tekście całe akapity – powtarzała z uśmiechem – felieton to trudna forma, trzeba się jej uczyć całe życie.

Dziś już to wiem, Pani Anno, dziękuję za każdą lekcję.

Obraz drugi.

Galeria Słędzińskich. Promocja kolejnej książki. Pani Anna czyta swoje wiersze. Starannie, dobitnie, z widocznymi na twarzy emocjami.

Czyta i opowiada.

O wadze słowa, i o tym – jak trudne to tworzywo. I żeby go nie nadużywać.

I że nie pisze się dla siebie, tylko dla innych. Bo słowo poetyckie powinno poruszyć w czytelniku tę najbardziej drażliwą strunę. Inaczej – szkoda słowa.

Dziękujemy, Pani Anno, za wszystkie słowa. Za wszystkie wiersze. Za wszystkie książki.

Obraz trzeci.

Białostockie osiedle Piaski. Mieszkanie na 11 piętrze. Zapach kawy zmieszany z deszczem pytań: – A co tam w środowisku? Są nowe książki z wierszami? Ktoś wydał coś nowego? A czytałeś nowego Różewicza... przegadany, prawda?

I koniecznie – Co słyszeć w Radiu? I te chwile szczęśliwe, kiedy pochwalić się mogła wiadomością, że piosenka z jej tekstem znów gdzieś coś zdobyła... że młodzież robi musical...

I jeszcze najważniejsze, że nowy tomik Sylwii będzie lada dzień...

Gdyby nie Pani, czy ktoś wiedziałby, jakie piękne wiersze pisze Sylwia...

Dziękujemy, Pani Anno.

Za piosenki, felietony, słuchowiska, powieści i opowiadania. Ale przede wszystkim za wiersze.

I za to, że ponad trzydzieści lat temu wybrała Pani Białystok. I że odkryła go Pani dla siebie... i dla nas – tak jak napisała to Pani w jednym z wierszy:

*Odkrywałam obce lądy
wędrowałam przez czas i pamięć
i tylko jedno pokonało nas
normalne, zwykłe, przemijanie –*

Słowo jest odkrywaniem lądów i światów. Słowo pozwala za nic mieć czas i przestrzeń. Wierzę, Pani Anno, że to normalne, zwykłe przemijanie – zwycięża jedynie naszą fizyczność.

Ducha, zakłętego w słowach wierszy, pokonać nie jest w stanie.

Jan Leończuk

* * *

szukam Panie tej jedynej drogi
na której dotknąłem Twojego Istnienia
w nagości
w koszulinie imienia
które nad brzegami Jordanu
zbierało
kamyczki olśnienia

albowiem tylko wierność
z miłości dobyta
odnaleźć drogę zdoła

w ciemności zachwytach

szukam wciąż drogi
tej jedynej drogi

* * *

tęsknoty jak drzewa o wiosnie obnażone z liści
pozostają bezmowne bo o czymże miały śnić
kiedy zerwane z gałęzi i gnane nieznaną siłą
wypędzone ptaki odleciały w niepowrotne przestrzenie

jak sny rozebrane z snienia
kołaczą do drzewi

tęsknoty
okutane starością
uczą się z pokorą Alzheimera

* * *

dotknie i skaleczy
nie dotknie a ból przywoła
słowem wychłószcze
a kiedy zamilknie kamieniem zatoczy
za oknem droga pobiegła w tęsknocie
dwa ślepie kocie
księżyc ociężały nad snem strwożonym
sarna spłoszona
i cisza domu
choć chleb na stole
i nóż
kto dotknie mego serca...

* * *

zważyłem w swoje kości
nie są rusztowaniem dla moich pożądań
język ogarnięty bólem
bełkocze już niezrozumiałe frazy
włosy nie odczuwają
wiatru zaplątanego w snach
ręce bezradne
nie cieszą się snem spracowania
powaga w śmiertelnym skurczu
kamienieje
tylko serce
ociężałe samotnością
nie traci nadziei
i stawia kolejny krok
w nieznane

* * *

szukając dla dłoni ciepła
pod stopami odnajdywałem ciężar pożądania
i zziębnięte serce

i tak mijały dni i noce

świat w fotoplastikonie
prezentował życie
w nabrzmiałych bicepsach
silikonowych piersiach
westchnieniach
pokrytych różem poranków

a dłonie niecierpliwe
szukały jeszcze ziemi
nie jałowej
i zimnej

odtrącone w bezsenność
na krawędzi świata
a może na skraju łóżka
i kartki papieru
odchodziły

* * *

zapisuję dzieciństwo coraz bardziej obce
nie przystają bućki z pomponikiem
ani kubraczek z czerwonym sercem
ni gwizdek szerniał

wszystko jest obce i nierozpoznawalne

mama skąpana w sepii o coś bardzo prosi
dziadek w niemieckim paszporcie
niezłomny w głuchocie
i cisza kurzem snu przykryta
jakby śmierć
w tej szufladzie
skazana na życie

nic już nie ma
szepczą stare tapety
i wiatr za oknem
niczym śmierci welon

życie
dzieciństwo
roztrwonione

* * *

zanim Twój oddech zamknie moje usta
i sny odpłyną z posoczem krwi mojej
udziel mi siły aby wzrokiem swoim
utulić to co serce moje nie zdążyło

pozostaw Panie to czego nie darowałem
mojej Basi co nieba mi chciała uchylić
snów dalekie wołanie nad łąkami ciszy
wiosennych nadziei jak pierwsze kochanie

moim synom dozwól aby wiersz serdeczny
na progach ich domów strzegł radości życia
a potem w horyzontach uchyl małą furtkę
do ogrodów zielonych wiecznego kochania

a przyjaciołom jeżeli z krwi mojej
odczytali co było testamentem śnienia
daj Panie aby odtąd w cieple serca swego
ogrzeli moje zziębnięte i stęsknione dłonie



Ewa Alimowska

Cisza

Zwinięta w kłębek śpi na strychu cisza
na kocich łapkach mrok się sadem skrada,
dym z jabłoniowych gałęzek rysuje
na wypłowiałym niebie nieme słowa.

Nikt już w niebieskiej miednicy nie niesie
chrustu z ogrodu: liszaje emalii
zdartej do kości kreślą obce znaki;
nikt już nie siada na zydlu drewnianym,

przed gębą pieca rumianą, by wrzucić
suche patyki w wiecznie głodne usta
tego, co własne pożarł dzieci, Czasu,
a one z głębi mroku, z wnętrza ciszy

śpiewają teraz moimi wargami
wiecznie tę samą piosenkę i ręka
jak z pergaminu drzwiczki pieca domknie,
pył strzepnie z kolan, podniesie się dziadek,

szurając startą, spłowiałą podeszwą,
emaliowaną misę w kąt odstawi ciemny,
prostuje plecy, spojrzy prosto na mnie,
przez przepaść nocy, która nas rozdziela.

Graale

Kocimiętka w blaszanym wiadrze obok pompy,
pompa taka, o której by pisał Konstanty,
żeliwny cud natchnienia. Spomiędzy gałęzi
orzecha dzieci śmiech, pomiędzy słowami
lęk się skrada, że minie agnostyczna chwila
i znowu ciało ciałem będzie, znowu
kontury rzeczy staną się zbyt wielkie,
większe niż rzeczy same.

Mrok na kocich łapkach
przebiega opłótkami, cień jaskółki czarny
tnie niebo krwawą kreską, gdzieś daleko wiara
depcze pięty nadziei, u mnie tylko miłość,
trochę śmieszna, w za dużej na siebie sukience,
w butach po starszej siostrze, której włosy czarne
wiatr rozwiewa daleki. U mnie pachnie mięta,
drży struna serca, domy podkasują belki
niby spróchniałe kiecki i wędrują dróżką
przez stare klony, lipy ścięte wydeptaną,
do arki serca, tu, gdzie ocalone
święte graale codziennego dnia.

Lubię...

Lubię kiedy kielkuje w mroku ciszy ziarno,
kiedy się kocur nocy na kolanach nieba
układa mrucząc, kiedy kędzierzawa głowa
wiatru opada miękko na wieczoru ramię
i wreszcie gwiazdom można patrzeć prosto w oczy,
wędrować tam, gdzie swoje stragany rozkłada
snu handlarz, za garść złudzeń brzęczącą każąc płacić
monetą życia.

Lubię ranki, kiedy dzień pośpiesznie
pełne nadziei bańki trzęsącym się wozem
na targ wiezie, wesoło pokrzykuje, śmiechem
napęlnia aż po nieba strop ulice gwarne,
i tyle wokół słów, tak się splatają echa,
turkoty, obietnice, marzenia, nadzieje...

Ale najbardziej lubię południową chwilę,
puste, nieme podwórka, cegły, słońca żarem
wypalone, bez czarny, rdzą splamione wiadra,
napis na murze, w nicość ślący okrzyk niemy,
jak z Pompei wołanie, którą popiół wieków
okrył jak szary całun; pelargonie krwawe
palą się tylko w oknach, cień się kuli w bramie,
zakochani przechodzą tańcząc na obłokach,
i tylko ja, jak śmieszny archeolog, zbieram
na kolanach stłuczone tabliczki pamięci,
na których słowa „mene, tekel, fares” pisze
koścista ręka czasu w wiekuistej chwili.

Do synka

Nie zapomnij tej wierzby, z której dziadzius próchno
wybierał delikatnie przeźroczystą ręką,
potem kadził ołtarze pszczelich bogów, kapłan
w kapeluszu płóciennym, z zasłoną na twarzy,
jak Mojżesz, który chwałę skrywał i brak chwały,
gdy odeszła. Pamiętaj lwów kamienne paszcze,
które ząb czasu ugryzł i one nawzajem,
lecz połamały zęby a on na rydwanie
ognistym przemknął, burząc dom po domu, zamek,
dzwonnice, kościół, miażdżąc politurowane
parkiety, sekretery, stoły, kandelabry,
i tylko lwy zostały przy do nikąd bramie,
pod którą stałeś ze mną, tuląc drobną rączkę
do mojej ręki kruchej, słabej, nie znaczącej
więcej niż grzechot kości na pamięci stole.
Nie zapomnij ogrodów, pelargonii, wiśni,
sterty drzewa pod lipą, której dzisiaj nie ma,
klonów zrąbanych, bzów na cmentarzu wyciętych,
słowików, pocałunków, wytartych medali
łez, które już nie spłyną, uśmiechów i ust,
które śpiewały panom i damom Bizancjum,
o tym, jak wiele kazał płacić chytry celnik czas
za urodę, tak kruchą, ledwie kilku chwil.

Janusz Taranienko

* * *

synowi

całkiem niedawno
ty byłeś mną
używałeś moich źrenic uszu palców języka
a moje zdanie
przekształcało znaki zapytania
w prostoliniowe drogowskazy

teraz
gdy umiesz już odróżniać smaki kolory dźwięki
kiedy potrafisz oznaczyć przestrzeń miarą tęsknoty
zaś przeszłość liczyć tyle
ile waży dzisiaj

teraz więc dosyć
bym ja
był tylko murem

(lipiec 2007)

wypowiedź; z niepamięci

coś miałem
jakiś wrazenie odczucie czy może zamiar projekt plan
myśl zapewne

o czymś
ku czemuś

czas przyszedł wyimaginowany
wymyślany na przekór urzeczywistniany
na gwałt interioryzowany przetwarzany
w wiarę w nadzieję
że tak!

no no! przemieniany
w prawdę
w słuszną prawdę niezbywalną
niepodważalną ideę świetlistą w cel
w walkę w tyralierę ataku
pod sztandarami i z bagnietami na sztorc

a może na stos

nie pamiętam

moje jakoby niepamięci
znużone

(listopad – grudzień 2008)

* * *

dziękuję ci dziękuję
już zrozumiałem wiem
wystarczy
mój wspaniały od zawsze odległy ode mnie
świecie
to doskonale że przypomniałeś mi swoje
zasady
kogo puszczać przed
sobą komu
się kłaniać wcześniej a komu
lizać dupę

jestem ci wdzięczny za przywrócenie równowagi
w moim niesfornym umyśle
w niestosownych słowach i zachowaniu
już poznałem
twoją regułę pierwszą by
nie patrzeć prawdzie w oczy

prawda nie ma oczu
prawda nie ma ciała
nie ma po co stać
za prawdą nie da się jej wywiesić
na sztandarach wyrycić
na pomnikach wyśpiewać
na barykadach wykrzyczyć
na transparentach wyszeptać
na nagrobkach
nie ma po co dać się poćwiartować
za tę materialną nieobecność idei

jedyna prawda zależy od wysokości
foteli a reszta
a ta cała nieprzemilczana reszta
to bezsensowne wymówki
wykręty wygibasy
wymiociny wy

ech ta woda te słowa

(listopad – grudzień 2008)

papierosowo, tu-tam na balkonie

/z Białoszewskiego/

tu na balkonie ja
w bluszczach i w pelargoniach jak konie
alegorie!
i w
w doniczkach tujach
jest tu jam
i tutaj się
po jedzeniach papierosowo
w krzak!

a tam na blacharskim nowochamowie wy
na balkonie papierosowo
w tujach?
w doniczkach z czym to?
tam

Leonarda Szubzda

Gruszy z ulicy Grodzieńskiej

ocalić twoją poranną świeżość
urodę panny młodej
skrzydła aniołów
zabłąkanych w gałęzie

znieruchomiła
klęczę prawie
w oknie

modłę się
by wiatry cię ominęły

płynę w sad dzieciństwa
pierwszej komunii
pierwszej miłości
ślubnego welonu

tamta jestem prawdziwa
nie ta
zamotana w szarość
nie odróżniająca pór roku
oblubienica betonu

drepcę w kółko
tą samą wciąż ścieżką
na której zakwitasz
aby mnie uratować

W Puszczy Knyszyńskiej

las wciąż ten sam
księżyc i gwiazdy te same
i kamienie

one widziały

powstańca przybitego lancą do ściany
zakatowanych nahajami
powieszonych
i rozstrzelanych

padają stare krzyże
kapliczki chylą się ku ziemi
umierają dęby
i święte sosny

one słyszały

broni szczęk
i rżenie koni

na mogiłach urosły drzewa
ktoś pod lasem wyorał ludzkie kości
chodzimy po krwi rozsieczonych

spopieliała w pamięci
tamta miłość

testament
milczącej ziemi

Kasztany z ulicy Sikorskiego

kiedy przychodzi czas godów
wpinają w szalejącą zielen
skrzydła motyli
skrawki pierzastych obłoków
delikatne strusie boa

podobne rajskim drzewom
wabią tak
że musisz przystanąć
zapatrzeć się
i zadziwić
jak można
tak zupełnie nie panować
nad swoją urodą

W Różanymstoku

z Twojej łaski
staję przed Tobą Matko

pielgrzym
utrudzony dźwiganiem
skamieliny sumienia

w naszym świecie
samotnych planet
okaleczonych niepokojem
wygasa ciepło

ocal nas
przed życiem
bez miłości

Mizar

na pomnikach wersety z Koranu
półksiężyce i gwiazdy
egzotycznie brzmiące imiona

spoczywają w ciszy
kołysani śpiewem sosen
wyznawcy Allacha

tutaj przyszło im żyć
i umierać

przeszli daleką drogę
przed wiekami

z Krymu
z rozległych stepów Kipczaku
ze Złotej Ordy

pięknie jest
tak trwać

ocalić siebie
gdy wokół inność

tutaj wiem
nie ma inności

piasek i woda i drzewa
nasze wspólne

i ziemia jedna

/Bohoniki, czerwiec 1994/

Joanna Papuzińska

Suchowola

Żałosne ochędóstwo:
poduszka pluszowa,
pamiątka od komunii,
niedoleżnych portretów szeregi.
I nikt nie płacze już nad biedaczną
z rozbitą głową
i szlamem w tchawicy.
Coś mu się majaczyło
w dziwnej gorączce
co dotknęła wielu,
śmiesznej gorączce
wiary, miłości, nadziei.
On umarł na nią
my dziś wszyscy zdrowi.

Janina Kozak-Pajkert

Cykl „Zaduszki”

1. Moi bohaterowie powszedni

Rodzicom – z miłością

Nie prosiłam
żebyście nazywali gwiazdy,
uczyli gry na harfie,
jadali ze mną
na uroczystej porcelanie
albo przypominali mi
o Powstaniu Warszawskim.

Nawet aspirynę i łyk wody
miałam pod ręką
na stoliku nocnym.

Kochałam Was tkliwie
i wiernie.
Może nawet wywoływałam
podziw wśród Archaniołów.
Nie udzielili mi jednak mocy
przywracania Wam uśmiechu
ani krwi,
lecz ofiarowali promień miłości.

2. Duchy

Moim Ukochanym

Duchy nie odlatują.
podobno są lekkie i przeźroczyste.
Obserwują nas z ukrycia
i wskazują proste drogi.

Matka przychodzi we snach
w pięknym koronkowym kołnierzyku.
Palce ojca tak samo
przykurcza nadmierny trud.
Śmiech brata pozostaje wciąż
junacki i porywający,
a nogi sióstr są tak piękne,
że mogłyby stanąć obok
Marleny Dietrich.

Tylko mąż i brat
nie lubią się przypominać
zbyt często.
są dumni.
Wierzyli w wyjątkowość swoich idei.
Śmierć ich zaskoczyła
chwytem poniżej pasa.

A matka zjawia się nad ranem,
przechyla głowę i mówi –
wiesz jak to jest –
mężczyźni w naszej rodzinie
przypadkiem czytali poezję
bo zawsze byli „cisi” i „ciemni”.

Przyjdą nagle
z rozkazem od Boga.
Powiedzą „chodź”.
I pójdziesz
pokorna i kochająca.
Zapisz to:
„z rozkazem od Boga”.

Ukochani poeci

Patrzę z rocznicowych portretów
i ze srebrnego ekranu.

Przypominają się bezgłośnie
pewni, że przyjdziemy
ze zniczem i zapamiętanym wierszem.

Przecież nam stawiali znaki
zakazów i przyzwoleń,
ostrzegali krzykiem,
nagradzali słowami
tak misternymi,
że tylko Archanioł
mógł z nimi rywalizować.

Czasem zjawiają się
we snach,
mówią językiem Niebian.
Nie rozumiemy Ich
i nie możemy zatrzymać.
Choć pełni aprobaty,
są zbyt nienaganni –
przychylność objawiają
wyłącznie uśmiechem.

I rano na „dzień dobry”
mówimy do szyby:
jesteście
to dobrze
dziękuję.

Małgorzata Dobkowska

Amazonka

nie załapałam się na statek jak zwykle
przyszłam za późno jednak już tradycja
wszystko się dzieje w spowolnionym tempie
i nagle przyśpiesza
nieme kino niespodziewany dźwięk w uszach
przenikliwy niczym strzał z tulejki

zapewne robię to bezwiednie specjalnie
udaję że ich trochę gonię swoim
małym czółnem wydłubanym w drewnie
i skręcam

a serwowali śniadanie mistrzów
obowiązkowo jajka szynkę kawę
i pierwsze na trawie tylko szybkie
bez zbytnej degustacji tudzież kontemplacji
w obawie przed mrówkami i innym żywiołem
np. maskami dzikich tkwiących złych szuwarach
nie tak jednoznacznych jak w radosnych programach
telewizji rodzinnej

panowie w czapeczkach jasnych garniturach
ćmią leniwie kingsajzy popijając drinki
pod wrażeniem wstrząśnięte
panie nerwowo spokojne pogodne
w garsonkach ciemnych okularach
chadzają powoli połyskując nóżką
wyciągam lupkę oglądam kończyny
lądującego owada piękny może nieszczęśliwy
nie mogę się powstrzymać dorabiam legendę

w zamaskowaniu – kauczuk bluszcz dziki wodorost
znów wychyńłam z meandrów
te zagadki rzeki prakoryta różnaitości
prądy i spiętrzenia
parostatek świeci w dali bielą i muzyką
powtórnie udaję że ich nieco gonię
dla zasady oraz dla grzeczności
a oni krzyczą również i rzucają koło
z drugiej strony burty

odbijam odpływam spokojna pod drzewa
gałęzie nadbrzeża patrzę orchidee
siedzą kolibry i piją sok

Modlitwa (Obrazki łódzkie)

dzisiaj święto
siadam na ławeczce koło Tuwima
jak pół Polski
Mistrzu proszę żarliwie pomóż
Mistrz patrzy z niezmaconym spokojem
łagodnym wyrozumiałym uśmiechem
wie wszystko

o jeden kwiat Cię proszę
tylko o jeden kwiat z bukietu
bym mogła ponownie (?)
uzurpatorka kręciołka
na swoim koniu wyleczonym
unieść się na chwilę
nad dachy Biruny Agnelli Fast

Cykl ogrodów

czasem zapuszczam się do tego ogrodu
dziwny to ogród na wpół nie plewiony
miętko przechodzi z części dzikiej w angielską
potem w południową włosko – francuską
w wymuskane krzewy figury szpalery altany
róże już nie pierwsze już cywilizowane
powojniki dzwonki zmienione w smaczne klementisy
ciepło panuje niespieszny spokój i zadowolenie
w tle delikatne skrzypce Haendel i Vivaldi
liście opadają z rzadka szybko są sprzątane
płatki róż osypują się lekko z pojemnika muzy
wprost do obrazu fontanny z więzionym łabędziem

ja parweniuszka skradam się powoli ocieram
trzymam płotów drzew mchu bukszpanu
jak komandos zwiadu sierotka albo anarchista
raczej jeszcze ducha co daje też miłe odczucia
w konsekwencji dziwna ambiwalencja
swoboda i dzikość
zmagają się z szacunkiem dla harmonii formy
śmiem jednak wyglądać jaskółek kontrastów zaprzeczeń
niespodzianki w pudle czarnej róży w studni
przemijania? rozkładu? nowej nadbudowy
uzurpatorka pragnie prawa do kawałka ziemi
piędzy garści opłotkami z boku
przy beczce z deszczówką i ze złotym żukiem
mączącym powierzchnię walką z przeznaczeniem
nie uległm jeszcze od przypadku losu
mogę interweniować wtrącić się w naturę
ależ jeszcze mogę – przecież mogę – muszę
i gdy już zamiera podaję okrutnie łagodnie
małą tratwę liścia by skrzydła wysuszył
niepewnie odbił w górę siadając na trawie
z której z zegarkiem w rękę za piętnaście minut
poderwie go w dziobie biały tłusty gołąb
zgodnie z prawem istnień tylko tyle czasu

Szepczę mu na ucho

w Starej Pomarańczarni na trawniku
w otoczeniu cesarzy widnieją dwa sfinksy

jeden wychodzi z półmroku
z ukrycia w cieniu drzewa
z nieco cierpkim i ostrym listowiem
nic mu nie potrzeba
o nic się nie troszczy
takie sprawia wrażenie malkontent
sumienie
ponad wszystko skupiony wpadnięty
notuje rodzaje mchu owadów ludzi
zachowuje dystans umiar zgodę

drugi w pełnym blasku hełmie sławy
odbija promienie skórą jak obronną tarczą
okadzony spojrzeniem tysięcy
obiektów aparatów fotograficznych
składających należną daninę i hołd
połyskuje od słońca i fleszy
pozwala się wielbić
zbyt oczywisty uśmiecha się z przymusem
albo nic nie robi sobie z wasali
w nocy fosforyzuje zgromadzonym światłem
nadrabia zmęczenie łśni energią
niezniszczalny niby obłaskawiony

zgadnijcie którego wybieram

(V 07)

Elżbieta Michalska

Świniobicie

Filon i Laura
pod jaworem
na podwórzu
szlamują kiszki.
On z miednicy
wyciąga powoli
gruboszarego węża
dmucha mu do gardzieli
i wyciska gówno.
Ona w obcisłej
jak skarpeta czapce
pokazała bez ceregieli
całemu światu
że z przodu nie ma zęba
i zaczyna kwartą
wlewać do jelita wodę.

Filon i Laura
pod jaworem
szlamują kiszki.
Ich radość
ich śmiech.
Gorący smród
z jeszcze żywych trzewi
nawet i On
w powietrzu układa sonety.

Halina Kabac

Wnętrze

Śmieje się głośno i głupio.
Jest kapryśna
i ciągle skora do zakochania.

Nawet rumieni się od czasu do czasu.

Denerwuje, ale i wzrusza
tę starą kobietę, w której mieszka
i która groźnie spogląda z lustra.

Spotkanie

Cicho i nagle zjawiała się.
Obie skamieniałyśmy
Z przerażenia.

Nim rozpoznałam, kim jest,
Znikła.
Drżała gałąź spłoszona.

Odtąd
Na wszystkich leśnych drogach
Spotykam cień tamtej sarny.

Wieczorny spacer po lesie

Jadwidze

Pora zmierzchu.
Wiatr wył listopadowy,
ale niósł górą.

A w dole między pniami
pies i my.
I dookoła Bóg
Bezkształtny i Ogromny.
Pulsował? Tętnił? Trwał?

Jakby Go więcej w węzłach mroku?

Byliśmy w Nim
i pod Nim.
Świat został za lasem.

Pożegnanie na skraju lasu

Żegna mnie dzięcioł.
Słyszę stuk wśród sosen
jak grud ziemi o deski.

Szeleści klepsydra kory na brzozie.
Dziewanna dopala się stojąc.

Zbigniew Patryk

List

Kochany Ojcze
nie martw się
zajechałem szczęśliwie
zaparkowałem się umiarkowanie
zakorzeniam się niepewnie

tulę w sobie smutek
że daleko
że żal
że niepewność
że ciemność
że jasność – niejasna
– i tęsknie

tak
poza tym
wszystko jest bez zmian
wzmagam się ciągle
z tym samym duchem
ciało mam jeszcze ciepłe
ale martwe jak pacierze puste
pustką bezbronnego losu
pamięć zaś zbolałą

nadal
jestem uparty
nie daje się zakonserwować
chleb żałoby
który miał mnie przywrócić dla nieba
choć serce w воск zamienił
topnieje
w marnościach

Kochany Ojcie
nie wiem jeszcze gdzie jesteś
ale muszę kończyć
czas się śpieszy do życia
zegar szczebiocze
że świt dawno drepcze
a we mnie
mrok w siłę powstaje
miasto z jednych grzechów
do innych modłów się budzi
a oblicze moje chyli się ku zachodowi
płonie wstydem
bez zgrzytów.

Za Tobą

Ojcie
czy jestem jeszcze
dzieckiem?

czy mówię
czuję
czy myślę
a może kocham jak dziecko?

nie wiem
Ojcie

ale jak dziecko

tęsknię

Po Twojej śmierci

nikogo nie winię
że nie zrozumie
Ojcze

dlaczego
tak bardzo trudna
musi być nasza wiara

dlaczego
musimy walczyć
żeby pokonać ciemność
żeby ocalić

dlaczego
raz trwoga
raz pokój
raz dusza gorliwa
raz oschła

nikogo
nie winię Ojcze
że dzień stał się inny
po Twojej śmierci

że nie szukam
już prawdy

czystej

Różnica w pisowni

kiedy ostatni raz
widziałem
Twoje smutne oczy
sine usta
kruche ciało

nie winiłeś nikogo
Ojcze
że cierpisz za długo
za bardzo
że niesprawiedliwie

zapytałeś tylko
czy mogę powiedzieć Ci
jaka jest różnica
miedzy szatanem a diabłem

powiedziałem
że mogę
ale tylko dla tych
co nie wierzą

zesztywniała cisza
a za oknem
jasność gasła

pospiesznie

Krzysztof Dąbrowski

Wędrówka

Idę, sam, przed siebie
ziemia miękka, końca nie widać
odliczam godziny przemijające nieubłagane
Ile to już lat?
Już nie mogę, muszę odpocząć

Idą po mnie, nieustannie
zatrzymasz się raz
tylko raz
Nic tam nie ma
Jaki był powód tegoż cierpienia?
Może zakończy się któregoś dnia?

Idę, sam, przed siebie
I nic nie zaprzęta mego umysłu
jak kroczenie w jedną stronę

Byłem, Jestem i Będę

Niegdyś uśmiech gościł na mej twarzy
Teraz łzy spływają po mych policzkach
Niegdyś świat był pełen barw
Teraz widzę jedynie czern
Niegdyś byłem kimś
Teraz jestem nikim
Niegdyś kroczyłem w świetle
Teraz skrywam się w ciemności
Wcale się nie zmieniłem.

Otchłań

Otchłań bez granic
Bez końca
Nie powinna istnieć
a jednak jest
Jedyne co czyni to jest
bez publiczności
bez przyjemności
Jedynie istnieje
z dnia na dzień
Co w nią wpadnie
Przepadnie na zawsze
Pochłonięte przez ciemność
Zimna czeluść bez granic
Nic jej nie napelni
Nic nie da tego co potrzebuję
nic
powtarzam, NIC!

Koniec

Czyńcie dobro
Rzekł Bóg do ludu
A człowiek podniósł rękę na brata

Czyńcie dobro
Rzekł Bóg do ludu
A miecz dał mu nowych wyznawców

Czyńcie to cholerne dobro!
Anioł Śmierci nie opuszcza Ziemi
Serca skamieniały
A Bóg stał się człowiekiem
I rzekł

Idziecie do Jana
po Objawienie

Agnieszka Krotke

1. Gardenie

Chcę słyszeć szepty
Z dawnych lat...
Na moim patio
Zakwitły znów gardenie
Odzieram terazniejszość
Z nieistniejących znaczeń
Jak mandarynkę
Przyglądam się miastu
Znowu jest ciepło
Znowu gołębie śpią na gzymsach
A bezdomni w zaułkach
Uprawiają gorliwą
Miłość nędzarzy
A potem zasypiają
Zupełnie tak jak my

2. Rzeźby z drewna

Postawiłam na komodzie
Drewnianego Żyda
W czarnym chałacie
I mycce
Ma opuszczone ręce
Dłonie zwrócone do świata
Rozmawiam z nim w przerwach
Między jedną pracą a drugą...

Pewnego razu, nocą
Opowiedział mi swoją historię
Jak zdobył majątek sprzedając sznurowadła
Jak modlił się do Jahwe
Jak go powiesili...

3. Do nieznanomego

Widzę Cię
Siedzisz przy sąsiednim stoliku
Śmiejesz się, żartujesz
Rozmawiasz
O wojnie w Iranie
I sztuce współczesnej

42 stopnie Celsjusza
Wczoraj o 22.10
Znowu zatrzęsa się ziemia
Epicentrum na Morzu Egejskim
Dzięki Bogu nie było ofiar
W ludziach, rybach i innych stworzeniach

Ja też odczułam wstrząs
Wstrząsnął mną do głębi
I tak samo jak każdy
Chcę Ci mówić
O smutku w mojej głowie
I pustce która mnie osacza
Zapędza w pułapkę
Drwi...

4. Monolog

Dlaczego tkwię w bezruchu?
Odmierzam czas pełniami księżyca
Godzina to za mało, by cokolwiek zmienić.
A ty wciąż mówisz, że wszystko jest możliwe!
Wszechmocny człowiek
Oczekujący zbawienia...

Jestem tu
Jak astronauta
Badam powierzchnię Ziemi
Uczę się oddychać obcą atmosferą
Wymawiać obce słowa
Nie mogę pozwolić sobie na zniechęcenie.

Regina Kantarska-Koper

Niepokój

I

rośnie we wnętrzu
osikowym drzeniem
niewidzialne ręce
próbują odpędzić
przerażone złe myśli
lecz one
wdzierają się
każdą szczeliną
w rozedrgane
gałęzie krwiobiegu
poruszają
każdy nerw
w głowie kołacze
młotek niepokoju
i żadne miejsce
nie może cię zatrzymać

II

w popielnicze
piętrzą się
niedopałki
oczy biegają
na wyścigi z sercem
żołądek
jedzie windą
do gardła
wyschłego
jak pustynny
piasek

Lęk

wokół fruwały lęki -
jak drapieżne ptaki
w pogoni za zdobyczą

czyjeś nieopatrzne słowa
chwytają je w klatkę
twojej piersi

jeśli zatrzymasz je w sobie
próbując ośwoić
kornik lęku
będzie cię toczyć od środka

ale najgorszy jest ten niewidzialny
lęk - kameleon
czający się zewsząd
nieokreślony
nienazwany

znienacka
napada z bezkresu
opłata mackami bez dotyku

ogłuszy ciszą nabrzmiałą hukiem
oślepi mrokiem
zamroczy blaskiem
nie masz od niego kryjówki
i nie wiesz
czy to bliskość Boga
czy wręcz przeciwnie -
początek mądrości
czy szaleństwa

* * *

kiedys bylam poetką
obcowałam z odległymi
galaktykami
z bliska zagłądałam
w migotliwe oczy gwiazd
spacerowałam po mlecznych
drogach nieba
znałam na pamięć
partyturę muzyki sfer

moja dusza śpiewała
choć ja
milczałam wśród ludzi

rozmawiałam tylko
z wiatrem-włóczykijem
rozumiałam szept liści
i groźne pomruki burzy
a dzikie światło księżyca
odślaniało mi tajemnice nocy

życie
ściągnęło mnie z mgławic
na ziemię
zmusiło do niechcianej walki
o przetrwanie materii

* * *

Czy w wieczności nadal
będę pojedyncza?
Czy tylko nierozdzieloną częstką
fali tchnienia?
Ja - nie Ja
bez własnego kształtu?
Czy ostanie się kwant pamięci
niepowtarzalnego losu
w mojej świadomości?
Jeśli nie, jakąż to
nieśmiertelność?!
Czy kropla w oceanie
czuje swą odrębność?

Irena Słomińska

* * *

za mało było ciebie zbyt łagodnie
traktowałeś świat
unosily cię wszystkie prądy życia
opór
stawiałeś tylko tajemnicy

i spoglądały na ciebie spoza
rzeczywistości
oczy
zbyt głębokie

nadawałeś im nazwy
które rozum układał w światy
a przecież tak naprawdę
nawet ty
nie miałeś nazwy

zagubiony w szeregu
przypadkowych znaczeń
splatałeś z nich celowość

i tak zaskakująco bezbronny
stałeś
wobec śmierci

* * *

tak umierałam przez kilka kolejnych nocy:
serce stawało na przystanku autobusowym
pośrodku wiejskiej pustej drogi
wsluchując się w ciszę jak w muzykę sfer

nie to było inaczej bardziej prozaicznie
opuszczałam powieki na oczy umarłych
i ręka mi nie drżała

ciało było lepkie cuchnęło jak psujący się ząb
i nie było zasady idei – tej kosmetyki świata

która chroni
chorych w odosobnionych miejscach mówiąc
ta droga ma zawsze dwa wyjścia: oba są indywidualne
jak chwila marzenia

obrazek idylliczny: w brzezinowym lasku zasadzono
brzezinowe krzyże z każdą wiosną
wypuszczają nowe pąki

kiedy Bóg mnie powoła kiedy zaistnieje
przełożę język ciała na język ducha

i może się wydarzy
symbioza języków

* * *

przypisani do tego domu
w jego okna wcieramy przeźroczystość
gwar ulicy przenika przez szyby
smugą światła i smugą cienia

zatrzymujemy rozpad przedmiotów
już na krawędzi ich czasu
mówisz posłużą nam jeszcze
tak gładko wyrzeźbione przez ręce
jeśli tylko się nie rozsypią
od hałasu

tak potrzebna nam pełna widoczność
by zniszczenia zmarszczki nie uronić
patrz rozpadł się nasz świat za oknem

dłoń ku dłoni
wędrujące dłonie wciąż scalają niewidoczną nicią
krąg przedmiotów w sieci
bo to przecież
jest tylko nasze życie

Codziennność

znów dach nad głową zmienia swoją korę
domy są młodsze o młodość frunących poetów
ojciec poety zamienił socjalizm na limuzynę
benzyną pachną odradzające się drzewa

a w moim wnętrzu sarny piętrzą się biegnące
prosto na włócznie śmierć bywa piękna
co ja z wami zrobię moje przekłute myśli
jakiemu oddam wzrastaniu sznur rozpasanych korali

przecież mnie nie oddzielisz od czującej tkanki
chirurg to demiurg który przerasta mięśnie
jego tkanki to my delikatne tworzywo świata

i śmieję się wam w oczy odwiedzający ciężko
chorą
jednodniowi zabójcy ropiczące żebra
wyskakują spod świeżej politurę mebli

a dobry człowiek wstaje codziennie o szóstej
żeby zdążyć na siódmą gdy ożywiona rano
wstaje do ruchu materia

* * *

ja brzoza
płacę brzozę

w brzezynie biała niewinność pni wpisana
w białą niewinność powietrza przywołuje
namiętność ssaków

najgorętsze są pocałunki w brzezynie

ja brzoza
płacę brzozę

przestrzeń którą stworzyłam wokół siebie
lekkość i czystość aż po zielen liści
aż po tę wulgarną zielen

ja brzoza
płacę brzozę

narodziny dziecka któremu chciałabym dać
lekkość oddechu siłę wzrostu
ideę brzozy

* * *

Boże zachowaj nas dla litości
byśmy sobie sami
nie uczynili krzywdy zbyt łagodnej drogi
wyścielonej miętko dla stóp aksamitem nocy
z obrazu malarza ludowego któremu było
na imię ciepło miętkość i spokój

Boże zachowaj nas dla litości
byśmy sobie sami wybaczyli okrucieństwo słowa
i twarzy a napalm niech nie wyżre nam z oczu delikatnej
promienistej siateczki którą zwano czułość
albo jeszcze inaczej w epoce kołysek

i niech nasze dzieci dowiedzą się o śmierci
dopiero wtedy gdy je powołają na ostatnią wojnę
i niechaj
będzie to walka wewnętrzna
między mną a mną

i jeżeli nie przyjdzie nam wskrzesić zabitego
sumienia
niech odrodzi się nazwa i niech trwa
jak formuła magiczna

Irena Grabowiecka

* * *

sikorko z mojego snu
przybywaj
stań się błękitnopióra

kupiłam ci bilet
ze snu do mojego życia
czekam by cień
stał się kształtem

już słyszę szelest
twoich skrzydeł
i cień tęsknoty widzę

przybywaj

* * *

Nad Dolistówką wstaje dzień
mgły resztkami sił
umykają w nieznane
słońce niebo barwi czerwienią
zagląda w wąski pasek rzeki

A tak niedawno przecież
topiła swe wody w mokradle
wyływała wzmocniona
by łowić rzenie pławionych koni
i śpiew skowronków pod niebem

Wiła się wśród złota
kaczeńców
błękitu niezabudek
wtórowała pluskom Białej
by wpaść w jej rozwarte ramiona
i płynąć płynąć błoniami bielami
do Supraśli
Narwi
morza

Tak niedawno...

* * *

Rozsiadło się miasto nad Białą
w widłach rzek rzeczulek
wśród mokradeł

Rosło w horyzont
w niebo rosło
by dziś szumieć lasami parkiem
i wtórować warkotem aut

Gdzież są dziś wody Jabłonki
Bażantarki
nurt Czapliczanki

Dolistówka spragniona
resztką nurtu do Białej człapie
zaprasza krzyżówki
na spotkanie pod mostem

Gdzież są dziś wody moje...

Janina Puchalska-Ryniejska

Pod niebem Podlasia

szemrzą posągi drzew
kolorową zamiecią liści

wyciszone ptasie koncerty

melodie jesienne nuci wiatr

wspomnienia
spod gorącego słońca
czas zasnuwa nićmi
babiego lata

uroki życia
nabrzmiąle gamą barw
jak podlaska jesień
ścielą się pod pióro
poetyckim słowem

niezależnie
od lejącego się z nieba
upału
czy tonącego
w śniegowej bieli
świata

W Puszczy Knyszyńskiej

Przepędzony obłok
skrył się za horyzont
i wiatr roztańczony
zapomniał o wiewie

Noc się upoiła
bezruchem przyrody
księżyc swą wędrówkę
rozpoczął po niebie

Puszczańską krainę
i stworzenia wszelkie
jak w cichej modlitwie
nastrój ten zespala

Trawy kwiaty liście
namaściła rosa
rześką wilgotnością
makijaż utrwała

Zasnęły dzięcioły
pracowite mrówki
i rude wiewiórki
i powabne łanie

Do czasu aż zadrży
znów serce przyrody
gdy słońce o świcie
na horyzont stanie

Z wiatrem...

miłe wrażenia
z karuzeli życia
czas
przywołany w pamięci

weselne kuligi
karnawałowe wirowania
w izbie pod strzechą
latem
na zielonym smugu
pod brzęczącą lipą

walc – oberek – tango...

kapela różnie od ucha
(kółeczko... para za parą...)

bliskość serc zakochanych
śpiewy
szał radości

do białego rana

Katyn

ciemnia pod chmurami
a Oni idą
niepewność zмага się z nadzieją
smutne orły
na oficerskich czapkach
w sercach

Katarzyna Drzemicka

* * *

w szklanej klepsydrze
mojego istnienia
ludzie
przesypują się
jak ziarenka piasku
wybieram tylko te
z których zbuduję
kapliczkę pokoju

* * *

dla nas
rozległej puszczy
brzask
księżyc
skąpany w bagnach
ważki ostry lot
śnieżnobiałych zawilców
kobierce
marcowej wierzby
puch
motyl jak anioł
w kielichu złocienia
zielona rozkosz

smutek wichru
nie dla nas

dla nas
wieczór ze świtem...

Zapisane

pamiętnik
uśmiecha się
kartami dzieciństwa
zapachem jabłek

ulatują marzenia
tylko wiatr
tak samo
porywa żagiel
łodzi...

Poukładane

za oknem
noc
włóczy się zaułkami
budzi luną
księżycą

okrywam dzieci
kołdrą snu

w twoich ramionach
zasypiam

pod spadającą
gwiazdą życzeń...

Zakończone

jesień życia
targa
strunami drzew
czeka na modlitwę
świątełek pamięci
płonących
od lat
tak samo

tak samo...

* * *

Biały opłatek
- ty i ja -
z miłością patrzę
w twoje oczy
którymi tulisz
nasze dzieci
rozbiegana jak
świąteczka
pod wigilijnym drzewkiem
ubierasz ciepło
by Pasterki chłód
nie zmroził
apostolstwa które
trwa...

Roman Kowalewicz

Kolorowe złudzenia

w otwartych oknach
twarze

po ulicy
śmieci
niesie wiatr

pył
zakrywa światło

domokrażcy
oferują rajske myśli

bankier robi interes
sprzedaje
kolorowe złudzenia

Cisza

w ciszy
głosy aniołów
słyszę

serce płonie
i świat topnieje
kostką lodu

wiara
umysł otwiera

Dęby

z powiek dębów
spływają łzy
wspomnień

w bruzdach kory
zapisany czas
kusi
skarbami wieków

pod stopami
zielona rzeka
w rozkwicie marzeń

czasu mi nie żal
gdy wewnątrz pachnie
liściem

Barbara Lachowicz

* * *

Sylwester w deszczu
Grudniowe spłukuje nostalgie
Ani płatka śniegu

Świąteczka na choinkach
Płoną przekornie

Chciałabym być z Tobą – i milczeć

Rozmawiają myśli
Spowiadam się sobie
Z własnej głupoty i naiwności
Głuchoty ślepoty skąpstwa

Za bardzo oszczędzałam na miłości

Moja wina
Jak ocean słonymi kroplami pełny
Po urwiste brzegi i jeszcze mu deszcz
Przedświątecznej dolewa goryczy

Nadmuchiwane bałwany i święte rodziny
Kiwają się na trawnikach
Szeleszczą białą folią – amen – amen – amen

Wszystko się odgrzeszyło ostatecznie
I takie było nagie i bezlistne
Pod jednym ciemnym dachem nieba

/31 grudnia 2003, New York/

* * *

Róża październikowa
Szalona
Pije z butelki po winie

Kwitnie zuchwale
Chociaż fortepian milczy
Kominiek śpi i świerszcz

Jak tu się przysposobić
Do płatków opadania
Utraty tchu

W myśli wirze
Wiatru flety nas wiodą
W chocholi tan i sen

Tak nie chce się umierać
Razem z różą

A to tylko jesień – dzień krótszy

* * *

Myśl śnieżnobiała
Obiega mnie kocim truchtem
Miętko
Spowija jak sen

Dałam się porwać chwili

Ptaki zdumienia
Chcą rozpocząć wiosnę

Umarłabym
Gdyby nie trzepot rzęs

* * *

Jedna chwila
Nierozważna
Uwita z tęsknoty

A stanę się Madonną
Otoczoną blaskiem

Zamkną mnie
złote ramy

Będę pełna łaski

Uklękiesz
Wtedy zejść z obłoku
I uklękę obok

Uśniesz –
Zostaną rozsypane puzzle
Układane ze świętości

Krystyna Gudel

* * *

pod rzesą
szczęście
a w duszy
radość gra

w zwyczajnej
filiżance
poranna kawa
stygnie
pomniejszona
o łyków kilka

muśnięcie ust
i ciepły wzrok
ku sobie

ująłeś miłość
w dłonie obie

W ciszy

myśli same
odnajdują drogę

kocha tkliwiej
rozmawia z tym
i z tamtym
z poetycką fantazją
staje w szranki

czasem
oddech osadza
na krawędzi skrzydeł
zbłąkanego motyla

szorstkością dłoni
wygładza zmarszczki
na zmiętej koszuli
wybudzony uśmiech
triumf kota
nad myszy porażką

w ciszy

O niesłyszających

otuleni ciszą
czuwają nad każdym
widzialnym wyrazem
błądzą
w wymówionych obrazach
rysując w umyśle
nasze intencje

malujemy sobą
ich obecność

Zmęczone oczy ulicy

kroczy lekliwie
bolą stopy
od wyślizganej
czasem gładzi
zmęczone
oczy ulicy
błagalnie proszą

odchodzi w ciszy

Joanna Dawidziuk

* * *

Ktoś powiedział
Miłość jest daleko

A ona w dłoniach
Przy twarzy
Spojrzeniu
Twoich oczach

W tej chwili
Zawieszanej w wieczności

/9.12.2007 – na przystanku/

Adwent

Nieustannie zapalasz
Światło lampy
Przyzywasz
Na pustyni
Ścieżki wyznaczasz
Budzisz nadzieję
Obietnicą zieloną jak radość

Przychodzisz
A wszystko się zaczyna

* * *

zbierała krople w dłonie
choć deszcz dawno odszedł
łaskotały palce

biegła
schody prowadziły
do drzwi i korytarzy
klucze zgrzytały

gdzieś budzi się słońce
na kolejny dzień
uśmiechów i spacerów

patrzy zdumiona
tak szybko odchodzi dziś
ledwie chwila
trudno się zagapić

/24.10.2007/

* * *

W świętej stajence
Na zwykłym sianie
Całe zbawienie świata

W kruchej stajence
Pierwsze karmienie
Matka
Wzruszeniem oplata

Ci co tam byli
Szczęśliwsi nie będą

.....
Misterium paradoksu

Maleńki
Niepojęty

Mój Boże...

Przyszedeś
i cały świat zwariował.
A Ty leżałeś sobie na sianie
jakby zakończenie Starego Testamentu
było czymś zwyczajnym.

Już wtedy wiedziałeś,
że świętość nie potrzebuje pałacu.

Ale światłości nie pożądałeś.
Świeciło się mocno w Betlejem.
No i Aniołowie w pełnej gotowości.

W końcu trzeba pokazać ludziom
drogę...

JOANNA PISARSKA

Okno

I

Małgorzata stała w oknie pensjonatu. Podgórski pejzaż, który zaczynał się już na dobre zielenić, teraz owinięty był lekką, smutną szarością mżawki. Właśnie skończyło się śniadanie i wczasowicze grupkami udawali się na poranną kawę. Jeszcze parę minut temu mogła spodziewać się, że w podobny sposób spędzi ten senny poranek. Poznany wczorajszego wieczoru mężczyzna, podobnie jak ona, samotnie spędzający tu urlop, zaproponował wspólne odbycie tego rozpoczynającego dzień rytuału. Jednak dziś rano ukłonił się jej od swojego stolika jakby z lekkim roztargnieniem i zaraz po śniadaniu pospiesznie oddalił. Szkoda. Wczorajszy krótki spacer deptakiem wprawdzie nie obiecywał od razu, by koniecznie musiało zaistnieć pomiędzy nimi jakieś braterstwo dusz, ale na pewno stanowił dobry początek całkiem sensownej i sympatycznej znajomości.

Janusz był wyraźnie młodszy, jednak może wrodzony takt, a może też nabyta umiejętność obcowania z ludźmi, nie pozwalały mu dać jej odczuć ani ciężącego już jej na barkach szóstego krzyżyka, ani zmienionego chorobą wyglądu. Rozmawiali trochę o swoich rodzinach, trochę o sprawach ogólniejszych. Tyle, żeby z ostrożnym szacunkiem dla integralności rozmówcy, może nawet nie wywnioskować, ile intuicyjnie wyczuć, że po tej drugiej stronie jest wystarczające zrozumienie, ciepłe, ludzkie zainteresowanie i delikatna, nie narzucająca się chęć kontynuowania rozmowy. Zaczął zapadać zmrok i Małgorzata, wciąż jeszcze nie do końca pewnie poruszająca się, zwłaszcza poza domem, przynagliła nieco do powrotu. W tym momencie zapowiedź dłuższej rozmowy następnego dnia przy kawie wydała się naturalną konsekwencją i w pewnym sensie oczekiwanym ciągiem dalszym spaceru.

„No cóż, nie zawsze to, co oczekiwane, okazuje się nieuchronnym” – pomyślała nieco sentencjonalnie i postanowiła

pofolgować ogarniającej ją po dwóch niedospanych ostatnio nocach senności i w ten sposób zapewnić sobie minimum poczucia niezmarnowania дарowanego jej niespodziewanie czasu.

Przez chwilę wzrok jej spoczął na seledynowych, lśniących wilgocią wierzchołkach rosnących przy pensjonacie modrzewi, by zaraz potem przemknąć ponad dachami aż do barokowej wieży kościoła. Przypomniało jej się, że tam spotkała Janusza po raz pierwszy kilka dni temu. Posunął się w ławce robiąc jej miejsce, a ona właściwie zignorowała ten grzecznościowy gest, przechodząc mimo i siadając o kilka ławek bliżej ołtarza. Teraz ta krótka, muśnięta jedynie skrajem świadomości scena, stanęła jej przed oczyma, narzucając jakąś głębszą, nie rozpoznaną do końca, ale drażnącą umysł symbolikę. I podczas tego jednego rzutu okiem na kościół przypomniła sobie wszystkie lata pocucia odrzucenia – przez ludzi, przez Boga, przez najbliższego człowieka – i to, z jakim trudem i jak powoli odzyskiwała nie tylko świadomość własnej wartości jako człowieka, ale w ogóle człowieczeństwa. I to, że właściwie do tej pory nie wie, na ile proces ten jest trwały, skoro różne drobne sploty zdarzeń potrafią ją wciąż jeszcze kompletnie rozchwiać emocjonalnie. Wprawdzie zdarza się to ostatnio już niezmiernie rzadko, jednak pocucia pełnej stabilności nie odzyskała i nawet na nie nie liczyła.

Odeszła od okna, odgarnęła kołdrę i poszukała piżamy. Pomyślała teraz o relacjach – zerwanych starych i powoli, ostrożnie budowanych nowych. I choć traktowała je wszystkie jako dar, to w swoim wychodzeniu do ludzi nie potrafiła i nie chciała pozbyć się dystansu. Podobnie patrzyła na Janusza. Oto głęboki, mądry, ale obcy jej człowiek, którego ona ignoruje, przechodząc mimo, i który ignoruje ją, skinąwszy jedynie z daleka, właśnie dlatego, że są sobie obcy i niczego od siebie nie oczekują. Nie mają szans na bliższe poznanie się, nie mówiąc już nawet o przyjaźni, nie dlatego, by odczuwali do siebie wrogość czy kierowali jakimikolwiek społecznymi uprzedzeniami, ale po prostu dlatego, że są nieznanymi sobie ludźmi.

Małgorzata przebrała się już piżamę i teraz zakładała na wierzch bawełniany golf. W pokoju, jak we wszystkich pomieszczeniach pensjonatu, było zimno. Wczasowicze żartowali sobie czasem, że prawdopodobnie gospodarze uznawali za

niezbędne, by lecznicze właściwości ostrego klimatu oddziaływały we wszystkich jego przejawach, także przez wyiębione mury domu.

„Ależ nie!” – roztrząsała dalej, a myśli coraz bardziej nacierały. „Przecież ludzie potrafią stać się sobie bliscy, to się zdarza.”

I wiedziała już: innym tak, jej nie. Czuła, jak ten symboliczny obraz mijania się w kościele, urasta niemal do obrazu całego jej życia, do obrazu relacji nie tylko z ludźmi, ale i z Bogiem. Nie zauważyła oto nawet, że traktuje Go jak kogoś, od kogo niczego się już nie spodziewa. Oschłość ogarnęła jej serce niczym skorupa. Oschłość niedopuszczająca przeświadczenia, że jest On Bogiem żywym, ingerującym w życie człowieka i kontaktującym się z człowiekiem, przemieniającym go i nadającym jego życiu sens. No, właśnie, sens życia... W te rejony wołała się nie zapuszczać. No, bo, dajmy na to: po co poznawać nowych ludzi na urlopie, skoro i tak trzeba będzie wrócić do szarej codzienności i codziennego kręgu osób. I cóż nadzwyczajnego mogłaby taka znajomość dać?

Pytanie to pozostało jednak bez odpowiedzi, bowiem w tej chwili usłyszała ciche pukanie do drzwi. Małgorzacie przypomniało się w tym momencie, że gospodyni obiecała podrzucić jej świeże ręczniki, zawołała więc: „Proszę!”, nie próbując nawet przykryć z powrotem łóżka. Drzwi uchyliły się dość nieśmiało i nagle fala gorąca przepłynęła po niej od stóp do głów. W drzwiach stał Janusz, nie wiadomo, czy nie bardziej w tej chwili zmieszany od niej, ale nawet jeśli tak, to nie dający po sobie poznać żadnej nieodpowiedniości tej sytuacji. Powiedział, że przeprasza, że nie podszedł do niej od razu po śniadaniu, ale musiał nagle wykonać jakiś ważny telefon i, ponieważ żonka zdawała się chwilowo ustępować, proponuje kawę na mieście, gdzie w jakimś sympatycznym miejscu mogliby kontynuować wczorajszą rozmowę. Jego spokojny, wręcz ujmujący ton głosu i pogodne, lekko zamyślane spojrzenie pozwoliły Małgorzacie opanować emocje i z pełnią poczucia taktu, jakby nie stała na środku pokoju w swojej piaskowej piżamie i naciągniętym na nią piaskowym golfie przy odkrytym łóżku, tylko w zwykłym sobie turystycznym stroju, gotowa do wyjścia, umówić się za dziesięć minut w saloniku na dole.

Czy te dziesięć minut, kiedy już drzwi zamknęły się i została sama, stały się czymś istotnym w życiu Małgorzaty? Czy zmieniły choć na jotę jej sposób myślenia, patrzenia, odczuwania rzeczywistości, spraw i zdarzeń?

„A więc Bóg jednak jest!” – te słowa, nie wiadomo dlaczego właśnie te, bo przecież nie zamierzała tej oczywistej dla siebie prawdy poddawać próbie, zawisły jej na wargach i tkwiły gdzieś wewnątrz niej, coś przebudowując i przekształcając, ale co – tego nie wiedziała, gdy przez kilka sekund stała kompletnie nieruchomo przy oknie, a potem prawie mechanicznie, ale z całą ostrością świadomości tego, co robi i pewną nawet dbałością o szczegóły, wkładała spodnie, bluzkę, polar i buty.

II

W życiu Małgorzaty zmiany zachodziły wraz z upływem lat coraz szybciej. Przynajmniej tak jej się wydawało, ale może jest to wspólną cechą osób, które osiągnęły już pewien wiek. Dziwiła się nawet trochę sobie, że wciąż stać ją na wysiłek emocjonalny towarzyszący poznawaniu nowych osób, angażowaniu się w działalność społeczną czy nawet domorosłej twórczości. Jedno było stałe. Lubiła co roku jeździć na wycieczkę w góry do znanego już sobie pensjonatu, pomimo nieodmiennie panującego w nim chłodu, w gruncie rzeczy zacisznej i przyjaznej gościom.

I oto pewnego dnia stała w oknie swojego pokoju i patrząc na zatopiony w mżawce, zieleniejący już z lekka pejzaż, wspominała pewien sen, który nawiedził ją kiedyś w tym miejscu, o podobnej porze roku i pogodzie. Przyśniło jej się mianowicie wówczas, że poznany w pensjonacie poprzedniego dnia mężczyzna zapukał do jej pokoju z zaproszeniem na kawę, gdy przebrana już w piżamę zabierała się właśnie do przedpołudniowej drzemki. Po kawie był spacer w strugach wydartego chmurem i polyskującego wszędzie – na młodych liściach, trawie, trotuarze, szybach okien – słońca. A potem kolejny następnego dnia i tak przez cały tydzień do końca jej pobytu.

Małgorzata odtąd wiele razy, przebywając w tym pensjonacie, kładła się w deszczowe dni do łóżka, czasami nawet przeciągając czytanie czy spotkania ze znajomymi dłużej w nocy, by być rano bardziej zmęczoną, jednak sen się już nigdy nie powtórzył. Uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

Miło jest zatrzymać na dłużej to, co sprawia nam przyjemność. Ale w przypadku snu nie było już to istotne. Wystarczyło, że pojawił się raz, by dać impuls pozytywnej przemianie, pogodniejszemu nastawieniu, otwarciu na ludzi, chęci do pracy. By wpuścić słońce w mroczne zakamarki duszy, przyspieszyć zdrowienie, przywrócić bogactwo uczuć. By niemal cofnąć czas.

Odeszła od okna, odgarnęła kołdrę, założyła piżamę z nieodłącznym już piaskowym bawełnianym golfem i podeszła do drzwi, by otworzyć je roznoszącej zmianę ręczników gospodyni. Jednak w tej chwili drzwi uchyliły się przed nią dość nieśmiało i nagle fala gorąca przepłynęła po niej od stóp do głów. W drzwiach stał Janusz, nie wiadomo, czy nie bardziej zmieszany i zaskoczony od niej, ale jego ujmujący ton głosu i lekko zamyślane spojrzenie pozwoliły Małgorzacie zupełnie, jak w dawnym śnie, odzyskać panowanie nad sobą i wewnętrzną równowagę.

Poszli na kawę, a potem na spacer. Rozmowa potoczyła się łatwo, tak, jak za pierwszym razem. Janusz studiował kiedyś przez rok na kierunku, który ukończyła Małgorzata i to dawało jej poczucie istnienia jakiejś niewidzialnej nici, która połączyła ich już w młodości. Nie powiedziała mu, że z upływem lat zmieniła zawód, chociaż byłaby to nić kolejna. Jednak rozmowa o przeszłości potoczyła się innym torem i nie chciała potem wracać do tego tematu. Natomiast chętnie słuchała, gdy opowiadał jej o swojej pracy, swoich pasjach i planach. Jego poczucie humoru, może nie zanadto żywiołowe i kipiące, ile raczej refleksyjne i nieco filozoficzne, wprowadzało nutę koleżeńskości i prowokowało do kolejnych ripost i pytań.

Janusz zatrzymał się tym razem w innym miejscu i ich spotkania przy kawie i wspólne spacerowały stały się odtąd najważniejszym punktem dnia Małgorzaty. Spacerowały w każdą pogodę: w strugach światła, w chmurach, w deszczu. Deptakiem, ścieżkami, szlakiem na okoliczne wzgórza. Na koncert, do kościoła, do sklepu, na cmentarz. I rozmowy, rozmowy, rozmowy, które płynęły niemal same, lekko i bez przymusu. Jakby znali się od zawsze i rozstali tylko na chwilę, by teraz podjąć przerwany wątek. Jakby nie było choroby, zbliżającej się starości, różnicy wieku. Z łatwością słów, przychodzących niby upragnieni goście, słów, które kładły się na usta perłami, a wśród tych pereł, to, co w historii każdego z nich było naj-

trudniejsze i najbardziej bolesne, teraz nabierało wartości. Dotknięte zaledwie, niby skrzydłem ptaka, przywołane delikatnym pytaniem, wchodziło pod kojący strumień nowego jakiegoś światła i poddane nowemu oglądowi zyskiwało nowe znaczenie, odkryty zupełnie samodzielnie sens. I kiedy wszystko już prawie, wydobyte na to nowe światło i ogarnięte nowym spojrzeniem, zaczynało układać się w całość i niemal domagać wdzięczności, nadszedł nieubłagane dzień wyjazdu Małgorzaty.

Było prawie południe, gdy podczas ostatniego spotkania zatrzymali się na nietypowo opustoszałej o tej porze dnia alei w parku. Małgorzata zapisała na kartce swój adres i numer telefonu i podała ją Januszowi ze słowami:

- Musimy się już pożegnać.

Mogło wydać się żartem, gdy odpowiedział:

- Chyba nic już więcej nie wymyślimy.

Jednak nie zabrzmiało jak żart i wyraz twarzy, z jakim to mówił, wskazywał, że żartem nie było.

Małgorzata zobaczyła nagle tę sytuację, jak scenę w melodramacie i sama nie wierząc wręcz, że takie słowa wychodzą z jej własnych ust, zapytała:

- Więc żegnamy się na całe życie?

Janusz, próbując ten melodramat przełamać, wrócił do właściwego sobie uśmiechu i tonu:

- Przecież ludzie zawsze żegnają się na całe życie. Nieprawda?

I rozstanie przebiegło krótko i prawie wesoło, z lekkością dotychczasowych rozmów, jakby na świecie nie istniały pociągi, uwożące na drugi kraniec świata, jakby można było wybrane chwile wyciągnąć na zawołanie ze spichlerza wspomnień i przywrócić do życia z całą ich fizycznością. A jednocześnie rozdierającą, prawie aż do granic bólu, bo nie sądziła, że tak się przywiąże i wiedząc już w tej chwili, że z powodów, których nigdy nie dane jej będzie poznać, telefon pozostanie niemy, a skrzynka na listy pusta.

III

W kolejnym roku Małgorzata jechała do swojego pensjonatu ze świadomością, że robi to po raz ostatni. Droga stała się dla niej zbyt ciężka, a bliżej domu pojawiły się inne możliwości miłego spędzenia kilkunastu dni. Odwiedziła już prawie

wszystkie miejsca, w których była z Januszem, z wyjątkiem tych bardziej odległych.

W przeddzień powrotu stojąc przy oknie, niemym świadku jej dziwnego babiego lata, w pewnym momencie została niemal uderzona nagłym pojawieniem się pewnego wspomnienia, tak wyrazistego w swoich barwach, dźwiękach i zapachach, że aż obezwładniającego.

Przed oczyma stanął jej dzień ich dłuższej wycieczki, niezwykle ciepły i jasny, z powietrzem niemal nieruchomym w swej słodyczy, rozgrzewającej twarz i wlewającej się stopniowo do wnętrza, ogarniającej całe ciało, wszystkie uczucia i myśli. Małgorzata wzięła na drogę kanapki i wodę i poprosiła Janusza, by poniośł jej chlebak. I oto teraz ten obraz jej piaskowego, podobnie jak golf, chlebaka, odbijającego barwą od brązu kurtki Janusza, przytulonego do tego brązu i poruszającego się na jego tle w rytm kroków i poruszeń ciała w czasie marszu, w aurze woni rozkwitającej przyrody i ptasich trel, ogarnął ją tak przemożnie, z taką siłą uczuć i takim bogactwem ich odcieni, że wprost nie potrafiła im się oprzeć. Zobaczyła nagle jakieś nowe, zakryte dotąd przed nią niuanse tej znajomości. Wiele słów i gestów otworzyło swoją ukrytą dotąd treść. Chciała gdzieś biec, powiedzieć komuś o tym, zawołać: „Bóg nie tylko jest, ale potrafi stworzyć relacje między ludźmi na swój obraz i podobieństwo!” Wołała gdzieś z głębin tęsknoty, smutku i niezrozumienia: „Dlaczego nie zadzwoniłeś, nie napisałeś, nie przyjechałeś? Tyle mam ci do powiedzenia! Dlaczego nasza przyjaźń nie może trwać? Przecież nic złego się nie stało, nikogo nie skrzywdziliśmy! To prawda, nie potrzebujemy siebie, jak powietrza. Przeżywaliśmy duchowe święto, duchową ucztę przy pełnym stole. Ale jednak znaleźliśmy się! Tak niewielu to się zdarza...”

Łzy prawie wzbierały w niej, gdy usłyszawszy ciche pukanie, biegła do drzwi, wiedząc, że nie ma mowy, by tuż przed jej odjazdem była to gospodyni ze zmianą ręczników. Za drzwiami stała kobieta, której twarz wydała się Małgorzacie znajoma, jednak nie mogła sobie w tej chwili przypomnieć, skąd. Trudno też było do końca określić jej wiek. Wyraz skrywanego cierpienia i czerń stroju mogły dodać jej lat.

- Przepraszam panią - powiedziała. - Jestem siostrą Janusza. Wiele mi o pani opowiadał, dlatego odważyłam się tu przyjść. Myślę, że Janusz bardzo by sobie tego życzył.

Spuściła na chwilę głowę, a potem podniosła ją znowu i dodała:

- Był ciężko chory. Zmarł pół roku temu.

Jej łagodne, ujmujące spojrzenie, spojrzenie Janusza, spoczęło na Małgorzacie, gdy ta mówiła:

- Dziękuję, że pani przyszła. To bardzo wiele dla mnie znaczy. Chciałabym z panią porozmawiać. Może wyjdziemy gdzieś na kawę albo na spacer.

/Piotrkowice 1.10.2007 r./

WOJCIECH ZAŁĘSKI

Czy jest tamten świat?

Kiedy po bitwie warszawskiej legioniści gnali bolszewika do Niemna, gdzie rozegrał się końcowy epizod polsko-bolszewickich zmagañ, Supraśl, tradycyjnie leżący na poboczu historycznych zdarzeń, jak zwykle nie został dotknięty wrednym paluchem wojennego losu, w związku z czym niewiele epizodów zapisało się w pamięci mieszkańców. Poza ochotnikami, którzy poległi wywalczając nam niepodległość, a uwiecznionymi z nazwiska i imienia na skromnym „pomniczku wolności” w „Ogrodzie Saskim”, zbiorowa pamięć pogrąża się w błogiej amnezji.

Chociaż... podobno... dla sztabu kwaterującego jedną noc w Supraślu w siedzibie Zachertów gospodarze wydali obiad. W tę właśnie noc miało mieć miejsce pewne zajście.

Młodszy oficerowie i żołnierze, którym zabrakło miejsca przy głównym stole, posilali się w refektarzu. Gdy już dobrze nadwerężyli zapasy fundatorki a fantazja kawalerska górować zaczęła nad rozsądkiem, pomiędzy porucznikami Romanowiczem, Zachsssem i Domańskim wywiązała się dyskusja na poziomie wyższej duchowości. Zachss, wyedukowany ateista z ewangelickim wychowaniem, wspólnie z Romanowiczem, socjalistą z wyboru, negując istnienie życia pozagrobowego atakowali Domańskiego, katolika z urodzenia.

Aby udowodnić, że nic, ale to nic, po śmierci nas nie czeka, Zachss zdeklarował się spędzić całą noc na czuwaniu przy trumnie poległego kolegi, ustawionej na katafalku w klasztornej bazylice.

Jak postanowili tak zrobili. Zachss wziął ze sobą niedopitą flaszkę wina i udał się na zdeklarowany posterunek. A zegar na wieży bramnej jeszcze nie stał się żalonną atrapą wskazującą za pięć 12-tą, lecz uczciwie dzielił wieczności na równe odcinki, nawet wydzwaniał godziny i połówki.

Więc gdy zegar bramny zaczął wybijać północ jakoś tak nieswojo zrobiło się porucznikowi, choć obawiać się, jako ateista, nie miał czego... bo przecież nic tam nie ma.

Drżące światło płonących przy marach świec wydobywało z mroku niepokój i karmiło wrednie wyobraźnię. Zachssowi zaczęły się pocić ręce. Wysoko, gdzieś na chórze stuknęło coś sucho, rozchodząc echem się aż pod kopułę świątyni przed oblicze Chrystusa.

Właśnie zza grubych murów dobiegało kolejne, przytłumione bam... bam... bam, gdy z trumny zsunęło się wieko i głośnym hukiem grzmotnęło o posadzkę. Porucznik błyskawicznie sięgnął ręką do, na wszelki wypadek odpiętej, kabury. Chłód rękojeści rewolweru na chwilę przywrócił mu spokój, ale gdy z trumny wysunęły się nogi i nieboszczyk usiadł na jej brzegu... Zachss zdębiał. Czuł jak zamienia się w drewno, w skałę... niemożliwe stało się poruszenie głową i oderwanie wzroku od zabitego kolegi, który choć martwy i zimny, wbrew logice sprężyste zeskoczył na posadzkę i wolnym krokiem, podkreślanym stukaniem podkutych obcasów i dzwonieniem ostróg, szedł w jego kierunku.

Zamarłe sopłem lodu serce ruszyło nagle... fala gorąca przemknęła od czubka głowy ku stopom i uczyniła ciało na powrót sprawnym. Porucznik, nie mierzając, strzelił raz, drugi, trzeci. Nieboszczyk nie reagował, szedł. Strzelił znowu i znowu. Zmarły nadal szedł wolno. Był już o dwa kroki. Zachss poczuł powracające drewnienie ciała. Tamten wyciągnął przed siebie pięść i rozwarł... Na wyciągniętej dłoni leżały wszystkie wystrzelone pociski! Ateistyczna świadomość Zachssa zagłębiła się do środka, być może rozplynęła w mroku bazyliki. Porucznik stracił czucie, osunął się na posadzkę i prawdopodobnie doświadczał istnienia zaświatów.

Z hukiem rozwarły się drzwi świątyni. Do wnętrza, świecąc latarkami, wbiegła grupa wojskowych. Z góry z chóru schodził Domański. Przybyli z bocznej nawy przynieśli i ustawili na katafalku trumnę z prawdziwym nieboszczykiem. Niedawny trup Romanowicz, pochylił się nad leżącym, ujął go za nadgarstek i zbadawszy puls odetchnął z ulgą.

- Chwała Bogu... żyje.

Zabrali się do cucenia Zachssa święconą wodą. Porucznik otworzył oczy i wodził nieprzytomnym wzrokiem po otaczających go twarzach.

- No... Henryczku - Zapytał go słodziutkim głosem Domański. - To jak? Jest tamten świat... czy go nie ma?

Zegar z ulicy Zgierskiej

- Jest tu od początku świata - powiedział o nim poprzedni właściciel, sprzedając dom przy ulicy Zgierskiej w Supraślu. Wisi na wprost drzwi w dużym pokoju i wskazuje czas staromodnymi wskazówkami z dokładnością elektronicznego zegara. Jego głośnie tik tak, tik tak, tik tak napelnia cały dom. Niesłyszalny jest tylko na strychu i w piwnicy.

Jeśli przewiesić go na inne miejsce staje natychmiast i nikt, nawet najstarsi w mieście zegarmistrze, pełni zachwytu nad stanem technicznym werka - czyli bebechów - nie potrafią wytłumaczyć tego dziwactwa w końcu martwej maszynierii.

Nie był też to defekt, raczej dziwactwo. Nie wydzwaniał godzin i półówek. Za to w kurant uderzał wedle swego widzi mi się. Można powiedzieć bez powodu. Najbardziej niepokojące było to, że odzywał się, pośród rozmowy z przyjaciółmi, czytania książki, oglądania telewizji. Nagle rozlegało się jego niskie, wibrujące bammmmm bammmmm...

Po jakimś czasie, w tych zdawałoby się pojedynczych i nieuporządkowanych dzwonieniach, odkryli pewną regularność. W ciągu dnia i nocy uderzał zawsze o tej samej porze... o godzinie piątej i siedemnastej.

Przez rok mężczyzna spisywał daty, w których odzywał się kurant. Odstępy czasowe, w tygodniu czy miesiącu były przypadkowe, nie można w nich było ustalić żadnego porządku. Wezwani na konsylium, spoza miasteczka, wiekowi zegarmistrze, kręcili głowami i stwierdzali, że z czymś podobnym w swojej praktyce i praktykach swych poprzedników się nie spotkali i nie słyszeli. Jest w tym coś, co wykracza poza ich zdolność pojmowania. A że są racjonalistami, przypadek ten, aczkolwiek dziwny, dla nich nie będzie przedmiotem dociekań.

- Stan trybów nie wskazuje na to, by ktoś przy nich majstrował i chciał zrobić taki dowcip. - Szepnął mężczyźnie na odchodne najmłodszy zegarmistrz. - Zresztą z czego tu się śmiać?

Wisiął na frontowej ścianie, wskazywał nieubłaganie mijający czas, nie wiedzieć po co i dlatego wydzwaniał te swoje idiotyczne bammmm, bammmm.

Mężczyzna, który głównie poświęcał czas badaniom zegara czuł, nieomal miał pewność, że nie jest to przypadek, że bicie kuranta ma jakiś ukryty, głębszy sens.

Prawdę odkryła kobieta, ale nigdy się nią nie podzieliła z mężczyzną. Od tamtej pory, ilekroć o godzinie dziewiętnastej usłyszała bammmm, bammmm nieruchomiała, spoglądała na męża i szybko odwracała głowę, by ukryć wypływający na twarz rumieniec.

Było to przed paroma tygodniami. Ktoś dogonił ją w Białymstoku na ulicy. Poczula na ramieniu dotknięcie i usłyszała swoje imię. Obejrzała się i... I to był on... to nieziszczone w dziewczęńskich marzeniach szczęście. On... z tej starszej o dwa lata klasy. Całe popołudnie spędzili ze sobą. A czas jej mijał jak w transie. Spacer, obiad, kawiarnia, hotel... I kiedy się to stało, co stać się nie mogło, usłyszała dochodzące z oddali, z głębi świadomości przeciągłe, znajome bammmm, bammmm.

Po powrocie do domu mąż powiedział:

- Czy wiesz kochanie, że nasz zegar zmienił czas bicia? Teraz dzwoni o dziewiętnastej. Ciekawe dlaczego?

- On już jest taki pełen zagadek. Będziesz miał o czym myśleć przez następne lata. - Powiedziała kobieta i po raz pierwszy, spłonęła rumieńcem.

Ilekroć spojrzała na zegar, wydawało się jej, że szelmowsko mruży pośółki, malowany w kwiatki cyferblat, a wahałoby przyspiesza mówiąc: „oj ty, oj ty, oj ty!”. Pomyślała, że to tykające napomnienie jest wybaczące... ale przeciągłe bammmmmm, bammmmmm brzmiało jak ostrzeżenie.

Któregoś wieczoru, w imieniny mężczyzny, licznie zebrana rodzina zasiadła za dużym stołem. Miejsce na wprost solenizanta przypadło młodzieutkiej kuzynce. Przyglądał się jej z dużą przyjemnością i dostrzegł, że ilekroć zatrzyma na niej wzrok, ta miesza się, czerwienieje i zaczyna mówić głośniej. Potem złowił jej kilka ukradkowych, przyzwalających spojrzeń. Oczyma wyobraźni zobaczył się z nią i... przeżył chwilę uniesienia.

I wtedy nad głową usłyszał uderzenie kuranta - bammmmmm, baammmmmm. Znad talerza kobieta popatrzyła pytająco na męża, na zegar i znowu na męża.

- Jest piąta. Wczoraj, o piątej byliśmy razem. Ot głupia... pewnie wymyśliło to moje poczucie winy. - Pomyślała kobieta. Ale mimo to czuła, że zegar scementował ich słabnące uczucie.

Andrzej Wydmіński

Przebiśniew

1.

Wygodnie usiadł na ławce; pierwszej z długiego szeregu po obu stronach dochodzącej do jeziora promenady. Palcami stóp zsunął japonki, przesunął je do przodu i oparł na nich pięty wyprostowanych nóg. Przedramiona złożył na oparciu tak, że dłonie zwisały luźno, nie dotykając drewnianych listew. Przed jego wzrokiem przesuwali się kolorowo ubrani ludzie.

Siedział sam.

Parne powietrze drgało w skwarze. Wczasowicze wracali z plaż. Koszulę spinał mu tylko jeden guzik, tuż nad paskiem welwetowych spodni. Mocno zarośnięty tors przyciągał spojrzenia niektórych kobiet. Nie zdawał sobie z tego sprawy. Ciężkie promienie słońca powoli zamykały powieki. Nie wiedząc kiedy, zdrzemnął się.

Po jakimś czasie poczuł, iż głowę trzyma na czyimś ramieniu. Lekko rozwarł prawą powiekę. Długie płowe włosy opadały dziewczynie na plecy. Białoczerwony sweter o krótkich rękawach nadawał w jakiś szczególny sposób wdzięku twarzy, a ta twarz, jak i ręce, i wspaniałe nogi – no, na ten rzut prawego oka – dokładniej: uda, miały czekoladową karnację. Dłonie, nie, ręce, a więc ręce trzymała na białej spódnicy (z żaglowego płótna?). A w prawej dłoni, tej dalszej od tego, co siedział obok, a raczej to ona obok niego, ta dziewczyna, nie ręka, nie dłoń, więc w prawej dłoni zaciśnięta była długa smycz, trzymająca na uwięzi rudego kundelka, bo nawet nie kundla; myślę o wielkości, posturze. Ten psiak gapił się na ludzi z chodnika siedząc na dwóch łapach. A ona, dziewczyna, opuszczone miała powieki, a jeszcze bardziej opuszczone rzęsy – długie jak smycz.

Dziewczyna oprócz białej spódnicy (z żaglowego płótna?) I białoczerwonego sweterka, i kremowych sandałów

(poruszyła raz lewą stopą i zobaczył), nosiła jeszcze imię Marta. O czym ten przebudzony wiedział, bo wiedział, że to ONA.

ONA – powiadam. I żebym się nawet zesrał, to i tak nie uda mi się JEJ opisać. Ale postaram się o NIEJ (i nie tylko) opowiedzieć trochę. Bo to ja byłem tym siedzącym na ławce, Marta była... no właśnie... kim ona była dla mnie?

2.

Była przebiśnieniem.

Kiedy jeszcze trwa zima, znajdziecie przebiśniew wychylający się nad ziemią. A możecie być na ten czas pijani, możecie być wściekli i w najgorszych mniemaniach o sobie – i zobaczycie, co się z wami stanie, na ten czas.

Z więzienia się wyszło. Z globusem nabitym trzema latami, a globusem ostrzyżonym na zapalkę i ze ślepiami pochłaniającymi też dziewczyny, i z gniewem, i zdziczeniem, i... katharsis też.

Z więzienia się wyszło, powiadam, i się szło chodnikiem deszczowym miasteczka maciupęńskiego, i się nogi zaczęły cofać, bo oto drugim chodnikiem, chodniczkim, szła w zielonym płaszczyku ze sztruksu, w białych, po kolana gumowcach, z płowymi włosami za plecy, z twarzą o rysach, o rysach... Marty!, szła, powiadasz, zjawa.

I miało się wrażenie, ale wtedy się nie miało wrażenia, ale się tak mówi: ma się wrażenie; no więc się miało wrażenie, choć go się nie miało, że coś człowieka rąbnęło, bo się było człowiekiem, w tym więzieniu; i kto wie, co to znaczy, to wie.

I się szło do tyłu, a zjawa do przodu, do przodu, i się mogło wydawać, że tych dwoje się nie spotka; bo alogizm. I ona wtedy zaczepia oczy na człowieku, i wali się świat, i potem to już tylko człowiek chce, żeby ten świat się walił i walił...

3.

Ale się nie wali...

I to jest prawie nie do wytrzymania. Aż zjawia się zjawa. Gdzie? Na przykład na meczu piłki nożnej. Mało tego – zjawa stoi pośród, a pośród pośród jest kolega człowieka.

W dwa dni później człowiek widzi zjawę w miasteczku. Coraz mniej jest człowiekiem, coraz więcej ludziami. Podrywa zjawę. I zjawa jest z nim!

I jest zjawą coraz bardziej! I człowiek, któremu odrastają włosy prowadzi zjawę po lasach, zabiera na jeziora, które

zawsze kochał, i przekonuje się, przekonuje się, powiadam. Bo zjawą potrafi przystanąć pod drzewem i mieć w oczach łzy, kiedy spadają liście. A człowiek nie może chcieć niczego więcej. I jeszcze zjawą mówi któregoś dnia (było słońce wówczas słabe): „pachniesz lasem, przyrodą” – i znów wali się świat, a krótkie włosy człowieka drżą.

4.

I znowu jest z nią w lesie; nie dlatego, że nie potrafi niczego poza tym wymyślić, nie dlatego. I trzyma jej dłoń, i widzi, że ona (zjawą) nie tylko widzi las, nie tylko, powiadam; lecz wtedy nie myśli o sobie, bo może i jego nie widzi, i człowiek wie. WIE!, że kocha... A ona, gdy wracają, mówi: „wiesz, chyba zaczyna się u mnie rodzić coś na kształt miłości. Po raz pierwszy”. Więc co wtedy?! Jak to przyjąć? No, jak? I niech mi nikt nie próbuje powiedzieć, że to banalne i cikliwe. Niech nie próbuje...

5.

Się jest ze zjawą.

Wszystko jest zjawą. Nie ma człowieka, nie ma lasów, jezior, jakie się znało; wszystko jest zjawą.

Tylko strach, strach, który spadł niewiadomo skąd, nie, wiadomo – z miłości; strach nie jest zjawą. Strach nadaje zjawie materialne rysy. Nie ma nic gorszego dla zjawy, jak rysy. Te rysy grubieją, rosną, nabrzmiewają; to już nie są rysy. Więc co, więc co...

6.

Zaczęło się pić. Zaczęło się wędrować po knajpach. Solo po knajpach. Popaliło się lasy, spuściło wodę z jezior, powycinało resztę drzew. Nie było już liści...

7.

Oddalenie się od siebie trwało. Tu nie ma co głądzić. Nie ma co gadać bógwico. Odeszło się. Odeszło się bardzo daleko, dalej, cholernie dalej, niż to się wydaje.

8.

– Jak ci się żyje? – spytała teraz nie odmykając oczu.

Zabrakło słów, oddechu zabrakło. Bez pomocy rąk wzuło się japonki. Bezwiednie.

Powtórzyła pytanie.

- Do dupy i nijako - ambiwalentnie - odpowiedziało się, bo trzeba było coś odpowiedzieć. I już się wiedziało, że nie może być tego, co było ongiś.

Wstało się.

Przytrzymała za rękę.

- Siadaj - pociągnęła z powrotem na ławkę. Kundelek za-
bulgotał. W jej oczach odbijały się słońca promienie - frazesowa-
wato.

- Po co przyjechałaś? - się powiedziało.

- Chciałam cię spotkać.

9.

Czuło się zgagę.

Niewidoczne słońce się obudziło. Zewłok leżał obok wy-
ciągnięty. Spał. Psina warowała. Wstało się bezgłośnie. Ubrało
chyłkiem. Otworzyło się skrzypiące drzwi, zamknęło bez-
skrzypiąco. W te pędy zbiegło się schodami wąskimi, z zakrę-
tami, z zakrętami.

Hotel jeden stał w mieście.

Ks. Jan Filewicz

Niebo Podlasia

Po niebie Podlasia
pełzają rozleniwione
chmury

słońce jak
zimna gwiazda
jasno świeci

drzewa przebierają się
kolorowo
oddając owoce

ptaki nawołują się
odlatując do ciepłych krajów

a pola odpoczywają
po oddaniu plonów

na łąki i pastwiska
przyszło lato
w różnokolorowych odcieniach

a ja ubarwiam serce
miłości tęczą do podlaskiej krainy

Maj na Podlasiu

Maj na Podlasiu
to dziwny malarz

maluje
budząc
ptaki do śpiewu
i przetacza po niebie
radosne słońce

tylko księżyc
jak stróż
czuwa nad nocą
pełną zapachów Podlasia

Wiosna na Podlasiu

Wiatr unosi ku górze
warkocze kwiatów
pachnie nasturcją
a moje usta milczą

oddycha młoda zieleń
gaj ptactwem śpiewa
i promienie słoneczne
przenikają na wskroś dotyk przyrody

czy może być piękniejszy
poemat...

piękno przyrody Podlasia
życie budzi się z zimowego snu

czy aby te cuda naprawdę
dla mnie...

Ziemia podlaska

Ziemia podlaska
ukołysana
śpiewem ptaków
okryta
płaszczem jesieni
piękna
o każdej porze roku

bądź ze mną
zawsze

* * *

ocalmy piękno
podlaskiej krainy
wszak piękno jest po to
aby wiecznie trwało
w nas...

* * *

W wierszach z Podlasia
pachnie świerk
a zapach
ścieli się pośród zimy
kołysząc
kwiaty snów
i łąka dzieciństwa
powraca

wilgi pogwizdują
w gałęziach brzoź
uśmiech i radość...

błogosławię życie...

Joanna Pisarska

Droga Krzyżowa

A może nie trzeba wszystkiego rozsądzać i ważyć
Ale wziąć swój dzień
Jak szklankę herbaty z jej goryczą na dnie
Może spojrzeć inaczej na najbliższych
I na tych, którzy nas nie chcą
Albo stać się kimś innym dla tych, którzy tego nie oczekują
Mimo potykania się o głupstwa
Mimo niezrozumienia
Mimo ogarniającej nas beznadziei
Bezsilności
I lęku
Oddać Bogu co Boże
A człowiekowi co ludzkie
Może warto otworzyć oczy na ciemność
By zobaczyć światło

W ranach Twoich

w ranach Twoich
przemienia się
życie moje

krwi kroplę po kropli
w różaniec ciężki zbieram
za pas zatykam

stopom na odwagę
słowom po męstwo
oczom dla miłosierdzia

życie moje
nasyca się
Tobą

Matka

Ty wiesz
nie zraniłbym Cię nigdy

ale teraz
jeszcze cięższy ból
muszę Ci zadać

teraz ten krzyż
to nie koniec

będę Cię prosił
o wciąż więcej

dla
wciąż nowych
wciąż przybywających

ogarniam łzami
Twoje kochanie

jesteś
zawsze zasłuchana
po brzegi

bez reszty
Matko

Cyrenejczyk

wezwałś mnie
a ja nawet nie wiem
czy pragnę tego zbliżenia

badam dłonią
chropowatość belki
szacuję nachylenie drogi

krzyż wrzyna się
w oswojoną codzienność
więc uciekam wzrokiem

do szachownicy pól
z okruszynami woni
oliwnego gaju

gdy opar potu
naszych ciał
poraża swoją identycznością

uczysz mnie tej drogi
w rytm kroków
nasyconych bólem

z Tobą
dopiero
jestem

Marek Dobrowolski

Dwie...

Stały dwie trumny,
na sztorc,
dziwne jakieś...
A w tych trumnach tysiące okien,
a w tych oknach ludzie,
żywi,
ale im życie ktoś odebrał
i runęły.
Bo to trumny były,
dziwne jakieś...,
jak dwie wieże.

*/W hołdzie tragicznie zmarłym
w World Trade Center/*

* * *

Było ciemno,
przede wszystkim ciemno,
choć przyjemnie.

Było ciasno,
przede wszystkim ciasno,
ale wygodnie.

Było mokro,
było bardzo mokro,
ale ciepło.

Teraz nie jest
ciemno,
ciasno
mokro,
i coś bardzo boli.

Życie?

Przecież w łonie matki
było życie.

Ks. Tomasz Wilga

Jezus bezdomny

Szukałem

Spotkałem

Siedząc przy chorych
Chodząc po salach.

Dziś
Przyszedł na obiad.
Zarośnięty
Brudny
Usiadł przy stole
Opowiedział historię
O nic nie prosił
Zjadł
I poszedł dalej
Mówił że wróci.

* * *

Ks. Janowi Twardowskiemu

spieszmy się
odszedł cichy
król
poeta
ojciec
pozostały strofy
wołające

boża krówka
zapłakała

* * *

przed laty
spotkałem ciebie
tak po prostu
dziś jesteś gościem
w mych skromnych progach
mówisz
ukazujesz drogę
słucham

Tęsknota

tęsknię za domem
pełnym
chleba zapachu
Matczynego śpiewania

Za podłogą, co skrzypi, gdy ciszę usłyszysz
Tykaniem zegara, co wojnę pamięta
I myszą przycupłą w kątku

* * *

wyciągam dłoń
chwytam promienie światła
zamknięte w różnobarwnej tęczy

przyniosę je do domu
zasuszę za obrazem

pająk zatrzyma się na chwilę
zamyśli się o niebie
a w nocy
mysz na środku pokoju
zatańczy w jej świetle

Józef Zenon Budziński

* * *

Dzisiaj w nocy
przekroilem niebo
krążkiem księżyca

* * *

Napisałem wiersz
modlitwę
do Boga
nocą
przy nieba błękiecie
z prośbą
o jasność
w mroku
o gości nie ostatnich
o odpuszczenie grzechów
przygwożdżonych do krzyża
o pokorę
w moim nie cichym życiu
o starość jutra
która ominęła Boga
o wieczną radość
w przyszłym życiu
napisałem wiersz
modlitwę

/Grajewo, 07.11.2004/

* * *

Mój wiersz
jest jak ciemne
słońce
zagubione
w cieniu dymów
nie związany
z drugim człowiekiem
nie nakazujący
po prostu jest
jest całością choć
wydrapany na kartce
jest błędem świata
mój wiersz
jego krzyki
milczenia
i powroty
jest

/Grajewo, 24.10.2004/

* * *

Przed moim domem
za oknem
rośnie drzewo
i rozpina
czule konary
patrzac w słońce
i ciągle przypomina
mi że jest

/Grajewo, 24.10.2004/

Zofia Maria Dembińska

Anioł od wierszy

Z pękiem kluczy na szyi
bez telefonu
i adresu

może teraz otwiera
śpiew słowika
lub moknie
w dziecięcej łzie

potrafi odsłonić
bezdolnym słowom
niezamieszkałą kartkę
w moim sercu

Wiersz

Bez majątku
i bez trwogi
czysty i własny jak kot
nie zna jutra
które może być apokalipsą

wierzy w natchnienie
w którego strumieniu się rodzi
w ciszy szarego serca
żyje krótko i pośpiesznie

potem zasypia
nowy brzask budzi go
i przeobraża
nim spocznie
w szklanej szkatułce słów

Jabłonie

W ciemnych spódnicach
obszytych trawą
po tysiącokroć wpięły
bukieciki w gałązki
na kilka dni
maja

oczy spisują
taniec nadziei
różowym tuszem
na jedwabnym skrawku powietrza

potem
przez zielone tygodnie liści
przędą pracowicie wzory
chmur i wiatru
aż plon
spocznie w skrzynkach
po czerwień ust

* * *

Macierzyństwo przyfrunęło
do gniazd
na ramionach dzieci

chwile kwitną bujnie
i rozlatują się beztróska

odjazd pociągu
zamyka ptaki w sercu
trzepot skrzydeł
śpiew urwany

Wesele

Ona i On
na białych koniach
po obłoku szczęścia

za nimi
orszak
przestrzeń muzyczna
uskrzydła ramiona

przy zapalonych świecach radości
taniec rozkwita szalony
pocałunki się kręcą na rżęsach

smaki się kołyszą
od talerza do talerza

aż czarodziej rytm uleci z ciał
obiektyw wesela świtem się przysłoni

długo jeszcze
jak wróble na piasku
trzeptać będą serca

Z dworca

Przez drzwi
splecionych dłoni
wchodzimy do domu

meble jak pies się łaszą
przez okna mruczy błękit
ściany bielą pytają
czemu wracamy sami

Julian Dworakowski

Pamiętajcie, drzewa

Będą przeciw wam świadczyć,
że chodzicie na głowach
będą przysięgać nie na drogę,
a na kałużę
będą dowodzić kawałkiem nieba
utopionym w kałuży

będą rozjeżdżać wasz obraz
stworzony
by stworzyć swój

pamiętajcie, drzewa
nie korona zielona
a jedyną mądrością –
zdrowe nogi, by w porę
zejść z drogi

pamiętajcie, drzewa –
droga wam świadkiem

Przykazanie zieleni

będziesz miłował drzewo
korzeniami swymi
koroną niemartwą
a jeśli rośniesz w ogrodzie
pamiętaj o drzewach
rosnących przy drodze

przykazanie zieleni
byście się wzajemnie
dozielenili

Teodor Sokołowski

Lecą liście

Lecą liście szumią drzewa
Jesień zmarłym psalmy śpiewa
Cmentarnymi alejkami
Żywych tłum wytrwale krąży
Ze zniczami i kwiatami
A w tym tłumie każdy człowiek
Do znajomych grobów dąży
By zapalić na nich ogień
By uронić łzy spod powiek
By odmówić Anioł Pański
Za byt wieczny dusz swych drogich
Ukochanych nieboszczyków
Cmentarz cały jak ptak rajski
Wielobarwny tonie w kwiatach
Tysiącami łni płomyków
Błyszczą blaskiem płyt pomników
O minionych szepce latach
Swe ramiona wznoszą krzyże
Z każdym rokiem do nas bliżej
Na proch zważać wszystkich proszą
Myśl kierować ku niebiosom.

Lecą liście szumią drzewa
Jesień zmarłym psalmy śpiewa
I zeszlými liśćmi kręci
Przywołuje nam z pamięci
Wszystko to co przeminęło
Naszych dziadów i pradziadów
I najbliższych nam rodziców
Młodo zmarłych córek synów
Małych wnuków siostr i braci
Cioć i wujków i przyjaciół
I ich życie i ich dzieło

Wiele danych nam przykładów
Jak miłować w swoim życiu
Wiele ludzkich dobrych czynów
W takich chwilach któż by nie czuł
W swoim sercu żalu smutku
Za bliskimi co tu leżą
Że tak żyli z nami krótko
Smętne myśli w nas się snują
Wraz z tęsknotą i zadumą.

Lecą liście szumią drzewa
Jesień zmarłym psalmy śpiewa
Ileż to pokoleń przeszło
Pełniąc swoje powołanie
Ileż od nas już odeszło
Z nami również to się stanie
Wkoło się historia kręci
Wiedzą o tym wszyscy Święci
Dusze naszych bohaterów
Którzy za swych ziemskich braci
Za Ojczyznę krew przelali
Przez szlachetność charakterów
W niebie się Świętymi stali
Tu ubodzy tam bogaci
Tam szczęśliwi tu w mogile
A na świecie przemian tyle
Tyle rzeczy się wydarza
W ciszy i pokoju słusznym
Spoczywają Boże dzieci
Na ich grobach lampka świeci
W Święto Świętych w Dzień Zaduszny.

Lecą liście szumią drzewa
Jesień zmarłym psalmy śpiewa
Na cmentarze pójść nas skłania
Lecą kartki z kalendarza
Płyną dni miesiące lata
Będzie tak do końca świata
Aż do czasu zmartwychwstania...

Elżbieta Skąpska

Twórco tęczy

Wybrałeś
cierniowe drzewo,
skąd serca oceniasz
według punktów
nieznanych.

Uniosłeś mnie
nad grzywę konia
pędzącego galopem.

Zatrzymałeś
w przestworzach
na ułamek
wyznacznika czasu.

Pozwoliłeś
bezpiecznie
przyjąć gorące
promienie słońca.

Zbyt małe
są moje słowa,
by móc ci
podziękować.

Czy sens
poznany
i czyny
jak kropka
wystarczą?

/2007-06-03/

Spojrzenie w Wielobyty

Nocne chmury
Tworzą ci kotarę,
Byś mógł odpocząć przed zmianą
Księżycu...

Pozwalasz na częstą
Ingerencję w twoje pole
Jednostkom przeciwlotniczym
Powietrze...

Raz wcielasz się w zwierciadło,
Innym razem – w kopacza
Powierzchniowych głębin
Wodo...

Ty chronisz stopy
Przed zapaścią
Mimo zszargania
Ziemio...

Spalasz chwasty
Rozgrzewasz lody
Siejesz iskry
Ogniu...

Czy warto non stop
To samo,
Gdy zmienność
Cechą natury?

/2007.10.04/

Sprężyna dnia

To dziwne, że
hałaśliwą ciszę, szum „kranówki”,
kleksa na białej kartce papieru
zmyć można rozlanym sokiem
z czerwonych grejpfrutów

To ciekawe, że
tak niewiele trzeba, aby nadać treść
jednym pociągnięciem palca

To cudowne, że
we właściwym czasie pojawia się ser
z wielkimi dziurami,
przez które da się patrzeć
bez zmrużenia oka.

/2006.06.12/

Eugeniusz Szulborski

Moja Matka

Moja Matka Ostrożna
Moja Matka Wziemięwzięta
Moja Matka -
A ile matek ostrożnych
o Matkach zapomniało
ile ostrożności wziemięwzięto
w przeciągach łez
w pocałunkach pierścieni
tych co łączą - aż do śmierci -
Mówią - jest Matką - ale
gdyby Matką nie była
nie byłaby moją ostrożnością
 moim natchnieniem
 moim ja
Moja Matka Ostrożna
Moja Matka Wziemięwzięta
Moja Matka -

* * *

Pamięci babci Heleny

Długo czekałaś
na wschód słońca
oparta o zrębinę studni
stary dąb omszały
gładziłaś dłonią
Tej wody nikt nie wypije
- myślałaś -
i przechylałaś wiadro
Jak zdrowy śmiech
spadała struga
spadała i ciekła
po deskach
jak po strunach skrzypiec
plum plum plum
odzywała się głębina
A tyś stała żurawiem
nad zrębiną studni
mszałaś
wysychałaś
przez szczeliny twych oczu
wychodziła rosa
I dziś stoisz
krzyżem cmentarnym
czy słyszysz
jak po twoich ramionach
spływa deszcz?

* * *

- *Wieškowi Kazaneckiemu*
wspomnienie
w piątym dniu po śmierci -

Kamień z kamienia
stoczył się już na dno
portret z nagonką
malując rodzinie
twoi Barbarzyńcy
ciągle wiele znaczą
a ponad nimi rośnie kruche imię
już mi nie powiesz
gdzie Charon łódź trzyma
i jakie wiosło
w twój Styks on zanurzył
łódź odpłynęła
poza lata chude
a wiosło wierszem
czas w przestrzeń wydłużył

/1989.02.05/

IV Otwarty Konkurs Poetycki Majowej Konwalii

Dnia 02.06.2008 r. w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Wasilkowie odbyło się uroczyste rozstrzygnięcie „IV Otwartego Konkursu Poetyckiego Majowej Konwalii”, organizowanego w ramach corocznych obchodów Dni Wasilkowa.

Organizatorami konkursu byli: Urząd Miejski oraz Miejska Biblioteka Publiczna w Wasilkowie, pod honorowym patronatem Burmistrza Wasilkowa. Celem konkursu było inspirowanie ludzi utalentowanych oraz stwarzanie możliwości prezentacji dorobku poetyckiego, konfrontacje twórczości poetyckiej, a także popularyzacja kultury żywego słowa.

Regulamin konkursu stanowił, że każdy uczestnik może zgłosić od 2 do 5 własnych utworów, niepublikowanych, napisanych wyłącznie w języku polskim, nawiązujących do rodzimego regionu i luźno powiązanych z cytatem Zbigniewa Herberta:

„Serce kamieni drży czasem jak serce małych zwierząt”.

Do konkursu przystąpiło 31 uczestników.

Komisja konkursowa w składzie:

Jan Leończuk – przewodniczący

Małgorzata Rokicka-Szymańska

Irena Grabowiecka

na posiedzeniu, które odbyło się 23 maja w Miejskiej Bibliotece Publicznej wyłoniła laureatów konkursu. Zostały przyznane cztery równorzędne nagrody oraz siedem wyróżnień.

Nagrody zdobyli:

Anna Piliszewska, Grzegorz Chwieduk, Aneta Skrzypko, Janina Karasiuk

Wyróżnienia:

Adam Kiermut, Piotr Zemanek, Bogdan Nowicki, Mirosław Brozio, Katarzyna Wiktorja Polak, Izabela Kielkucka, Paulina Łapińska.

Poniżej prezentujemy wybrane utwory osób nagrodzonych.

Anna Piliszewska

za siódmą groblą

to tutaj Czas przystaje w płóciennych bamboszach
a zmarli śpią
wśród kartek pękatych albumów
- w martwej ciszy kruchości
zetłających przedmiotów szeleści
żywa kruchość papierowych
księżyców twarzy dawno zatartych
snią się bliscy muskając
krawędź wyobraźni

wspomnienia przepływając pluskają ostrożnie
- jest tak jakby
zawracał uparty nurt wody - sen się staje trzeszczący i
wyobrażalny: z drobnych puzzli pamięci
z nierzeczywistości
nieobecni przychodzą

i pachnie ciastem kuchnia a światło wydłuża
chyboczące się cienie i słychać śmiech siostry
- przestrzeń skrzypi
sękami lśni smugami wosku

liści żółte kondukty mkną w sień od podwórza

Wniebowstąpienie - figurka przydrożna

Deszcz wydziobał jej oczy a
Wicher beztrasko
Stargał suknie
Dmuchając
W twarde sęki ciała

Minął wiek
Choć klepała pacierze drewniane
Umarł ptak
Choć niedawno
Ptaka pocieszała

W rachitycznym podolku
Krzywe dłonie skrywa
Mech
Paciorki różańca
I światła okrucy

Czasem klóci się
Z siostrą - więdnącą
Pokrzywą
Gdy kasa ją jej pięty
Pisklęta i muchy

Lecz naraz
Już pogodna
Przygarnia pisklęta
Muchy ważki łagodnie
Otula swym cieniem

Bóg przysiada na miedzy
Liść mięty urywa
I rozmyśla
Nad rychłym jej
Wniebowstąpieniem

Aneta Skrzypko

* * *

Babciom i ś.p. Dziadkom

tykanie dziadkowego zegara
wyznacza rytm
mieszania herbaty z miłością
cisza przeciąga się leniwie
ociera o twoje nogi
jakby była dachowcem sąsiadki którego
tak lubisz
/na niedzielnych spodniach znów
zostawi ci kosmyki cichości
które trudno doczyścić/
srebrne łyżeczki bawią się w berka
i przedrzeźniają dzwonki kościelne
nieśmiało
jakby bały się pana zakrystianina

* * *

jak niewidoma
odmierzam czas:
rysuję twoją twarz na szkle
delikatny szkic palcami uwydatnia
wysokie czoło przez które przebiegają – czasem –
dwie zmarszczki ze zdziwieniem –
bliznę zapadającą się miękko nad prawą brwią
i uśmiech z którym powracała wiosna
barwy czerpię pełnymi garściami
z kory dębu i łupiny kasztana
z błękitu nieba przyglądającego się sobie
w strumieniu
z listków wierzby która zawsze pierwsza
w pogoni za słońcem
twój portret

Janina Karasiuk

Klękam w czas wieczorny

Ziemio mego dzieciństwa, życia mojego, młodzińskich
lat!

Pozdrawiam cię szumem sosen, w których zamieszkał
podlaski wiatr.

Ziemio rodzinna piękna, ziemio ma podlaska,
Nie chcę być na tobie w pół spróchniałym drzewem!
Chcę korzeniami głęboko, jak dąb w ciebie wrastać,
Rozbrzmiewać w drzew koronach, wdzięcznym ptasząt
śpiewem.

Chcę widzieć jak słońce zaspane, budzi się i ziewa,
I przedziera się z wolna przez gęstwinę leśną.
Słyszeć jak kwiatki konwalii dzwonią na mszę drzewom,
I jak osiki, poranne różańce listkami szeleszczą.
Chcę o zmroku spoglądać w Bugu ciemną toń,
Szumem brzóz się zachwycać, olszyn i łóz siwych.
I choć czas już bielą przyprószył mą skroń.
Pragnę lgnąć całym sercem, do tych miejsc szczęśliwych!
Klękam w czas wieczorny, o majowej porze,
Pod mym podlaskim niebem, z pieśnią uwielbienia.
By za rodzinną ziemię, dziękować Ci – Boże!
Za kwietne sady i łąki, i za szmer strumienia.

Tak mi tutaj dobrze, że nie wypowiedzieć!
I już nigdzie w życiu lepiej mi nie będzie!
Pragnę tu do końca pozostać, i wiedzieć,
Że będę tu nawet wtedy, gdy mnie już nie będzie!!!

Naciesz mnie

Naciesz mnie ziemio hojnością swoją,
Urodą, barwą, zapachem bzów.
Tak, bym się mogła nasycić tobą,
Na czas wiecznego mojego snu.

Naucz mnie Panie, jak słuchać ciszy,
Pachnącej rosą podlaskich pól.
Słonecznikami daj się zachwycić,
Złotymi, na kształt ognistych kul.

Naucz mnie Panie modlić się ciszą,
Błogą jak poszum kwiecistych łąk.
W których się jaskry z wolna kołyszą,
I tulą miękko do moich rąk.

Chciałabym wielbić zagon ojczysty,
Motyli skrzydeł leciutkim wiewem.
Chłodnym obłokiem mgły powłóczystej,
Promieńmi słońca i ptasząt śpiewem.

Niech wszystko wokół rośnie i kwitnie!
Niechaj melodią wdzięczną rozbrzmiewa!
Barwi się złoto, srebrno, błękitnie,
Hymn życia niosąc hen, aż do nieba!

Grzegorz Chwieduk

Wiosna

blask uśmiechniętego dnia
rozpostarł swe skrzydła
ogród usłany dotykiem wiosny
promienie słońca z drzewami flirtują
ziemia od zieleni nabrzmiała

myśli nasze usiadły
na listkach i na
kwiatkach
wiatr cicho szepcze ciepłe słowa a
Ty ze mną chwytasz w dłonie
przepływające obłoki

w puls wonnej trawy wtuleni
nasycamy dziś zmysły wiosną
czystą jak pragnienie

Byłaś

byłaś w tym tłumie
moim drogowskazem
łakomie Cię oglądałem

przy Tobie nie musiałem
ukrywać swoich skrzydeł

byłaś

w końcu
przyszylaś mi samotność
żartując
że odchodzisz z tęsknoty
za resztą świata

zostawiłaś po sobie
tyle znaków zapytania
że można nimi obwiesić
nasz znajomy las

Konkurs poetycki „O Srebrne Pióro MDK” – II edycja, 2008

Dnia 12 maja 2008 r. Jury w składzie:

1. Jan Leończuk – Prezes Białostockiego Oddziału ZLP, Dyrektor Książnicy Podlaskiej – przewodniczący Jury
2. Marian Piotr Rawinis – powieściopisarz, dziennikarz, red. nac. dwumiesięcznika „Aleje 3” – Częstochowa
3. Janusz Taranienko – poeta i krytyk literacki, nauczyciel instruktor MDK

Po zapoznaniu się z 57 zestawami wierszy oraz 3 zestawami prozy poetyckiej nadesłanymi na konkurs, postanowiło:

- * jednogłośnie przyznać nagrodę główną konkursu - "Srebrne Pióro MDK" - za zestaw wierszy opatrzony godłem "ANNA" - Agnieszce Jaranowskiej z III LO w Białymstoku
- * przyznać trzy równorzędne nagrody:
 - "czerwony" - Dorota Gryka z Zespołu Szkół w Michałowie,
 - "Szytrus" - Szymon Trusewicz z Zespołu Szkół w Michałowie,
 - "Hekate"- Dorota Sigillewska z II LO w Augustowie.

Jury przyznało również 4 równorzędne wyróżnienia, które zdobyli:

Agnieszka Jagiełło z Liceum Plastycznego w Supraślu, **Anna Sokół** z Liceum Plastycznego w Supraślu, **Natalia Wielgat** z II LO w Augustowie i **Michał Ludwik** z PG nr 12 w Białymstoku.

Jury wyraża zadowolenie z nadesłanych wierszy, ich różnorodności tematycznej i różnorodności poetyk stosowanych przez młodych adeptów pióra, nie tracąc przy tym wrażliwości poetyckiej.

Organizatorom konkursu należy wyrazić szczególną wdzięczność: wszak dzięki nim nie zgaśnie nadzieja na otulenie otaczającej nas rzeczywistości czułością wiersza. I młodości.

Grand Prix – „Srebrne pióro MDK”

Agnieszka Jaranowska
(III LO Białystok)

Piosenka o Werterze

Siedzi pan, panie Werter,
przy kawiarnianym stoliku
w samym końcu sali
z kapeluszem jak z czarnym sępem
o rozpostartych skrzydłach
pod którymi skrywa się
bezwstydnie biały bandaż –
ślad wielkiej towarzyskiej gafy

Taki wstyd, panie Werter

Uśmiecha się pan blado
bardziej tak gdyby się pan krzywił
nad taflą białego cukru
który rozsypał pan sięgając
wciąż drżącą ręką
po cukiernicę

Pochyla się pan i palcem
kreśli bezwiednie imię
pewnej zwykłej dziewczyny
z Walheim

Jak tak można, panie Werter

Szybko spostrzega pan jednak
niezręczność swojego czynu
i pospieszenie dmucha w cukier
który znowu utworzył tylko
pofalowaną równinę

Zaraz zabiera się pan
za rysowanie konturu ust
dziewczyny siedzącej
przy stoliku naprzeciwko
potem jej oczu
zarysu policzków
gdy pije przez słomkę
słodki napój

Po chwili pojawia się także
postać kobiety stojącej
przy ozdobnym oknie
jej włosy zaznacza pan z lubością
kaskadą falistych linii

Przechodzący obok uśmiechają się
bawią ich te czułe cukrowe portrety
ach, panie Werter,
pan zawsze miał coś w sobie
z dziecka

Zaskoczony wzrok kelnera
każe panu sprzątnąć
cukier z blatu
gdy bierze pan do ręki
garść białych kryształków
tak śmiesznie kurczy pan dłoń
jakby próbując uchwycić coś
co nie przesypywałoby się panu
przez palce

Uszami

O sztuce patrzenia uszami
świat wiedział już dawno

My, mieszkańcy
współczesnych wieżowców,
przekroczyliśmy jej granice
z powodzeniem

Skuleni w gipsowych kajutach mieszkań
niepozornymi uszami
wyłapujemy ułamki dźwięków
sącących się przez ściany

Potrafimy przetworzyć je
na cudze twarze
nieznane zdarzenia
a nawet
emocje i myśli

Potrafimy naszych bliźnich
uszami darzyć sympatią
lub uszami
żyć do nich niechęć
potrafimy
uszami wpadać w złość
z czyjegoś powodu
uszami dodawać komuś otuchy

Sądzić uszami

Nie potrzebujemy
dokładnego oglądu
rozeznania
światła

Niech odejmą nam
oczy nosy języki dłonie
ale niech nikt
nie skazuje nas
na przestrzeń głuchą
odludną

Wspomnienie

Nigdy nam, bracie,
nie było tak blisko
jak tej nocy
gdy mgły zeszły z kryjówek
w naszą małą dolinę

Stojąc przy oknie
uparcie i z tęsknotą
wpatrywałem się w biel

Nie patrz — mówiłeś —
nie nasza to rzecz
mgielne widziadła badać

Nie marnuj swych sił, braciszku,
na wytwory imaginacji i tęsknot
nawet gdyby ich prawa
nosiły pozory realności
nie przystają one
do ludzkich ciał i umysłów

Uśmiechnąłem się delikatnie
coraz bardziej uparcie wpatrzony
w biel

Zbliżyłeś się do szyby

Mgła gęstniała

Stałeś tak przez chwilę
niczym dziecko wtulone twarzą
w policzek matki

Nigdy nam, bracie,
nie było tak blisko
jak tej nocy
gdyśmy obaj stali przy oknie

Moja dłoń na twoim ramieniu

Nagrody

Dorota Gryka
(Zespół Szkół w Michałowie)

Zwierzę pokarmowe

Mały kobylik
Skakał po trawie.
Połamał sobie nogi.
Sztuk: cztery.
Leży teraz na wyciągu i płacze.
Czeka:
Czy go dobiją. (?)
Czym go dobiją. (?)

Myślisz, że jesteś bardziej wolny niż ja?

Człowiek nie jest wolny nawet gdy jest na wolności
Wyjdzie na podwórko i oblepi go śnieg
A potem będzie leżał krwią przyklejony
do prześcieradła
Bo śnieg z natury jest topiący się
Zostań dzisiaj w domu
Poleżysz przyklejony do prześcieradła wolnością

Po głowie

Chodzi mi po głowie
Rogate pogłowie.
Infiltrowało się.
Chodzi mi w głowie
Rogate pogłowie.
Kopytami depcze
Tup tup.
Wytupało ścieżki w głowie
Rogate pogłowie.
Mówi inżynier od ścieżek:
- Co się depcze się zdepcze.
Mówi weterynarz od pogłowia:
- Co się depcze się zdepcze.
Mówi podmiot liryczny od wiersza:
- Co się depcze się zdepcze.
Myśl myśl
Wymyślił ścieżkę znawców.
O! Boli go coś w głowie.
Chyba to rogate pogłowie.
O! Znikło mu coś w głowie.
Co się depcze się zdepcze.

Szymon Trusewicz
(Zespół Szkół w Michałowie)

Wiśnie rewolucyjne

Przełożę wiśnie ze słoika na chleb
Niech czują się swobodniej
Już nie cisną się na chama w słoiku
Jedna drugiej nie musi całować
Tej samej galaretki dzielić
Teraz większość oddzielnie leży
Jedna ma więcej, druga mniej
W tej radości wisienki moje zapomniały
O jednym.
Na chlebie nie poleżą długo i spokojnie
Jak w słoiku

Sweter mój. Wzorki ma nie romby

Bardzo mnie martwi, że nikt nie zobaczy mojego swetra
Długi, rozciągnięty. Ja sweter. Sweter ja.
Nikt nie zobaczy go przy śniadaniu
Nie zapamiętamy wspólnych plam
Nie policzone na dwa głosy drzewka
Na moim swetrze.
Rozciągnięty. Ale nikt go nie rozciąga mi.
Ale nie kręci mi nikt nitczek
Na lewej stronie mojego swetra.
A tu białe, a tu czarne. Tam szare
Nie zastanawiam się bo nikt nie wie
O moim swetrze.
Rozciąga się coraz bardziej na mnie sweter.
Zupełnie nikt się nie śmieje wieczorem i rano
Z mojego swetra.

Dorota Sigillewska
(II LO Augustów)

* * *

leczę moje poranione
ja
cyklicznym uderzaniem
oddechu

głaszczę schorowaną skórę
dotykiem i pocałunkami

i gdzie są twoje oczy
kojące rozdrapane wspomnienia

nic
przeszłość
ja

nikt

Judaszowe szepty

słowa anioły pająki
w tak krótkiej modlitwie
wyblakłe myśli
muchą zamkniętą pod parasolem...
no więc modlę się
śpiewając Bogu moje bóle
a trędowaci swe dłonie kruche przykładają do mych ran...
brodząc między kamieniami i nogami słońca
krzyczę Bogu me istnienie
kalecząc zmysły
rwąc nici ciszy
chcę żeby usłyszał.

Wyróżnienia

Agnieszka Jagiełło
(Liceum Plastyczne w Supraślu)

Kontemplacje nad sztuką współczesną

Usiądź
Tu nawet początek wymaga pauzy
Popatrz
Nie szkodzi, że nie widzisz
Pomyśl
Nie przejmuj się że nie rozumiesz

Piony
Poziomy
Plamy
Kolory

Sącz powoli boski napój
Na świeże spojrzenie
Krzycz
Gdzie to po co przyszedłeś
Nie pytaj
Czy wszystko już upadło

Jeśli potrafisz
Wzbudź
Sztuczny
Zachwyt

Anna Sokół

(Liceum Plastyczne w Supraślu)

Jeszcze dzień, jeszcze rok...

Jestem mleczem, dookoła mnie rozciąga się świat...

Jestem niewielki, prawie niewidoczny. Mam nad sobą inne, piękne kwiaty i dzikie, ostre brzytwy z traw. Nade mną owady, ptaki, stworzenia i ogrom błękitu, pod którym rosnę. Gdybym nagle zniknął, czy świat odczułby tę stratę? Prawie mnie nie widać, prawie mnie nie ma, a jednak istnieję. A jednak chcę być tutaj.

To, co widzę, kształtuje we mnie nieskończoność. Zachwyty i potrzebę odkrywania, i czucia, i życia właśnie tu, gdzie jestem. Na świecie pełnym zagadek do odgadnienia. Nie tworzy mnie łądoga ani żółta głowa, tworzą mnie marzenia, które są większe niż góry i cała łąka. Marzę o tym by stać się motylem, nietoperzem, ptakiem albo wiatrem. By móc jak wiatr być wolnym. Być niezależnym. Być swoim własnym. Unosić się niebiesko, unosić się mocno, wnikać w obce, dzikie przestrzenie bez nazwy, rozmawiać z mgłą. Chciałbym pozbyć się ograniczeń żeby bardziej być sobą. Pragnę podróżować, odkrywać świat i poznać go przynajmniej częściowo, bo nie wiem, kiedy przeminę. Czas mojego istnienia jest nieznamy, dlatego chciałbym widzieć jak najwięcej i patrzeć z różnych stron. Na kwiaty, które widzę obok i na ogromne trawy, które - jeśli patrzeć z wysoka - mogłyby stać się tylko drobnymi punktami przeróżnych kolorów. Na fiolet, błękit i zielen wód iskrzących się w promieniach słońca. I chciałbym dotykać ciepłych, jesiennych liści na drzewach, które ciągle jeszcze są mi tak dalekie i obce. Upajać dźwiękami potoków, chmur, ludzkich snów. Odczuwać zapach gwiazd i zapach prędkości. Stawiać kroki na szczytach gór, czuć ostrość i chłód skał. Są straszne i piękne jednocześnie, betonowe potwory bez uczuć, a jednak przesiąknięte magnetyzmem. A tutaj wszystko jest przeraźliwe... Tutaj jestem za mały dla świata, trzyma mnie ziemia, muszę się jej podporządkować... Czasami jestem nie-

nawiścią, do tego, co obok mnie. Jednak wiem, że każdy dzień i każda noc jest ważna, że jest sens trwania tutaj i sens oczekiwania. Pewnego dnia wyzwolę się i stanę się powietrzem. Zostawię za sobą moją rzeczywistość i przetnę wszystkie ścieżki powrotu. Pewnego dnia odleczę z uśmiechem i wtedy poznam smak nieskrępowanego Szczęścia. Jeszcze dzień, jeszcze rok, jeszcze będę.

Jestem mleczem. Jestem wiatrem. Mogę być kimkolwiek zechcę.

Natalia Wielgat
(II LO Augustów)

Paradoksy to jedyne co sprawia, że żyjemy

Chodź
Pokaż Ci gwiazdy w ciągu dnia
Gładkość roztrzaskanego lustra

Chodź
Naucz Cię snuć cień na równiku w południe
Opalać się na biegunie

Chodź
Zdmuchniemy fajerwerki nad nami
Rozbijemy stalowy kubek

Chodź
Zademonstruję Ci suchość rzeki
Słodki smak soli

Chodź
Urodzę Ci miłość prawdziwą
Szczęście nasze

Michał Ludwik

(Publiczne Gimnazjum nr 12 Białymstoku)

Ludzkie

gdy my ulegnie analizie
znów zobaczymy żeśmy nadzy
znów nas cherubin pogoni drewnianą pałką
i znów będziemy marni bo śmiertelni
ty znów będziesz dziewicą
ja znów będę musiał się uczyć
w końcu znów się Piotr zlituje
i otworzy po cichu nowym nam
i znów
jabłko błysnie w pozornym blasku słońca

Mimo cokolwiek

znów przewróciłem się masłem do spodu
szczery uśmiech rozsypał się po chodniku
pozbierałem go starannie
do pudełka po zapalkach
i szczęśliwy że już nie będę mógł
saczyć oszczerstw przez zęby
pokuśtykałem dalej

Wyróżnienie specjalne Jana Leończuka

Elżbieta Cerkiewnik
(VI LO Białystok)

Miłość

Modlitwy lustrzane
Zakodowanie bliźniego

Odległość oddechu
Panaceum

Brak chęci...

Wyróżnienie specjalne Mariana P. Rawinisa

Sylwia Zieleniewska
(VII LO Białystok)

Zwykle mięso i trochę kości!

Nie lubię gdy patrzysz na mnie w ten sposób
Jakbyś ujrzał we mnie coś interesującego
Jakbyś widział we mnie kobietę
Niepokoi mnie to nawet bardzo
Nie lubię tego twojego wygłodniałego wzroku
Zaczynam się bać
Przekleństwo!
Ja nie chcę

Nie patrz
Nie dotykaj
Zniełub mnie jeszcze bardziej
A potem zapomnij

Mówisz że jestem uparta
To jedyne co jeszcze potrafię
Wychodzi mi perfekcyjnie
Wiem

Znowu liczy się tylko ciało
Podobno ono jest najważniejsze

Chciałabym być niewidoczna
Naprawdę bardzo bym chciała

ROMAN KOWALEWICZ

Aniołki

Na cmentarzu przy grobie stoi kobieta. Jej oczy są wpatrzone w nagrobek, na którym widnieje zdjęcie uśmiechniętej dziewczynki. Pod zdjęciem umieszczony jest napis: „Paulinka Sumartyńska. Żyła lat 7”. Lekka fala smutku przemyka przez twarz, po chwili pojawia się uśmiech.

Nie można narzucać naszego szczęścia innym. Czym jest to ludzkie szczęście w porównaniu ze szczęściem Bożym? To nasze ego każe nam uszczęśliwiać innych i naiwnie wierzyć w iluzję. Ego zawsze prowadzi do egoizmu.

Jej oczy zasnuły się mgłą wspomnień. Pierwszy pocałunek z chłopakiem, obecnym mężem. Poznali się przez koleżankę na imieninach. Po roku wzięli ślub, a po szesnastu miesiącach urodził się Robert. Trzy lata później przyszła na świat Paulinka. Wtedy życie nabrało większego blasku.

Traktowaliśmy dzieci jednakowo, poświęcając im dużo czasu, ale Paulinka zmieniła moje życie.

Gdy wracając z pracy z reklamówką pełną zakupów otwierałam drzwi, Paulinka witała mnie w progę:

- Mamo! Mamo! Ja ci pomogę.

- Oj, dziecko! Jesteś jeszcze za mała.

- Jesteś zmęczona mamo, pomogę ci - z jej ust nie znikał uśmiech.

- Jeśli chcesz mi pomóc, to rozpakujemy razem zakupy.

Pewnego razu, gdy wróciła ze sklepu, miała smutną minę.

- Co się stało? - zapytałam. - Zgubiłaś pieniądze?

- Nie będziesz się gniewać, mamo? Przy sklepie stał taki biedny pan i miał takie smutne oczy. Oddałam mu te pieniądze, co mi dałaś na chleb.

- Jak będziesz tak oddawać pieniądze, to sami nie będziemy mieli za co żyć, może to jakiś pijak.

- Nie, mamo, pijacy nie mają takich oczu.

- No dobrze, masz tu pieniądze, ale tym razem kup chleb.

Paulinka wносиła radość w nasze serca. Nie wyobrażałam sobie życia bez niej. Joachim czasami musiał zostawać dłużej w pracy. Paulinka, słysząc dzwonek domofonu, z radością czekała u drzwi na swego tatę. Mąż całował ją przytulając.

- Jak się miewa mała kobietka - mawiał, a potem zdejmował buty i siadał w fotelu, czytając gazetę.

- Tatusiu, przyniosłam ci poduszkę, możesz się położyć. Widzę, że jesteś zmęczony.

- A wiesz skarbeczku, że chwilkę to bym się nawet zdrzemnął.

Paulinka przynosiła koc i z czułością nakrywała swego tatę, leżącego na kanapie.

Pewnego razu, gdy szłam na maszynię, przyszła Paulinka.

- Mamo, a czy wiesz, że w życiu nie ma śmierci?

- Co ty możesz wiedzieć o życiu?

- Wiem, życie może być złe lub dobre. Jak robimy dobrze - to mamy dobre życie.

- A kto ci to powiedział?

- One mi powiedziały.

- Odrobiłaś lekcje?

- Przecież wiesz, mamo, że zawsze odrabiam lekcje.

- A co robi Robert?

- Z tatą buduje most.

- To pobaw się sama w drugim pokoju albo idź do taty, bo ja muszę skończyć.

Po chwili z pokoju słychać było śpiew:

*Słoneczko świeci, ptaszeczki ćwierkają,
a dzieci rodzicom w pracy pomagają.*

Skąd u niej taka pogoda ducha? - pomyślałam. Paulinka potrafiła dostrzec wszędzie piękno. Pamiętam, jak podeszła do mnie i zaczęła opowiadać:

- Mamo, widziałam na podwórku pięknego wróbelka. Podeszłam do niego bardzo blisko i wiesz, że się mnie nie bał. Taki śliczny, przekrzywił główkę i patrzył na mnie radosnym wzrokiem.

Skąd u tego dziecka taki zachwyt życiem?

Od pewnego czasu Paulinka zaczęła wzbudzać moje zaniepokojenie. Pewnego dnia, w czasie przygotowywania posiłku, przyszło moje „słoneczko”:

- Mamo, a dlaczego ludzie trzymają ptaki i zwierzęta w klatkach?

- Bo je kochają.

- Przecież one się męczą, jak można kogoś kochać i męczyć?

- Nie wiem, trzymają je dla własnej przyjemności.

- Ja to bym wypuściła wszystkie zwierzątka i ptaszki na wolność! A wiesz, mamo, One powiedziały, że wezmą mnie do siebie.

- Kto, córeczko?

- Aniołki.

- Tu nie ma żadnych Aniołków. Lepiej przygotuj się do lekcji. Nie fantazuj.

Sytuacja zaczęła powtarzać się coraz częściej. Gotując zupę usłyszałam głos Paulinki. Odwróciłam się.

- Mamo, a czy wiesz, że wszyscy ludzie są braćmi?

- A skąd ty to wiesz?

- Aniołki mi powiedziały. One mnie zabiorą do siebie.

- Znowu zaczynasz.

Po radzie z mężem poszłam do psychologa. Po krótkiej rozmowie z nim wyszłam uspokojona. Powiedział, że niektóre dzieci fantazują i z czasem im to przechodzi.

Paulinka przestała fantazjować, a ja zapomniałam o tych wydarzeniach. Układałam bieliznę w szafie i wtedy przyszła Paulinka.

- Mamo, czy mogę z tobą porozmawiać?

- Dobrze córeczko, jak będę miała czas, to na pewno do ciebie przyjdę. Zaczekaj chwilę.

- To ja się pomodlę mamusiu, za ciebie, tatusia i Roberta.

Paulinka była zawsze radosna, ale w tych dniach jaśniała jeszcze mocniej.

W pracy skończyłam przerwę śniadaniową i wówczas zostałam poproszona do telefonu.

- Czy pani Aneta Sumartyńska?

- Tak, przy telefonie, słucham.

- Mówi dyrektor szkoły - Zaczyńska. Mam dla pani przykrą wiadomość. Pani córka Paulinka zasłabła na lekcji i została przewieziona do szpitala miejskiego.

Natychmiast pojawił się niepokój. Wybiegłam z pracy, wsiadłam w taksówkę i pojechałam do szpitala. Wbiegłam do wejścia, aby jak najszybciej uzyskać informację o zdrowiu mojej Paulinki. Poproszono mnie, abym zaczekała na lekarza dyżurnego. Po chwili przyszedł.

- Staszekowiak - lekarz dyżurny. Proszę, przejdźmy do gabinetu. Proszę usiąść. Niestety, tuż po przewiezieniu do szpitala, w czasie reanimacji, pani córka zmarła. Przykro mi. Mimo naszych wysiłków nie dało się nic zrobić. Stwierdziliśmy atak serca. W tak młodym wieku jest to zdarzenie wyjątkowe w medycynie.

Przed oczami zawirowały mi czarne kręgi, świat zawirował. Moja córeczka nie żyje. Moje słoneczko zgasło. Dlaczego mnie to spotkało? Moje życie zgasło. Moja córeczko, wróć! Oddam wszystko, tylko wróć. Po policzkach spływały łzy.

Codziennie wracam z pracy i nie słyszę śpiewu mojego słoneczka. Tylko myśli uderzają jak młot. Nie ma, nie ma, nie ma mojego słoneczka. Jak żyć z taką pustką? Nie ma na to słów.

Nagrobek, na którym jest uśmiechnięta buźka patrząca ze zdjęcia. Tyle mi zostało.

Dzisiaj często się modłę, medytuję. Coraz więcej myślę o Bogu. Znalazłam czas dla Niego. Stał się moim powiernikiem, powierzam Mu wszystkie moje sprawy. Życie nabrało jaśniejszych barw, odkąd zrozumiałam, że szukamy swego szczęścia w marzeniach, pragnieniach, przyjemnościach, rodzinie. W nich pokładamy nadzieję, a szczęście jest tuż obok. Jest w nas.

Po co pokładać nadzieję w szczęściu, które od nas odchodzi.

Dziękuję Ci, Boże.

MAREK KURASZ

O ironio losu

Michał był żywym dowodem tego, czym dziecko ułomne może stać się dzięki troskliwości i czułości rodziców z jednej, a własnej senej woli z drugiej strony. Nigdy nie miał wrażenia jakoby był ciężarem dla swoich rodziców. Od owego tragicznego w skutkach dnia, kiedy to lekarze rozpoznali u 20-letniego Michała guz mózgu, a następnie przeprowadzili operację jego usunięcia, życie Michała zmieniło się radykalnie. Ze zdrowego, dobrze zbudowanego, wysokiego chłopca tryskającego energią, dowcipem i poczuciem humoru pozostał już tylko nikły cień takiego młodzieńca. Teraz leżał w szpitalnym łóżku Oddziału Onkologii powalony jak kłoda. Jego czarne, kręcone włosy po codziennym naświetlaniu lampą kobaltową, wypadały z głowy tak szybko jak rozsypujące się strzępki dmuchawca na wietrze. Pięknie rozwinięte mięśnie zatraciły swoją rzeźbę i przestały być posłuszne woli swego pana. W oczach zaś wygasł dawny żar, dawna chęć dawania i brania z życia jak najwięcej. Jego oczy w tej chwili nie mówiły nic, były matowe, bez wyrazu – jakby martwe. Czyżby ten dobry i wspaniały człowiek miał odejść u progu dopiero co rozkwitającego przed nim życia? Przecież właśnie skończył pierwszy rok studiów prawniczych z dobrymi ocenami. Miał wiele zainteresowań i planów na przyszłość. Miał też swoją dziewczynę, piękną i zgrabną blondynkę Anię, z którą to jedynie widział swoje przyszłe życie. Wszystko więc układało się pomyślnie, prawie tak jak w bajce, aż tu raptem wydarzyło się takie nieszczęście. Dlaczego właśnie jemu to się przydarzyło? Pytanie takie nurtowało Michała i jego rodziców.

- Istnieje wiele teorii na temat powstawania guzów nowotworowych, jednak są to tylko teorie. Prawdziwych, pewnych przyczyn nowoczesna medycyna jeszcze nie poznała – tłumaczył rodzicom lekarz onkolog. W przypadku Michała można mówić o tak zwanym szczęściu w nieszczęściu. Jego guz był otorebkowany i nie dawał przerzutów do innych narządów.

Po usunięciu guza oraz krótkotrwałej kobaltoterapii i chemioterapii będzie można oczekiwać powolnego powrotu do zdrowia i cofania się objawów chorobowych spowodowanych uciskiem guza. Jednakże wiele szarych komórek mózgu zostało zniszczonych przez ucisk guza, co na pewno zmieni sprawność ruchową, a być może i umysłową Michała. Po opuszczeniu Oddziału Onkologii Michał musi być intensywnie rehabilitowany, aby inne szare komórki mogły jak najszybciej zastąpić, na ile to będzie możliwe, funkcję zniszczonych komórek mózgowych. Co się zaś tyczy samego guza to został on całkowicie usunięty i raczej nie powinno już być wznowy.

Po dwóch tygodniach naświetlania miejsca po guzie i przyjmowaniu chemioterapii Michała przeniesiono na Oddział Rehabilitacji. Tam przyjęto go bardzo ciepło i serdecznie. Na swojej 6-cio osobowej sali zobaczył pacjentów ćwiczących na różnych urządzeniach. Niektórym bardziej chorym pomagali technicy fizjoterapii. Co raz rozlegały się zewsząd postękiwania i sapania. W powietrzu wyczuwało się atmosferę wyęzionej pracy, pracy o własne zdrowie. Od tego dnia i dla Michała zaczął się okres ciężkiej pracy nad sobą. Był jeszcze bardzo słaby nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Jeszcze nie zaakceptował swojej ułomności, nie mógł się z nią w żaden sposób pogodzić. Przez kilka dni leżał w łóżku ze wzrokiem utkwionym nieruchomo w jeden punkt na suficie. Nie wiadomo czego tam szukał, o czym myślał i na co czekał. Otrząsnął się z tego stanu dopiero po jednym z obchodów lekarskich, podczas którego doktor nieco głośniejszym niż zwykle powiedział do Michała: - No, chyba wystarczy już tych rozmyślań. Wiesz, że najnieszczęśliwsi na świecie są ci ludzie, których myśli są zajęte roztkliwianiem się nad swoim złym losem. Przecież twoja przyszłość leży już tylko w twoich rękach i zależy od twojej ciągłej pracy nad sobą oraz od uzyskanych w ten sposób efektów. Jesteś młody i naprawdę możesz jeszcze w życiu dużo osiągnąć.

Te słowa wyrwały Michała ze stanu beznadziejnych rozmyślań. Wolno, nie spiesząc się zaczął realnie oceniać swoją sytuację i doszedł w końcu do wniosku, że nie jest ona tak zupełnie zła. Lekarze dawali mu wiele szans na poprawę jego stanu zdrowia. Poza tym miał kochających rodziców i swoją Anię. To przecież jest już bardzo dużo, a gdyby na naprawdę zaczęłyby jeszcze solidnie wykonywać ćwiczenia usprawniają-

ce, to najdalej po roku powrót na studia stałby się również realny.

- Dzień dobry Michałku.

To Ania przyszła go odwiedzić. Bardzo lubił gdy nazywała go tak pieśczośliwie. Czuł się wtedy tylko jej, bowiem nikt prócz Ani tak się do niego nie zwracał. Zawsze wносиła swoją osobą wiele ciepła i spokoju. Teraz też, gdy usiadła na brzegu łóżka i ściskając mu dłoń pocałowała Michała w policzek, jakaś dziwna pulsująca energia popłynęła przez jego ciało. Michał aż się wzdygnął ze szczęścia. Potem zaczęli rozmawiać nie zwracając uwagi na innych pacjentów, którzy z wielkim zaciekawieniem przysłuchiwali się ich wypowiedziom.

- Aniu, zobaczysz, przy następnych odwiedzinach zrobię ci niespodziankę.

Po wizycie Ani w Michała wstąpił jakby nowy duch. Jego twarz tryskała energią, a oczy płonęły silną wolą walki o swoje zdrowie. Od tego dnia już nie poddawał się biernie ćwiczeniom i zabiegom jak to bywało do tej pory. Zaczął aktywnie we wszystkim uczestniczyć, a nawet wykazywał pewne zdernerwowanie, gdy rehabilitanci jego zdaniem mniej czasu mu poświęcali niż zwykle. Teraz role jakby się odwróciły. To Michał dawał w „kość” swoim rehabilitantom. Sam również siebie nie oszczędzał. Po południu, gdy na oddziale był tylko lekarz dyżurny, Michał wiele razy wykonywał zadane ćwiczenia usprawniające. W przerwach czytał podręczniki prawnicze lub marzył. W marzeniach znajdował bowiem dodatkowe siły do ćwiczeń. Widział siebie już jako studenta idącego równym, pewnym krokiem przez park, lecz oczywiście nie samego. Szedł pod rękę z Anią ubraną w lekką, zwiewną, różową sukienkę i w białe pantofelki. Co chwilę oboje spoglądali na siebie, a w tych spojrzeniach było wielkie zadowolenie i szczęście z możliwości wzajemnego przebywania. I tak jeden dzień gonił drugi, a Michał bez przerwy powtarzał swoją monotonną pracę. Aczkolwiek ćwiczenia te były bardzo męczące i nużące, to jego twarz promieniała radością. Można by powiedzieć, że ćwiczył z uśmiechem na ustach, gdyż miał przed sobą ściśle sprecyzowany cel swoich marzeń.

Minał miesiąc i Michał z wielkim zniecierpliwieniem oczekiwał zapowiedzianej wizyty Ani. W niedzielę spuścił nogi z łóżka, nałożył zdrową ręką kapcie na nogi, chwycił trójnog i wstał. Przez chwilę lewa noga lekko zadrżała i ugięła się. Michał pod ciężarem własnego ciała usiadł z powrotem na

łóżko, lecz ani myślał dać za wygraną, ponieważ chciał koniecznie u progu drzwi wejściowych na stojąco przywitać Anię. Druga próba była już bardziej pomyślna. Pewnie stanął przy łóżku, a następnie dosuwając lewą nogę do prawej pokuśtykał wzdłuż korytarza. Przy wejściu usiadł na ławce i zaczął z bijącym sercem wypatrywać swojej Ani. Wiele osób wchodziło i wychodziło ze szpitala, ale wśród nich jej nie było. W końcu minął czas odwiedzin. Michał smutny powracał na salę. Pewnie Anię coś poważnego zatrzymało w domu i nie mogła przyjechać – tłumaczył sobie po drodze. Za trzy dni na adres szpitala przyszedł do Michała list od Ani, który całkowicie i jasno wyjaśniał jej niedzielną nieobecność. Już sam tytuł wydał się Michałowi dziwnie oschły i wzbudził niepokój.

Drogi Michale!

Wiem, że czekałeś na mnie poprzedniej niedzieli, ale nie miałam odwagi przyjść i patrząc Ci w oczy powiedzieć to, co teraz przeczytasz. Z góry proszę, abys mi przebaczył. Wszystkie przebyte wspólne chwile zachowam na zawsze głęboko w pamięci i w moim sercu. Były jedyne w swoim rodzaju i niepowtarzalne. Dotychczas z nikim nie było mi tak dobrze jak z Tobą i z nikim innym nie byłam tak bardzo szczęśliwa. Teraz niestety musimy się rozstać i już więcej nie będziemy mogli się spotykać. Przenigdy bym takiej decyzji nie podjęła, gdybym niejako nie została zmuszona do niej. Przed Twoją operacją moi rodzice widzieli w nas idealną parę i dlatego nie zabraniali mi naszych wspólnych spotkań i wyjazdów. Teraz, gdy dowiedzieli się, jaki jest Twój stan zdrowia i że prawdopodobnie nigdy nie wrócisz do pełnej sprawności fizycznej zabronili mi kategorycznie kontynuowania naszej znajomości. Twierdzą, że dbają o moją dobrą przyszłość, a z człowiekiem kalekim będę miała wciąż tylko same kłopoty. Co prawda zostawili mi niby wolną wolę i mogę wybierać między Tobą, a nimi i domem. Tak Michale, jeżeli zostanę z Tobą to kazali mi wyprowadzić się z domu. Jestem młoda, dopiero co rozpoczęłam studia, nie posiadam niczego własnego, jeszcze wielu rzeczy nie rozumiem, a życie do tej pory mnie rozpieszczało i dlatego nie czuję się na siłach, aby swój przyszły los teraz wiązać z Tobą. Poza tym bardzo kocham swoich rodziców i nie mogłabym postąpić wbrew ich woli. Wszystko co piszę na pewno nie jest zbyt uczciwe wobec Ciebie. Opuszczając Cię teraz, gdy z pewnością tak bardzo na mnie liczysz i potrzebujesz, nie jest fair. Zachowuję się jak tchórz. Wiem o tym, ale czy mam w tej chwili jakieś inne rozsądne wyjście? Na pamięć naszych szczęśliwie wspólnie przeżytych chwil jeszcze raz proszę Ciebie Michale o wybaczenie i bardzo przepraszam. Ania.

Michał przeczytał list tak szybko jak czyta się nagłówki gazetowe, mimo to każde słowo tego listu huczało mu w głowie. Nie chciał też przy powtórным czytaniu przeżyć tego, co przed chwilą odczuwał. Zbyt dobrze rozumiał co się stało, jako stracił i dlaczego.

- Żeby ten cholerny guz szlag trafił - zaklął pod nosem i zacisnął zęby ze złości tak mocno aż mu zaszumiało w uszach.

Przez kolejnych kilka dni Michał znów popadł w apatię, taką, jak bezpośrednio po operacji. Jadł niewiele, odzywał się też mało, a ćwiczeniom poddawał się biernie zupełnie nic z siebie nie dając.

- Uważam, że Michał powinien już wrócić do domu - lekarz prowadzący poinformował rodziców przy ich kolejnych odwiedzinach. - Chyba już zbyt długo leży w szpitalu i stąd taka jego zmiana nastroju. Nowe otoczenie na pewno dodatkowo wpłynie na jego samopoczucie, a ćwiczenia, których się tutaj nauczył, z powodzeniem może kontynuować w warunkach domowych.

Jednak w domu jego nastrój uległ tylko niewielkiej poprawie. Owszem, Michał był miły, niekiedy uśmiechnął się i nawet ćwiczył, ale widać było, że robił to tak jakby z obowiązku.

- Michałku powiedz nam co cię gryzie - zagadnęła któregoś wieczoru mama.

Serce w Michale od razu mocniej zabiło, gdy usłyszał tak zdrobniale wypowiedziane swoje imię. W gardle coś go ścisnęło, a do oczu napłynęły łzy. Już dłużej nie mógł skrywać przyczyny swego przygnębienia. Czemu by z rodzicami nie porozmawiać o Ani? - pomyślał. Oni na pewno coś poradzą.

- Proszę to przeczytać - wręczył list mamie. Dostałem go na kilka dni przed wypisaniem ze szpitala.

Michał w wielkim napięciu czekał, aż rodzice przeczytają list od Ani. Bardzo liczył na ich rozsądne i z serca płynące słowa. Oboje skończyli przecież wyższe studia, mieli sporo doświadczenia życiowego, a przede wszystkim byli jego kochanymi rodzicami, więc tylko oni mogli najbardziej trafnie ocenić i wczuć się w jego położenie.

- Tak, już teraz rozumiem twoje zachowanie, Michale - zaczęła mama po przeczytaniu listu. - Spotkał cię bolesny cios. Jestem tym nie mniej zaskoczona jak i ty, synku. Bo przecież tak naprawdę o wartości człowieka świadczy głównie jego charakter, osobowość, stosunek do innych ludzi, a nie tylko

zewewnętrzny wygląd i sprawność fizyczna. To, że w tej chwili władasz mniej sprawnie jedną ręką i nogą, niczego ci nie ujmuje z twojej wartości. Mama Ani była na pewno przerażona tym, co się z tobą stało i chcąc w swojej dobrej wierze ochronić jedyną córkę przed czekającymi ją ewentualnymi kłopotami, zabroniła spotkań z tobą. Jestem też matką i chyba ją potrafię zrozumieć, aczkolwiek nie pochwalam jej stanowiska, ponieważ ty jesteś moim synem i chciałabym, abyś był szczęśliwy.

Tato, który dotychczas wciąż milczał, jakby głęboko rozważając ten problem, w końcu również się odezwał:

- Z pewnością oczekujesz od nas jakiejś rady, bo o pocieszeniu w tym przypadku nie może być mowy. Sam widzisz, że życie bywa twarde i bezwzględne. I tak samo twardo, lecz z honorem, trzeba przez nie przejść. Za trzy tygodnie pojedziesz do sanatorium. Myślę, że tam właśnie będziesz miał okazję samemu spokojnie zastanowić się nad wszystkim. Poza tym spotkasz się z nowymi osobami, z innym otoczeniem, a przede wszystkim musisz wzmocnić tam swoją nogę, abyś już przestał chodzić o lasce. Tym samym udowodnisz Ani i jej mamie, jak bardzo się myliły co do twego stanu zdrowia.

Jakby zgodnie ze słowami ojca sanatorium stało się bardzo ważnym etapem w życiu Michała. W czteropiętrowym wielkim budynku, położonym u stóp Gubałówki, spotkał się z młodymi ludźmi, którzy tak jak on przyjechali tu „podreperować” swoje zdrowie, zarówno fizyczne, jak i psychiczne. Klimat wysokogórski sprzyjał całkowitemu odprężeniu i relaksowi. Michał codziennie rano chodził na masaż wodnowirowy ręki i nogi, a następnie uczestniczył w indywidualnych i zbiorowych ćwiczeniach usprawniających. Popołudnia przeważnie spędzał na tarasie, skąd mógł podziwiać panoramę polskich Tatr, które swym pięknem i potęgą przyciągały wzrok jak magnes. W takich warunkach rzeczywiście można było całkowicie wypocząć i nabrać nowych sił. Pod koniec turnusu Michał już chodził po korytarzach sanatoryjnych bez laski. Tak naprawdę, to również nie potrzebował jej i poza budynkiem. Nosił ją już raczej z przyzwyczajenia niż z obawy przed upadkiem. Ręka też się wzmocniła, jednak nie na tyle, aby móc się nią posługiwać swobodnie i w pełnym zakresie.

W przedziale powrotnego pociągu Michał siedział naprzeciw szczupłej, ciemnowłosej blondynki o trudnym do określenia kolorze oczu. Wydawała się być zatroskana i smutna. Obok niej przy oknie stały dwie kule. Ten element bardzo Mi-

chała zaintrygował i dlatego po wyjściu z przedziału ostatniego współpasażera na poprzedniej stacji, chłopak odważył się na rozpoczęcie rozmowy. Okazało się, że dziewczyna ma na imię Katarzyna i wcale nie jest tak poważna, jak wyglądała na pierwszy rzut oka. Ją również zdziwił nieco fakt posiadania laski przez sprawnie chodzącego młodzieńca. Zbieg okoliczności sprawił, że oboje akurat wracali do swoich domów znajdujących się w tym samym mieście. Tak więc mieli przed sobą sporo czasu na rozmowę. Ponieważ byli młodzi i nikt im nie przeszkadzał aż do końca podróży, więc mogli swobodnie rozmawiać.

- Wracam od cioci. Byłam u niej, aby podobnie jak i ty, Michale, odpocząć i nabrać nieco sił. Przyjeżdżam tu co roku na kilka tygodni w okresie lata. Zimą ciężko jest mi się poruszać po stromych, śliskich i ośnieżonych chodnikach. Latem jakoś sobie radzę.

Michał wyczuł, że teraz nadszedł odpowiedni moment, aby zadać to trochę wścibskie i krępujące pytanie.

- Przepraszam cię Katarzyno, ale dlaczego używasz kul?

Spuściła wtedy oczy, więc już myślał, że popełnił nietakt pytając o to, lecz po chwili usłyszał:

- Moja historia jest bardzo krótka. Do czwartej klasy szkoły podstawowej byłam zdrowa jak rydz, a później stopniowo zaczęły mi słabnąć nogi. W szpitalu stwierdzono, że guz uciśka na rdzeń kręgowy. Operacyjnie usunięto guz, ale niedowład nóg, jak widzisz pozostał i stąd te kule.

Słowo guz zapiekło Michała do żywego. Momentalnie przypomniał sobie swoją historię, którą zresztą opowiedział potem Katarzynie. Nie wiedząc czemu, oboje raptem zamilkli. Michał od czasu do czasu spoglądał na Katarzynę, która w miarę upływu czasu stawiała mu się coraz bardziej bliską osobą. Być może przyczynił się do tego fakt, że już poznał przyczynę jej choroby, która do złudzenia przypominała jego własną. Jeszcze raz przyjrzał się uważnie Katarzynie. W świetle zachodzącego słońca, którego nikielne promienie oświetlały przedział wagonu, jej twarz miała w sobie wiele tajemnego uroku. Średniej długości, lekko faliste ciemnoblonde włosy przykrywały nieco kształtne piersi, które rytmicznie wraz oddechem zaczynały coraz szybciej falować. Po ciele Michała nie wiedząc czemu rozeszło się przyjemne ciepło. W takim milczeniu i ukradkowych spojrzeniach tworzących ekscytującą atmosferę dojechali do celu swej podróży.

Rodzice przywitali Michała z otwartymi ramionami. Bardzo się za nim stęsknili. Ich oczom ukazał się prawie całkiem inny chłopiec. Nie dość, że wrócił z laską schowaną w torbie i pewnie trzymając się na nogach, to jeszcze cała jego postać promieniowała radością życia.

- Chyba w tym sanatorium byli cudotwórcy - zażartował ojciec przyciskając syna do swoich szerokich piersi.

Od tego przypadkowego spotkania w pociągu życie Michała znów nabrało rumieńców. Swoją lekko słabszą ręką nie martwił się już wcale. Przeszedł nad nią do porządku dziennego i dlatego chyba poczuł się fizycznie i psychicznie całkiem zdrowy. Jak za dawnych dobrych dni zaczął prowadzić aktywny i towarzyski tryb życia. Wszędzie go było pełno, ale najczęściej bywał u Katarzyny. W jej towarzystwie czuł się o wiele lepiej, a w każdym bądź razie na pewno inaczej niż kiedyś przy Ani. To było coś bardziej dojrzałego i wzniosłego. Bliskość Katarzyny sprawiała, że w Michała wstępowała dodatkowa siła i energia tak, że wszystko wydawało mu się możliwe i proste. To właśnie dzięki Katarzynie postanowił nieodwołalnie kontynuować studia prawnicze. Już przecież wiedział po co to robi i dla kogo warto żyć. Oboje z Katarzyną stanowili idealnie uzupełniającą się parę zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym. Katarzyna miała zgrabne, smukłe, zdrowe ręce, na które Michał mógł patrzeć z uwielbieniem bez końca. Natomiast on swobodnie się poruszał, potrafił wszędzie dotrzeć i załatwić każdą sprawę. Po półrocznej znajomości Michał z Katarzyną tak bardzo ze sobą się zżyli, że czasami mogłoby się wydawać, iż stanowią jedno ciało. Wielka dobroć, miły uśmiech i słodki głos Katarzyny działały kojąco i jednocześnie budująco na psychikę Michała. Katarzyna zaś miała w swoim chłopcu wsparcie i wiedziała, że może na niego liczyć w każdej chwili. Oboje spędzali ze sobą cudowne dni. Chodzili razem wolniutko na spacerzy do parku, odwiedzali kina, teatry, kawiarnie, a w weekend jeździli do lasu. Powoli Katarzyna poznawała przyjaciół Michała, a ten z kolei bywał w gronie osób miłych Katarzynie. Nie wstydzili się pokazywać razem publicznie. Cieszyli się wzajemną obecnością i to było dla nich najważniejsze. Czyżby więc życie chciało im wynagrodzić dotychczasowe cierpienia i trudy?

- Słyszałam - zagaiła któregoś parnego i dusznego wieczoru mama Michała - że wiążą cię z Katarzyną dosyć poważne związki. Od kiedy zacząłeś się z nią spotykać to stałeś się jakiś

ożywiony. Jednym słowem wygląda mi nas to, że darzysz ją uczuciem. Czyżbyś więc zamierzał w przyszłości z nią się żenić? – zapytała z wyczuwalnym lękiem na koniec.

Michał był zaskoczony tym pytaniem, jak i jego brzmieniem. Jednak spokojnie i konkretnie odpowiedział:

- Mamo, nie myśleliśmy jeszcze o tym. Na razie jest nam dobrze we dwoje tak jak jest, a w przyszłości kto wie jak to będzie.

I teraz nastąpiło to czego intuicyjnie się obawiał. W ciężkim powietrzu dalsze słowa mamy podziały na Michała jeszcze bardziej przegnębiająco

- Wybij sobie z głowy małżeństwo z Katarzyną. Oboje jesteście niepełnosprawni i wymagacie pomocy innych osób. Nawet nie zdajesz sobie sprawy na jak wielkie kłopoty napotkalibyście w życiu, jakie życie jest trudne i ciężkie oraz jak ludzie potrafią być bezwzględni i okrutni. Nie wszyscy zdrowi umieją pokonać życiowe problemy, a co dopiero wy. Zapamiętaj sobie raz na zawsze, że nigdy nie wyrażę zgody na wasz związek małżeński. Jesteś co prawda dorosły i postąpisz jak uważasz, ale gdyby doszło do tego małżeństwa, to ja na pewno nie będę ci potem pomagać. A nie daj boże przez wasze obecne kontakty Katarzyna zajdzie w ciążę. Wtedy już nie będziesz miał wyjścia, a ja ją pod swój dach nie przyjmę. Dlatego dobrze ci radzę, przestań się widywać z Katarzyną póki jeszcze nie jest na to za późno. Jesteś na tyle wartościowym człowiekiem, że stać cię na zdrową dziewczynę.

To powiedziawszy wyszła z pokoju głośno zamykając drzwi za sobą. Michał pozostał sam na sam z echem jeszcze długo i groźnie brzmiących słów mamy. Od kogo jak od kogo, ale od własnej matki nigdy nie spodziewał się usłyszeć czegoś podobnego. Przecież nie tak dawno identyczna, aczkolwiek odwrotna sytuacja miała miejsce z Ania i jej mamą. Michał nie mógł zrozumieć argumentacji swojej matki i jednocześnie wstydził się za nią, że postąpiła tak samo jak mama Ani. Boleśnie odczuł te słowa. Przez jego głowę przebiegło błyskawicznie mnóstwo rozmaitych myśli. Po chwili wezbrała w nim wielka złość i zrodził się bunt, aby na przekór przewidywaniom mamy udowodnić jej i innym ludziom, że oboje z Katarzyną poradzą sobie w życiu i to jeszcze jak.

/Białystok, lipiec 1987/

JANINA KOZAK-PAJKERT

Siostry z wyrokiem (z tomu „Atomówka”)

Szła naprzeciw mnie, lekko i szybko. – Tak chodzą kobiety zwinne, pewne siebie i szczęśliwe. Życie w niej dzieje się, kipi. Skąd w niej tyle zapału i nadziei? Idzie pięknie na dobre jutro – myślałam. Jakby nie było niepewności i zastoju – myślałam. A ona już uśmiechała się do mnie i szeroko rozkładała ramiona, chętne na uściski i szczęśliwe. – Kim jest ten, który przyjął jej brzemię, ale także jej lekkość i urodę? Bohater czy naiwny? – myślałam.

– Poznałaś mnie? Pamiętasz? – niemal piszczała zachwycona. Obląpiała mnie całą, choć jestem duża, a ona drobna, delikatna. Przypomina kwiat, który kwitnie i pachnie – myślałam.

– Poznałam. Od razu poznałam, Klaudio.

– Wpatrywałaś się w moje loki, co?

– Coś mnie niepokoiło nad tobą, mh...

– Jest źle?

– Nie.

– Więc co?

– Na głowie jest za dużo.

– Dużo?

– Mh.

– Powiedz szybko, dlaczego?

– Sama wiesz i oceń.

– Sama nie dam rady. Ze wszystkim nie daję rady. Z lokami też.

– Przestań! To tego tak wiele? Mów. Jesteś ładna, mówię ci, jesteś ładna. Szłaś ja zefirek.

– Nie wymiguj się. Mów.

– Nie, za dużo. Jakbyś na głowie spiętrzyła loki i dodała dwie chorągiewki.

– Ja myślałam dosadniej: stawiam na głowie loki plus rower. I niech tak będzie. Idę i już.

– Więc niech tak będzie.

– No to opowiem, jak jest – niemal podskakiwała przede mną. Przypominała małą dziewczynkę.

– Tysiąc loczków, mąż kokarda, ogromnie jaskrawa. Kto ci te pierscioneczki pozwiła?

– Wiesz, ile czasu pracowałam nad tymi loczkami? Każde pasemko włosów rozdzielałam, zwiјаłam i precyzyjnie rozkładałam, żeby wyglądały jak naturalne, rozrzucone. Na potem to wszystko trzeba przytrzymać opaską.

– No, pomysł był. Tylko kokarda za duża.

– Bo włosów za mało. Za mało włosów. Dlatego z przodu rząd loczków jak zraziki powtykane. A potem ta kokarda, żeby dopełnić.

– Dobrze, tylko trzeba sama opaskę, bez kokardy. No, nie wiem. Tak myślę. A mąż? Jaki jest? Mąż.

Klaudia położyła mi rękę na przedramieniu i uspokajająco poklepała. Chciała o czymś zapewnić mnie czy siebie, nie wiem. Umilkła. Patrzyła na czuby drzew po drugiej stronie ulicy, wzdychała.

– Ciebie tam nie ma. Tutaj wszystko ustalałyśmy. Koleżanki są wredne i zawistne. Wygłupiłam się z tą kokardą na złość.

– Dlaczego wredne i zawistne, Klaudio?

– Wysłałam za mąż. To małe miasteczko. Ludzie wiedzą, dlaczego wyjeżdża się do B. Wyśledziły. Świat jest przezroczysty. Wyjeżdżałam, źle wyglądałam.

– Rozumiem. I to ty wyszłaś za mąż! Krasawice powiatowe z turkusowymi powiekami od rana, z gołym pępkiem zostały pominięte.

– Kochał mnie. Przyjął moje brzemię z obrączką. Pobraliśmy się bez zgody rodziców. Inwazja jest, a my bierzemy ślub jak w Powstaniu Warszawskim. Wiesz, co to znaczy? Wariant szpitalny, śmierć czai się!

– Jesteś wiedźmą w miasteczku? Czary rzuciłaś na chłopca!

– Właśnie. Wyjeżdżał do Belgii, żebyśmy zdobyli lepszą materialną niezależność.

Umilkłyśmy. Życie stało obok nas, zadawało pytania. Klaudia wciąż ścisnęła moje przedramię. Znów patrzyła na czuby drzew.

– „Ozwał się miły mój a rzekł mi: wstań przyjaciółko moja! Piękna moja a pójdź”. Wstałaś i poszłaś. Pięknie idziesz – powiedziałam. Przygarnęłam Klaudię i pocałowałam w oba policzki.

– Mówiłam, że wstaniesz i pójdziesz, pamiętasz? Mówiłam ci.

– Wiesz, Jan oświadczył mi się na ulicy. Tłum nas mijał. A my staliśmy w jakimś niesamowitym postanowieniu, w olśnieniu. Tłum nas mijał, był maj. Jan jest świetny, skupiony. Wiesz, chodźmy na kawę czy lampkę wina. Ta miłość warta jest toastów. Więc co, wygłupiłam się z tą kokardą?

– Nie, nie wygłupiłaś się. Schowałaś się za tą demonstracją. Wiesz, człowiek żyje i z korektą, i z demonstracją. Chodźmy.

– Ale stałyśmy obok siebie. Być może każda z nas myślała jeszcze chwilę o „dominacji kokardy”. Bo nagle powiedziałam:

– Co można zrobić wobec „dominacji kokardy”? Wobec konieczności przymusu czy presji? Nie myśl o kokardzie. Chodźmy! Spotkałyśmy się, jest... miłość. To bardzo wiele. Chodź!

Piłyśmy kawę w najbliższej kawiarni. Uśmiechałyśmy się i milczały. Widocznie nam dobrze było ze świadomością, że miłość syci i ożywia, a wonna kawa pozwala myśleć o spotkaniach i przyjemnościach.

Nagle jakiś młody mężczyzna zmienił stolik. Usiadł blisko, naprzeciw nas, mącąc spokój i ciszę. Był bardzo piękny. Jakby wyszedł z ekranu, spod rąk najlepszych wizażystów ze światowych ról. Patrzył na Klaudię ironicznie zmrużonymi oczyma, przekrzywiał głowę ostentacyjnie, wreszcie uniósł rękę. Palcami kręcił loczki nad czołem i śmiał się rozkosznie.

– Nie zwracaj uwagi. Przesiądź się, Klaudio. Zmień miejsce. Pijmy kawę. Ciasteczko wygląda zachęcająco.

Ale piękny natręt nie dawał za wygraną. Także zmienił krzeselko. Wciąż patrzył na Klaudii loki z kokardą, robił minki, przesyłał całuski, naśladował kobiety, które pijąc herbatę odstawiają mały paluszek, a widząc pięknego mężczyznę trzepocą wytuszowanymi rzęsami.

– Co ja zrobiłam? Co ja zrobiłam? Jestem śmieszna – szepotała panicznie Klaudia. Kulila się, malała przy stoliku, pochylała głowę z kokarda coraz niżej, jakby chowała się wobec pięknego i silnego świata.

– Przestań, Klaudio. Nie jesteś śmieszna. Jesteś ekscentryczna. On manewruje jakimiś niebывałymi mankietami, zawiesił na szyi setkę łańcuchów, pachnie jak cała drogeria, włożył najeżył żel. Przestań! Uważa, że może porozumieć się z tobą w partnerstwie oryginałów albo w odwadze cyników czy obrazoburców. I tyle! Myli się! Przestań – szeptałam.

– Uciekajmy stąd! O Jezu! On się przysiądzie.

– Nie przysiądzie się. Ale ani drgnij. I bez zdumienia, strachu! Dobrze?

Klaudia wbiła wzrok w ciastko. Znów mocno przycisnęła podbródek do piersi.

Tymczasem piękniś przywołał kelnerkę, pokazał jej na palcach trzy zamówienia. Kelnerka gięła się, uśmiechała. Cofała się tylem, jak wobec monarchy. Piękniś wstał i zapiał jeden guziczek koszuli. Klaudia także wstała. Jednym ruchem zerwała z głowy przepaskę zawiązaną w kokardę. Misterne loczki osunęły się na uszy. Odsłoniły łysą przednią część głowy Klaudii.

– Tak mi wypadły po wlewach. Pół na pół. – Klaudia położyła przede mną wąski, długi szalik na stoliku. – Zawiąż mi jak należy – powiedziała.

Stałam za Klaudią jak w zakładzie fryzjerskim. Zgarnęłam wszystkie loki ku przodowi głowy, a potem powoli, ażeby loki nie rozpadły się, przycisnęłam je szalikiem i zawiązałam ciasno jego końce w węzeł na karku. Obeszłam stolik, wypięłam się ostentacyjnie w kierunku pięknisia. Jeszcze raz poprawiłam Klaudii loczki nad czołem, skubiąc je delikatnie i układając artystycznie.

Piękniś i kelnerka patrzyli w osłupieniu, nawet wtedy, kiedy już odwróciłam się i powiedziałam:

– Tu jest walka z wyrokiem, nie z twoim, piękny panie. Ja i ona jesteśmy jakby siostrami, z wyrokiem. Przepraszam. – Widowni nie było. – Pustawo tu u państwa. Klaudii spadł szal z kokardą, prawda? To się zdarza. – podałam kelnerce za duży banknot i wstałyśmy od stolika.

Wyszłyśmy z kawiarni. Klaudia kurczowo trzymała się mojego ramienia. Siąpił malutki deszcz. Szła nierówno, jakby nie nadążała za mną albo utykała.

– Wiesz, ja, ja w dzielnicy też zrobiłam coś takiego. Zdjęłam chustkę. Nachalny drań wołał „babcia, babcia”. Słyszysz, jąkam się, jak dziecko.

– I co, i co?

– Uciekł. Już nie wołał.

Śmiałyśmy się nienaturalnie, głośno. Mały deszcz padał jak dla ochłody.

Odprowadziłam Klaudię na dworzec PKS-u. Czekałam, aż odjedzie. Jeszcze poprawiłam jej węzeł nad karkiem i loczki nad czołem. Klaudia dotknęła mojego policzka. Wiedziałam, że się spotkamy.

Ponieważ drzewa są zielone, maj kwitnący nadejdzie, Klaudii odrosną włosy i przedstawi mi świetnego, skupionego Jana. Będziemy sprawować codzienną ceremonię życia, także nad filiżanką kawy. Będziemy.

JULIAN DWORAKOWSKI

W kropli

Szedł zamyślony, patrzył wnikliwie, daleko, jakby miał zamiar otwierać bramy wieczności. Próbował oddychać głęboko, bo sprężone powietrze dokuczało i wzmagало pragnienie.

Jeden łyk wody, drugi, trzeci; jedna szklanka, druga i następne – a pragnienie się wzmacnia. Tak został stworzony człowiek, i nie tylko on. Umie też stwarzać i – podobno – liczyć na siebie. Ale czy przeliczył hausty dni na szklanki tygodni, a te – na miary miesięcy, a te z kolei – na strumień?... Pływa w nim, w tym życia strumieniu, od lat, a ten przez niego przepływa w postaci wody... Ale myślał też najzwyczajniej o wodzie, wierzbie pochyłej, przeglądającej się w strumieniu, o rybach w nim płynących w stronę źródeł, i o tym piasku na jego dnie. Był jak łódka, przywiązany do brzegu rzeczulki, przy której żył.

Zatapiał oczy w najmniejsze drgnięcia i bieg wód, wnioskując, że jednak płynie czas i woda, życie i rzeczny nurt. Patrzył na czas i wodę, razem spadające z góry, ale w czasie nie dostrzegał związku chemicznego. Rozmyślał, że w tym ziemskim laboratorium wieczność jest syntezą kilku składników. Wzór bywa w człowieku, ale nie chemiczny. Jest też woda, którą można czerpać i gasić pragnienie. Przecież woda jest zwierciadłem, w którym widać wizerunek człowieka. Odbija się w wodzie płynącego czasu.

Przecież mówi się, że prawda wypływa na wierzch. Tak też było ze Sługą Bożym księdzem Jerzym: odszedł z tego świata, a jest na nim obecny. W dwóch miejscach, tu i tam, w tym samym czasie można być. Można!

Tak rozmyślając zbliżył się do bram, które kiedyś, razu pewnego, przekroczył ksiądz Popieluszko. Przystanął na niewielkim wzgórzu parafialnego cmentarza. Przed kościołem, pomiędzy drzewami, stał niczym drzewo nikłe, pochyłe, jako krzyż chylący się ku ziemi, namaszczone żywotem tych drzew. Patrzył na te drzewa, zaglądał im w oczy – one widzia-

ły pokolenia żyjące dawno przed nim, a te – inne, jeszcze odleglejsze. Najprościej tak sobie tłumaczył, w obecności tych drzew, bliskość tych wielu pokoleń względem siebie, mimo wiekowych przestrzeni. Wszyscy zmieszczą się w „Ojcie nasz”, w „Zdrowas” i „wiecznym odpoczynku”. W pamięci przesuwają mu się słowa krótkich modlitw i znajome twarze, już trochę wyblakłe w dziesiątkach lat, i czuł, jak naraz to wszystko swym pragnieniem chłonie – pochłania tajemnica życia.

W tym właśnie miejscu zatrzymał się na dłużej, by być ze wszystkimi, nikogo nie pominąć, a jeśli wyróżnić – to wszystkich, za pięć wieków, i jeszcze gdzieś głębiej dostrzegać ścieżkę czasu.

To miejsce traktował z powagą, tak jak grób Nieznanego Żołnierza, bo każdy z tych ludzi miał w sobie coś z obrońców tej ziemi. Zdobywali przestrzeń, a rozdrobnione bryły ziemi wiąźali ziarnem. Skowronki nad nimi błękit z zielenią, niebo z ziemią wiąźaly śpiewem.

Burty kamiennego muru, położenie na wyniosłości i to wszystko, co zostało na nim ocalone stanowi arkę przeszłości. Twarze smutne, zamyśłone, wykrzywione bólem, i łopocące gałęzie drzew są masztami tej wielkiej łodzi, której nic nie zatopi w zapomnieniu. Jeszcze – płonące źrenice świec pośród ukwieconych mogił, tętno rąk widzialnych i niewidzialnych – pozostają kotwicą zarzuconą w wodę czasu. Od ponad stu lat tę arkę ludzie zwą Nową Górą, nie z powodu wysokości względnej, lecz – Wysokości nadrzędnej, które złączyły się w jedno.

Tożsamość wyrosła z imienia własnego tej ziemi, z łopotu sokolich skrzydeł niczym szlachetnej flagi. Ponad tą flagą – synowie wydarci z matczynych serc przez czas wojenny, przebite łona brzemienne kobiet, prześladowani księża, zesłańcy Sybiru, więźniowie obozów koncentracyjnych i siewcy „wolności waszej i naszej” z nierozczytanych mogił na obcej i swojej ziemi.

Na straży wieków wyrosły brzozy, które iskrami liści pamiętają, a w białych krzyżach mogił, dawno już w proch rozsypanych, siebie rozpoznają.

Wszystkie pokolenia pięciu wieków historii pan Jan traktował jako litery, nie liczył ani tych pokoleń, ani liter zapisu, ale na całość dziejów patrzył jako na pismo.

Z tego miejsca wzrokiem przemierzał przyległą okolicę, a jego myśli biegły za pobliskie lasy, za pagórki. Wszystko, co widział i o czym rozmyślał, traktował jako zapisane zdanie, a cmentarz – jako kropkę zamykającą tę wypowiedź. Cenił jej poszczególne części, z których się składała: pracę, szacunek, godność, wiarę, uczciwość, patriotyzm i wolność. Dlatego często tu przystawał, by w ciszy i w cieniu tych drzew okazać wdzięczność tym, którzy przed nim minęli. Czytając przeszłość w ten sposób, spostrzegał, że inni czynią podobnie. Czasem tędy ktoś przeszedł zwyczajnie, bo „lubi tu pochodzić”; ktoś inny ciszę tak żarliwie myślami wzruszał, że niemal sięgał korzeni. Innym razem starsi dzieciom, jak przy historycznej mapie, palcami wskazywali na mogiły porośłe zapomnieniem, i cierpliwym słowem odległą przeszłość z ich ciekawością dziecięcą łączyli. Czasami jacyś nieznani młodzi ludzie z sobie tylko wiadomych powodów niektóre groby i zakątki cmentarza – kamerami, aparatami cyfrowymi w obrazach utrwalone, zatrzymane – ze sobą dokądś zabierali.

Na tym wzgórzu ogień pamięci oświecił wspomnienia pana Jana. „Czerwona róża, biały kwiat...” – od strony lasu wartko wił się strumyk drobnych postaci i rozpyływał się po cmentarzu całym.

- Proszę pani, proszę pani! Ten krzyżyk z kasztanów większy, niż nasze kasztanowe ludziki...

- Kiedy dorośniesz, będziesz równy z tym krzyżem – siwowłosa nauczycielka wskazywała na krzyż z ostatniej wojny. – Teraz jesteś największy. Wszyscy jesteście najwięksi – mówiła, ogarniając wzrokiem całą gromadkę.

Pan Jan patrzył na dzieci, nauczycielkę, krzyżyki z kasztanów na grobach, a wspomnienia z własnego dzieciństwa oprowadzały go po cmentarzu. Więcej było wtedy drzew i ludzi, kroki były wolniejsze, rozmowy o zmarłych stawały się niegasnącymi płomykami. Krzyże w mech siwy ubrane, zdrowaśki z zapadłych warg żebraczek, głośnie tak prawie jak dzwony, i takie same krzyżyki z kasztanów, tylko układane rękami dorosłych...

Na te kasztanowe krzyżyki patrzył, jak na pióro piszące od wieków, a woda czasu dosięgła jego oczu, i zapatrzył się, zapatrzył... Oto Najświętszy Sakrament pod baldachimem, w procesji chorągwie, i głos obwieszczający o łodzi na wzburzonej wodzie – jak żywe, z uroczystości pięćsetlecia parafii.

Pan Jan stał zamyślony, obmyty z ciężaru swych lat.

„Jestem drzewem czy kroplą wody w tej rzece czasu? Może jednym i drugim? Gdyby nie było tych kropel, tej wody w rzece czasu, nie byłbym drzewem... A jestem nim. Nikt nie będzie znał imion, a z kasztanów układanych w kształt krzyża gdzieś wyrosły drzewa. Młodzi w ich barwie i zapachu będą zdawać egzaminy swojej dojrzałości. Tyka wielki niewidzialny zegar bez wskazówek. Zegar słoneczny na piasku. Każdy z nas jest chwilą zaledwie w drodze.”

Wyszedł na drogę. Na rosnących przy niej kasztanach wypełniały się owoce. Przystanął, obejrzał się jeszcze. Patrzył znowu na lasy, zboża, które lada dzień będą wiązać się w chleb, i na cmentarz z tymi drzewami, i na szeroki, słoneczny błękit nad głową.

- Wszystko pomieści się w jednej kropli wody. W jednej kropli.

STANISŁAWA SUSZYŃSKA

Opowieść o partyzanckiej miłości

Wszystkich ich przygarnęła prastara Puszcza Augustowska. Tych z pobliskich miasteczek, wiosek i z wielkich miast. Wspaniali, młodzi ludzie przyszli tu, by podjąć partyzancką walkę z wrogiem. Wszak rozpoczęła się II wojna światowa. Z zachodu szturm żelaznych wojsk niemieckich, ze wschodu nóż w plecy wbili zaciekli Rosjanie. Patrioci poszli do lasu, by podjąć walkę na śmierć i życie.

Grupa młodych ludzi przedzierała się tu aż z Warszawy. Skradając się szli nocami. W dzień ukryci odpoczywali. Strudzeni, często głodni, pokonywali ostatni odcinek drogi - z Płaskiej do leśnego ostępu "Starożyn". Zmierzali na miejsce zbiórki, do oddziału legendarnego już podporucznika "Żwirki" - Witolda Pieleckiego.

Gdy znaleźli się w samym sercu puszczy, powitał ich świt. W górę strzelały korony prastarych drzew. Młodym zdało się, że sięgały one aż do samego nieba, by Bogu zaszuścić modlitewną leśną pieśń. Ogromne sosny i dęby moczyły swe korony w wilgotnych chmurach, by potem osuszyć je w promieniach złocistego słońca.

A gra światła? To nieopisane, ciągle zmieniające się piękno. Barwy zielone, złote, srebrne, tęczowe. Blaski i cienie. Opale drzące w kropelkach porannej rosy. Takiego cudu jeszcze nie widzieli. Pili wodę z leśnego potoku, moczyli obolałe nogi. Potem zaczęli biegać po lesie, tańczyć i cieszyć się jak dzieci. Zapomnieli, że jest wojna, że uciekli z łapanek, że na zawsze utracili swoich bliskich. To ten zielony baldachim nad głowami pozwolił zapomnieć o wszystkich tragediach.

Najgłośniejszym śmiał się Genek - student Politechniki Warszawskiej. Jego perlisty śmiech echo poniosło w głąb puszczy. Za pół roku miał odbierać dyplom inżynierski. Okrutna wojna pokrzyżowała wszystkie życiowe plany.

Wreszcie z gęstwiny wyłonił się łącznik. Poprowadził ich przez knieję aż do uroczyska "Powstańce", gdzie oddział pułkownika Konstantego Ramotowskiego w roku 1863 stoczył krwawą bitwę z Kozakami. Gdy zobaczyli powstańczą mogiłę, leśną ciszę przerwała modlitwa: "Anioł Pański".

A kiedy jeden z przybyszów odkrył na ogromnym dębie wrośnięte w korę koniowiązy, oszaleli z zachwytu i szczęścia. Wydawało się, że słyszą rzenie koni, że w słońcu błyszczą osadzone na sztorc kosy, że czują zapach dymu z powstańczych ognisk. Nawiązali duchową łączność z powstańcami i wtedy przysięgli walczyć aż do zwycięstwa.

Potem swoje przeżycia opisywali w partyzanckiej poezji:

*Poprzez bagna i mokradła
Partyzanckie wiodą drożki.
Poprzez kanał, poprzez służę
Aż do serca leśnej puszczy.
To praojców naszych ślady,
To "koniowiąż" w dęb wrośnięty.
Ognisk szczątki płytko w ziemi
I cmentarzyk zapadnięty...*

W oddziale "Żwirki" czas wypełniony był po brzegi. Musztra, szkolenie, ciągłe akcje przeciwko okupantowi. Dokuczliwe zimno, częsty głód i wszystkie nieszczęścia świata. Tylko duch silny i wielka miłość do Ojczyzny.

U Genka jeszcze coś... To czarnooka łączniczka Lusja Leśniczanka. Gdy prowadziła ich do oddziału, nie mógł oderwać wzroku od zjawiskowo pięknej dziewczyny. Spotykali się potem i czy to takie dziwne, że młodzi przyłgnęli do siebie?

Ich krótkie "sam na sam" wykradzione wojnie było miodem dla duszy i balsamem na ciało. Wiecznie zmęczone, zastraszone, kiedy problemem najwyższej wagi stawały się ciepły kożuch czy wygodne buty do ciągłych marszów. I choć miejscowa ludność wspierała swoich "leśnych chłopców", to nie zawsze był chleb. Nocowali w obozowych szałasach, często w stogach siana, czy na chlewie u zaprzyjaźnionych gospodarzy.

Czasami byli na tyle odważni, że przychodzili na wiejskie zabawy. Patrzyli wówczas ludzie na swych żołnierzy w oficerkach i cieszyli się. W sercach rosły otucha i nadzieja. A oni

wysocy i przystojni chwyтали w objęcia najpiękniejsze dziewczyny, tulili je mocno do siebie, tańczyli trochę i uciekali w ciemność nocy, by nie narażać mieszkańców na śmierć z rąk okupanta. Prawie w każdej wsi były posterunki Gestapo przysłane do zwalczania "bandytów". Polskich patriotów - najlepszych synów i córy naszego narodu, którzy wolność ukochali największą miłością.

W pewien letni dzień do dowództwa obozu dotarła wiadomość, że Niemcy przepytują o Lusię Leśniczankę. A więc życie łączniczki zawisło na włosku. Wówczas "leśni" zorganizowali jej wyjazd do dużego miasta, by tam mogła ukryć się w tłumie od krwiożerczego okupanta. Najpierw dowiedział się o tym Genek. Wpadł w rozpacz, nie spał. Ból rozrywał serce Lusi, na strzępy rozdzierał duszę. To wojna zabrała im najpiękniejsze lata.

Jezioro Mikaszewo – ostatnie spotkanie. Niedziela. Z Kościółka w Mikaszówce echo przyniosło cudowny dźwięk dzwonów. Na falach wśród trzcin kołysała się łódka. Było cudownie, jakby nie szalał terror okupanta. Genek zanurzył ręce w wodzie, zrywał nenufary i kładł dziewczynie na kolana. I wtedy młodzi przyrzekli sobie dożgonną wierność.

Po wodzie poniósł się cichutki śpiew: *„Gdy się wojna skończy, znów do ciebie wrócę...”*

A potem jeszcze Genek poprosił:

- Ukochana, czekaj na mnie! Po wojnie będzie ślub i białe konwalie, i koledzy z lasu.

Ciągle coś mówił, choć serce wyło z bólu. Ale wtedy Ojczyzna była najważniejsza! Nawet Niemcy byli zdziwieni taką determinacją polskiego ruchu oporu. Tego nie było w żadnym podbitym przez nich kraju. Polacy w chwili zagrożenia umieją kochać swoją ziemię rodzinną.

Lusia czekała. Tęskniła i czekała... Boga prosiła, by przeżył.

Wreszcie nadszedł upragniony koniec wojny. Genek nie wracał. Dziewczyna drżała z niepokoju. Nie taka przyszła Polska, o jaką walczyli.

Ale Lusia czekała dalej...

Upagniona amnestia!

- Oj, chyba już teraz będzie bukiet z białych leśnych konwalii?

I nowa tragedia i nowe cierpienie! Tysiące Akowców aresztowanych przez UB. Przesłuchania, wyroki śmierci, tortury, wywózki gdzieś w lody Workuty. Za co? Za lata walki z okupantem, za głód i poniewierkę?

To sprawiedliwość wybyła z granic Polski Ludowej...

Lusia cierpliwie czekała dalej...

Aż w końcu pękło coś w jej sercu. I nie umiała już czekać. Przystojny leśnik poprowadził do ślubu. Tylko bukiet nie był z białych konwalii. Taki los wojennego pokolenia.

Może jeszcze dwa słowa o Genku. Wrócił z nieludzkiego kraju. Lusię utracił bezpowrotnie. Tylko zawsze tęsknił do puszczy. Często odwiedzał Augustowszczyznę. I nawet starszych ludzi przepytywał o Lusię Leśniczkę. Nie wiedzieli nic o jej losie. Tylko te wiekowe drzewa wlewały w jego duszę moc i siły do życia. Kończył ból, przywracały duchową równowagę.

Czasami z poszumem drzew niosła się jego cichutka pieśń:

*Po partyzancie dziewczyna płacze.
Nie płacz dziewczyno i otrzyj łzy.
Jutro się jeszcze z tobą zobaczę,
Będziemy razem i ja, i ty...*

ANASTAZJA MICHALINA BANASIAK

Przed świtem

Był 30 grudnia 2007 r. Siedziałam w bujanym fotelu, sama w domu. Rozmyślałam nad swoim minionym życiem. Musiałam zasnąć. Gdy się przebudziłam, najstarsza córka przyglądała mi się z bliska.

- Jak żeś tu weszła?

- Drzwi były otwarte. Mogli wejść Cyganie lub inni złodzieje. Dlaczego się mama nie zamyka?

- Mam swoje powody. Jak drzwi zamknę, to nikt mnie nie odwiedzi, jestem stara i głucha, a na dodatek zapominam, przecież mam już skończone 92 lata. Zrób coś do picia, ja się też napiję. Na długo przyjechałaś? U kogo będziesz nocować?

Zaczęłam się jękać:

- Po prostu śpij u mnie. Dawno cię nie było, stęskniłam się za tobą.

Córka zrobiła nam kolację, opowiedziała mi o swoich dzieciach, o tym, co ostatnio robi. Obudziła wspomnienia, zaczęłam więc opowiadać o swoim dzieciństwie.

- Urodziłam się 11 września 1915 r. Gdy miałam trzy lata, zmarł ojciec na suchoty. Mało pamiętam. Nie zdawałam sobie sprawy, czym jest śmierć. Cieszyłam się, że mój tato w trumnie jest ładnie ubrany i przystrojony kwiatami. Dopiero później, po pogrzebie, pytałam mamy, gdzie tato, kiedy przyjdzie? Wielu spraw nie rozumiałam, miałam wtedy 4 lata. Później mama, a twoja babcia ponownie wyszła za mąż, za ładnego lecz młodszego.

- Mamo, dlaczego płaczecie? - Spytała córka.

- Bo mi się płakać chce.

- Czy można płakać bez bicia?

- W niedzielę rano mama szła do kościoła, oddalonego o trzy wioski. Chodziło się na bosaka, a przed kościołem w strumieniu myło się nogi i wkładało buty. Pamiętam, jak po powrocie któregoś dnia mama wieczorem cichutko mi rzekła:

- Masz pod poduszką pierogi, to sobie zjesz, jak wstaniesz. Ojczym zauważył, że miałam jedzenie schowane. Nic nie powiedział, tylko stał w oknie i gwizdał. Mama znowu płakała.

- Czy ojczym był dobry?

- Nie wiem, za mała byłam, żeby zrozumieć. Mama ciągle była smutna. Pamiętam małe dziecko, które urodziła. Czy to był chłopczyk, czy dziewczynka, nie wiem. Na trzeci dzień po porodzie mama poszła w pole na bosaka, trząść obornik. Sąsiadka mówiła: - Ty Janowa, chcesz iść do grobu, tać to gruda, ty do łóżka się połóż, rosołku popij, wydobrzyj i dzieci patrz. A mama na, to: - Ja chcę umrzeć. Tak się i stało. Na drugi dzień mama dostała gorączki, z łóżka nie wstawała, na wiosnę zmarła. Ja miałam 6 lat. Babcia mnie zabrała. Ojczym upierał się, żeby zabrała i to maleństwo. - Zjadłeś córkę, zjedz i dziecko - to są słowa mojej babci. Zrozumiałam, jak dorosłam, co słowo „zjadłeś znaczy”. Potem mieszkalam u stryja, brata mojej mamy.

- Dlaczego nie z babcią? - Zastanowiłam się.

- Przed wojną renty na wsi ludzie nie mieli,

- To z czego dożywali staruszkowie?

- Najczęściej utrzymywały ich dzieci. Jeżeli dzieci były dobre, to wszystko było w porządku. Babcia odpisała całą gospodarkę dla syna, mego stryja, brata mojej matki. Pomijając mnie, żeby nie dzielić majątku. Majątek był duży, z powodzeniem mógł nas wykarmić. Stryj podpisał zobowiązanie, że matki i siostrzenicy nie skrzywdzi.

- Jak się układało mamusi u stryja?

- No cóż, stryjostwo miało swoich dwóch synów, trzecie w drodze. Moim obowiązkiem było zajmować się dziećmi wraz z babcią. Babcia karmiła je i przebierała, ja się z nimi bawiłam. Gdy podrosłam, pasłam krowy. Musiałam wstawać razem ze słońcem.

- To ile mama miała lat, że tak odpowiedzialne dostała zajęcie?

- To nie tak. Stryj miał pastucha i drugiego parobka do obrządku w obojęściu, a ja - ośmioletnia dziewczynka, pracowałam jako pomoc. Stryjna zajmowała się tylko domem. Choć stryj nakazywał żonie, żeby zgodziła dziewczuchę do robót domowych, wtedy będzie miała więcej czasu dla siebie. Stryjna nie słuchała i robiła swoje.

- A szkoła?

- Szkoła nie była obowiązkowa. Gdy wyszła ustawa obowiązkowego posyłania dzieci do szkoły, stryj klął, że on nie chodził do szkoły, żona też. Na co to szkoła dzieciom. Gospodarkę po mnie odziedziczą, będą panami na swoim. Rachować i gospodarzyć to ja ich sam nauczę. I nie posłał dzieci do szkoły. Od wójta dostał nakaz i wtedy ustąpił. W lęku przed groźbą grzywny posłał swego syna do szkoły.

- A mamusia?

- Dostał drugi nakaz i wtedy chodziłam do szkoły, aż trzy zimy.

- Jak to rozumieć?

- Od października do marca, gdy krowy stały w oborze, mogłam chodzić do szkoły. Ale nie miałam zeszytu ani książki. Stryjo musiał mi buty kupić.

- To mamusia nie miała butów?

- Za krowami chodziło się boso, zimą siedziało w domu. Po wodę do studni wybiegało się boso.

- W zimie też?

- Do studni było blisko. To się biegło szybko. Najgorzej było, jak stryjna zrobiła pranie. Ja w trepach chodziłam do rzeki płukać. Stryj zrobił przerębel, ja płukałam i płakałam. Ręce kostniały, nie miałam się komu poskarżyć.

- A gdzie była babcia, czy ona tego nie widziała?

- Widziała, ale cóż miała robić, stryj tak chciał, tak musiało być. Gdy poszłam do szkoły, nauczycielka dała mi zeszyt i ołówek. To było wszystko. W głowie się nie mieści, że dziecko może tyle wytrzymać. Modliłam się z babcią, żeby mnie mama wzięła do nieba. Ale moja świeca się paliła. I pali się nadal.

Dochodziła północ, my nie spałyśmy. Nigdy nie opowiadałam o moich dziecięcych latach. Długo nosiłam to w sercu, teraz musiałam to z siebie wyrzucić. Właśnie dziś, mimo późnej godziny. Córka zrobiła herbatę i wcale nie kładłyśmy się spać. Opowiadałam dalej.

- Miałam już jedenaście lat. Ktoś wyczytał w gazecie, że w Ameryce można nabyć darmo gospodarkę i żyć jak lord. Stryj wyprzedawał więc inwentarz i pił, bawił się, miał za co. Sprzedał dom i ziemię. To są babci słowa: - Synu jak ty mnie zostawiasz, bez dachu nad głową z wnuczką. - Siostrzenicy nie skrzywdzę, zostawiam jej weksle, jak dorośnie, to za sam procent od lichwiarzy kupi sobie kamienicę w mieście. A ty

zdychaj, stara cholero, pod płótem. Wyjechał.

- Co się z wami stało? Kto się wami zaopiekował?

- Ja poszłam na służbę, babcia po prośbie. Służyłam u różnych gospodarzy, szlachty i księży. Można grubą książkę napisać, jak mi było u obcych. Nie będę cię zanudzać. W kilka lat później stryjo napisał list, a naprawdę, to jego dzieci, bo stryj był niepiśmienny. Z listu wynikało, że w Polsce koza - to nie krowa, a Ameryka to nie kraj. Po przyjeździe do Ameryki stryj dostał broń i tyle ziemi, ile zdołał wykarczować. Musiał ciężko pracować, żeby utrzymać rodzinę. Pisał o dwóch synach, a miał trzech, co się stało z trzecim, do dziś nie wiem.

- A dlaczego to takie ważne?

- Bo można było wyjeżdżać tylko zdrowym, chorych i kalek nie brali.

- A czy ten trzeci syn był chory?

- Nie, jak był małeńki i próbował chodzić, to się poparzył.

- Jak to się stało?

- Stryjna robiła pranie, postawiła szaflik z ługiem na podłodze a dziecko, bawiąc się, wpadło. Jak ono piszczowało! Zanurzyła go w wiadrze z zimną wodą, a potem szeptunki go leczyły. Wyżył.

- Czy mama pisała do stryja?

- Tak. Nie dostałam odpowiedzi.

Na tym przerwałyśmy rozmowę i przed świtem położyłyśmy się spać. Córka miała zamknięte oczy i wiem, że widziała swoją matkę, która ciężko pracowała zamiast uczyć się i bez-trosko bawić.

REGINA KANTARSKA-KOPER

Moje Wigilie

I

Nie pamiętam Wigilii z całą rodziną. Miałam półtora roku, kiedy osierocił mnie ojciec, a cztery lata, gdy moja najstarsza trzynastoletnia siostra opuściła dom rodzinny, żeby uczyć się w dalekim mieście. Na Boże Narodzenie malowała świąteczne pocztówki, wyklejała je stłuczonymi bombkami i sprzedawała po złotówce – szły jak woda. Za zarobione pieniądze robiła nam paczki „od świętego Mikołaja”. Nie pamiętam jej osoby przy stole. Nałożyły mi się te wigilie, fragmenty z różnych lat zlały się w jeden ciąg wspomnień. Dobrze pamiętam brata, bo nas rozśmieszał. W domu się nie przelewało, więc wieczerza była skromna, ale on zawsze umiał naliczyć przepisową liczbę dań (nie było zgodności co do tego – czasami miało być ich dwanaście, innym razem nieparzysta liczba – jedenaście lub dziewięć). Co roku powtarzały się dyskusje, ile właściwie musi być dań – i tyle właśnie wychodziło bratu, który doliczał do brakującej liczby a to spodek, a to łyżeczkę, szklankę, plasterek cytryny do herbaty... Prześcigaliśmy się w pomyślach, śmiejąc się do rozpuku.

Ale obowiązkowo był śledź w śmietanie, znakomicie przyrządzany przez matkę z solonych śledzi z beczki (po sześć złotych za kilogram). Trzeba je było wypatroszyć, wymoczyć nie za długo i nie za krótko – żeby nie były ani za słone, ani niedosolone, potem leżały w zalewie octowej z przyprawami i cebulą. Na stół podawane były ze śmietaną. Smakowały wybornie i nigdy nie jadłam lepszych. Teraz jest zatręśnienie przeróżnych gotowych śledzi – po wiejsku, po żydowsku, po myśliwsku itp., ale nie umywają się one do tamtych z dzieciństwa.

Potem był czerwony barszcz, postne, czyli niekraszone ziemniaki z nieodłącznym komentarzem mamy, jak to kiedyś szorowano garnki popiołem i piaskiem, żeby ani odrobina tłuszczu nie zaplątała się w wigilijne dania. Ryba smażona czy

w galarecie była raczej rzadkością, jeśli udało się ją „złować” w sklepie lub naprawdę w rzece. Łatwo było zwłaszcza wtedy, gdy na rzece była podwójna warstwa lodu, wtedy między jednym a drugim lodem zaplątywały się miętusy i szczupaki. Wystarczyło wybić mały przerębel i wyciągnąć rybę.

Na pewno była też kapusta z grzybami, bo zapach gdzieś mi się płące, choć dokładnie nie pamiętam smaku, widocznie jako dziecko nie byłam jej amatorką. Za to lubiłam łazanki z makiem lub makielki (rozmoczone w mleku bułki z makiem i śmietanką). Obowiązkowy był kompot z suszonych owoców i świąteczny placek drożdżowy, żółciutki jak kurczątko oraz piernik, bez którego nie wyobrażam sobie żadnych świąt Bożego Narodzenia. Z ciast pamiętam jeszcze tylko szarlotkę i sernik, innych chyba się nie piekło na wsi w tamtych czasach. Największą przyjemnością było kręcenie się koło krzątającej się matki, wyskrobywanie i łasowanie pozostałości kremów z garnków. Trzeba było jednak uważać, żeby za bardzo nie przeszkadzać mamie i nie narazić się na reprimendę, ponieważ istniała wróżba, że jeśli oberwie się w wigilię, to cały rok taki będzie. No i nie chcieliśmy dostać prezentu obwianego różgą – piętnem niegrzecznego dziecka.

Choinka była zawsze, a na jej czubku gwiazda ze srebrnego pozłotką. Mam ją do dziś i choć już mocno sfatygowana – jest chyba starsza ode mnie – będzie zdobić moją sztuczną choinkę do śmierci. Łańcuchy z kolorowego papieru własnej roboty, aniołki – kupione gotowe główki, a sukienki robiliśmy z kolorowej karbowanej bibułki. Cukierki w błyszczących papierkach, ciasteczka, jabłuszka były wielką frajdą dla nas – dzieci, znalezione na choince smakowały lepiej. Najcudowniejsze były bombki, w których przeglądał się świat jak w krzywym zwierciadle. Dekoracji dopełniały złote i srebrne anielskie włosy oraz świeczki w zielonych lichtarzykach, przypiętych do gałęzi. Cud, że nie podpaliły choinki.

Pamiętam jedno zdarzenie. Pewnego razu w Wigilię brat z kolegą wyprawili się po choinkę do pobliskiego lasu. Droga była ciężka, napadało dużo śniegu, trzeba było przedzierać się przez ogromne zasy. Po jakimś czasie spotkała ich mama, gdy wracali, niosąc jedno drzewko. Zapytała:

- Czyja to choinka?
- Moja – odpowiedzieli równocześnie.
- Oddaj koledze, synu – zdecydowała.

Cała mama. Zawsze ustępowała, zawsze inni byli ważniejsi. Nie było już czasu, żeby wyprawić się po następne drzewko. Ale znalazło się wyjście. U wujostwa tego roku mieli wyjątkowo gęstą choinkę, obciąli kilkanaście gałązek, które brat poprzybijał do grubego kołka. Takiej ładnej, symetrycznej, zgrabnej choinki chyba już nigdy więcej nie mieliśmy!

Pamiętam wypatrywanie pierwszej gwiazdki. Na szynbach okien mróz malował zaczarowane ogrody, egzotyczne liście paproci, niezwykle kwiaty i ornamenty. Za oknem chabrowy zmierzch, cisza przerywana ujadaniem psów, w domu przytulnie w blasku naftowej lampy, ciepło, radośnie. Cały przedświąteczny czas matka była bardzo zapracowana, bo oprócz zwykłych gospodarskich zajęć i przygotowań świątecznych miała dodatkową pracę – starsze dzieci przywoziły z dalekich szkół pełno brudnej bielizny, którą z niemiłosiernym bólem krzyża prała na tarze w balii, gotowała w wielkim kotle, rozwieszała na dworze, żeby wymarzła. Mimo to była bardzo szczęśliwa, że ma wszystkie swoje pociechy obok siebie. Kolację zaczynaliśmy, oczywiście, od opłatka. I co roku matka opowiadała, że gdy była dzieckiem, widziała u kogoś zrobioną z niego kolebkę i Dzieciątko, opisywała dokładnie wygląd i sposób wykonania i obiecywała, że kiedyś na pewno i my to zrobimy. Ale jakoś nigdy się nie złożyło... Dla zwierząt był kolorowy opłatek – różowy albo seledynowy. Oczywiście, zawsze pół żartem, pół serio mówiliśmy, że o północy przemówią ludzkim głosem.

Na pasterkę matka chodziła zawsze, ja raczej rzadko. Kościół był kilometr od naszego domu, jednak surowe zimy zamieniały drogę w nieznaną śnieżną pustynię. Jeśli była zawaiewa, nietrudno było zabłądzić. We wsi nie było jeszcze elektryczności. Ciemności rozświeślał jedynie obfity śnieg i gdzieś niedziele nikłe światło w oknach, ledwie widoczne przez olśzynowy zagajnik.

Prezenty tradycyjnie święty Mikołaj wkładał nam nocą pod poduszkę. I choć nie raz starałam się go przyłapać, nie udawało mi się to. Rano budziłam się trochę obolała z niewygody, żeby z drżeniem oczekiwania sięgnąć powoli pod poduszkę (odwlekałam ten moment, chciałam przedłużyć rozkosz mającej nastąpić radości lub odroczyć chwilę ewentualnej przykrości, gdyby okazało się, że razem z prezentem znalazłam różgę). Ta niewidzialna obecność świętego była dla mnie

najbardziej fascynująca. I tej tradycji najbardziej mi żal, bo obecnie prezenty znajdujemy pod choinką tuż po wieczery wigilijnej i pierwszy dzień świąt został pozbawiony aury cudowności. Dzisiejsze dzieci nawet nie wiedzą, co straciły. A już zupełnie nie uznają wynajmowanego „świętego”, nieznanego typu, który często jest nie na poziomie i tylko psuje świąteczny nastrój. Jak już wspomniałam, naszym świętym Mikołajem była siostra, która robiła wspaniałe paczki. Były w nich przeróżne łakocie: rzadkie w tamtych czasach egzotyczne owoce – słodkie mandarynki, pachnące pomarańcze, wymyślne toruńskie pierniki, tajemnicze marcepany, chałwa o orientalnym smaku, moje ulubione wafle z różowym kwaskowatym nadzieniem i napisem „E. Wedel”, cukierki „raczki”, śmietankowe „krówki”, gryłazowe, mleczne, śliwki w czekoladzie (po złoty pięćdziesiąt sztuka) i inne delicje i frykasy. Teraz nie ma już takich słodczy albo ja nie potrafię odnaleźć w nich smaku z dzieciństwa.

Ale najbardziej cieszyły mnie książki – wspaniałe wydane bajki z kolorowymi obrazkami, które dostarczały mi pretekstu do fantastycznych podróży po własnej wyobraźni i tworzenia na ich podstawie swoich baśni. Nieco starsza zaczęłam podejrzewać siostrę o podkładanie prezentów, czuwałam nocą, słyszałam nawet skrzypienie otwieranych drzwiczek szafy, ale zasypiałam przed zdemaskowaniem jej. Jednak moją podejrzliwość budził fakt, że siostra zawsze miała inny prezent, niż my: mama, brat i ja. A kiedy w jej paczce zobaczyłam kaszmirową chusteczkę w kwiaty, którą kupiła mama, nie miałam już złudzeń. Z żalem pożegnałam się z wiarą w niewidzialnego świętego Mikołaja. Wiele lat potem to samo rozczarowanie przeżywał mój syn, który jednak szybko poradził sobie, mówiąc: – „Święty Mikołaj istnieje. To był jego pomysł, jego idea, więc prezenty są od niego!”

II

Trzynasty grudnia 1981 roku na wiele lat zabił we mnie radość ze świąt Bożego Narodzenia. Internowanie męża i wielu przyjaciół, niepewność przyszłości, totalnie zachwiane poczucie bezpieczeństwa, lęk o najbliższych. Syn miał spakowane najpotrzebniejsze rzeczy w plecaku i instrukcje, dokąd pójść w razie czego, ja ze szczoteczką do zębów w torebce (a to wiadomo? wszak zakładałam „Solidarność” w bardzo ko-

munistycznej placówce). Czołgi na ulicach, sceny katowania przez ZOMO wijących się z bólu ludzi, zasłyszane rozmowy milicjantów, którzy cały dzień zgarniali i wozili ludzi do aresztu, nie żalując palek:

- Ale jestem zmęczony. Pracuję dziś od świtu do nocy, nawet nie miałem czasu zjeść kanapki. Dawno się tak nie spracowałem.

- Ja też.

Pierwsza „wojenna” Wigilia u prawie obcych ludzi, którzy zaprosili mnie z synem, żebyśmy nie byli sami w tym dniu. Udawany pogodny nastrój, wymuszone uśmiechy, nie klejące się rozmowy. I spóźniony powrót po godzinie policyjnej (autobusy bardzo niepunktualne), autentyczny strach na widok uzbrojonych milicjantów i przejeżdżających „suk”. Minęło sporo lat, zanim z trudem wrócił do mnie świąteczny nastrój i udało mi się odzyskać radość z ukochanych świąt.

III

Było jeszcze kilka nietypowych Wigilii w moim życiu, ale nie chcę o nich pamiętać. Bo i po co pielęgnować chwasty bólu, rozpamiętywać stare krzywdy i przykrości? Lepiej jest skupić się na tym, co dobre. Przynajmniej w tym Jednym Dniu w roku czuć tylko radość i piękno życia. Docenić Boży dar. Boże Narodzenie – to przede wszystkim święto dzieci. W tym dniu, jak w żadnym innym, do głosu dochodzi dziecko w każdym z nas. Nasze wewnętrzne dziecko, które trzeba starannie pielęgnować, jeśli ludzkość chce zachować człowieczeństwo. Dlatego z pierwszymi zwiastunami nadchodzącej zimy, którą zaczyna pachnieć już listopad, z pierwszymi chłodami, krótkimi mglistymi dniami, a zwłaszcza z pierwszym śniegiem zaczynam myśleć o świętach, celebruję w sobie radosne oczekiwanie i z nie mniejszym zapałem zabieram się za przygotowania, szukam odpowiednich prezentów dla ukochanych wnucząt i dzieci, pięknych opakowań, nastrojowych kart świątecznych do wysłania dalekim bliskim (choć większość osób śle kartki mailowe lub telefonuje). Przestały mnie nawet drażnić nastawione komercyjnie dekoracje wystaw sklepowych tuż po Wszystkich Świętych. Mnie nie grożą spowszednieniem nastroju świątecznego.

/2007 r./

Wiesław Szymański

Stary kalendarz

adresy przepisane
telefony zmienione
komórki na bieżąco

zamazane daty
wykreślone dni
zasuszone kwiaty
brokat
kropla krwi

stary kalendarz
jak odmówiony pacierz

ani łżej
ani lepiej
tyle że obowiązek

i nie wiadomo
wyrzucić
czy na półkę

można też do ognia
dla pewności
że już za nami
i że się nie powtórzy

Jedenaście linijek

nie pisz wierszy brudnych
brudnopisy spal
marce
sierpnie
grudnie
uwiąż w gardle spazm

trzeba wierszy czystych
jak kryształ
się nie bać

by z popiołów wystygłych
diamenty
wygrzebać

Dotykane i mówienie

mówisz: – próbując kroplę
poznajemy
smak deszczu

i że litera
wystarczyć może
za wiersz

czy znak krzyża
wystarczy
za modlitwę –

odpowiadasz: – nie wiem
i dotykasz jabłko
piers
różę

cofasz dłoń
przed dotknięciem
Krzyża

Janina Osewska

nad Wilenką

rzeka szukała pretekstu by objąć rozgrzane ciała
wchodziła na strome brzegi pod zmęczone nogi
dotykała strużek potu od karku aż po lędźwie
a oni – nieczuli na jej z nimi flirtowanie – szli górą
pod dębem objętym drucianą klamrą czasu
w cieniu klonów ich usta i dłonie jak szpaki
szukały karmy

w dole szept wody pieścił nieme kamienie

/Wilno – Augustów, maj, 2007 r./

w kawiarni na Wielkiej

w taki dzień
gdy rozpalone powietrze drży jak ciała kochanków
a z dachów kawiarnianych parasoli skapuje światło
na Wielkiej słowa mieszają się ze słowami
języki splatają w warkocz z językami
rozmowy niczym kule toczą się na skraje urwisk
gdzie pokonane lęki
do miejsc odległych gdzie tylko ślad
a w pamięci szczegół

rozpalone powietrze przebiega dreszcz
promienie stemplują naprędce zapisane pocztówki
do poetów których tutaj nie ma

i nie ma w nich tętna tej ulicy
tego drżenia powietrza i tych rozmów

/Wilno – Augustów, maj, 2007 r./

wileński Montmartre

K.G.s.t.

po między mostem
zamkniętych na kłódkę miłości a starą nekropolią
czas zagubili poeci
jak dzieci pochłonięte zabawą – jak dzieci
tkaczy z przedmieścia za trzema mostami
po których – pod czerwoną gwiazdą – przebiegli artyści
by opowiadać swoje światy

upodobanie miejsca trwa
w kamiennych rzeźbach i w nadwodnym pląsie liści
tutaj – w oczach Wilenki – widać ich twarze
szczególnie wyraźne gdy noc ustępuje świtowi
a niskie światło pogłębia zmarszczki życia
pieśń rzeki i przenikanie pór trwają
nim niedaleki anioł poprowadzi
w coraz głębsze zadziwienie
ulicą Zarzecze na Cmentarz Bernardyński by tam –
przy schodzących do rzeki nagrobkach
tych co kochali jak ludzie z mostu kłódek –

odnajdować cykliczność czasu

/Wilno – Augustów , maj, 2007 r./

wileńskimi zaułkami spacer w deszcz

...a miłości bym nie miał, byłbym niczym.
1Kor 13,2

ostatnie godziny z tobą ukochane miasto
spędzam na spacerze i w zaułkach twoich
podniesione minuty niżę jak różaniec

dla Ostrobramskiej Pani której światło żrenic
kamienicom policzki rumieni i wieże kościołów
łączy w wierze z błękitem nadziei

że człowiek mały może serce mieć wielkie
i jak Piłsudski dziękować za Wilno
które uczy jak je kochać trzeba

kiedy w ulewie u oblicza Pani
suchość usta pali modlitewnym ogniem
gdy o miłość błagam aby nie być niczym

/02. 06. 2007 r., Wilno/

Janusz Sowiński

Ojciec

Skurczył się
Garbu lat nie widać
Tylko siatka skóry
I bruzdy czasu
Wykreślają mapę
Jego twarzy

Ręce pokręcone
Jak korzenie

Żelazne buty wieku
Na zawiasach kolan
Zgrzytają i trzeszczą
Słysząc szuranie
Ślimaczych kroków
I stukot laski

Oczy w denkach szkieł
Łzawią kroplami soli

Na własnych plecach przenosi
Stary wiek w nowy

Dni odchodzą

Dni odchodzą z myślami
Za granicę słów
Cóż znaczą dźwięki
Szeptane przez usta
Ptakiem myśli odlecą
Zapłonie uśmiech
Wspomnień i marzeń

Nie znają granic
Wymyślone obrazy
W lustrach oczu
W drganiu warg
Za słowem tęsknią
Samotne słowa
Światłem przenika
Iskra dobroci

Jeszcze dzień mruga
Rzęsami przeznaczeń
Chwila trzepocząc
Drżeniem przenika
Słowa zapłoną znów
Ogniem otworzą
Warg litanię

Nie gaś

Nie gaś dźwięków
Ukrytych w cieniu
Bezpłodnym słowem

Drzewa świecą nagością
Gdy odchodzi nieczuła
W zapomnienie

Świat ginie
Zagrożony mrokiem
Wygastłych myśli

Najpierw

Najpierw rozbudzisz
Noc uśpioną
Jak rzeka Netta

Najpierw rozjaśniesz
Zastaną północ
Sercem człowieka

I łagodnością
Zaczniesz rozplatać
Łańcuch niemocy

Ażeby potem
Przypływu falą
Otworzyć oczy

Mateusz Kołos

Po wojnie

Leżeli w trzecim budynku
chyba na Lipowej. Marnie wyglądali
zapytałem wtedy
czy jest tu jeszcze nadzieja

Lekarz zdawał się ją pamiętać
ta pani już umarła powiedział

Wiosna

uprzątnąć niebo. zamieść szare klaki chmur
pod dywan horyzontu. wywiesić
pranie. bieliznę cumulusów. nie
gadać. słowa nie powinny wypadać
ot tak, z gęby, taczać się po wszystkim,
łapać kurzu i żdźbeł trawy, podlatywać
z wiatrem na drzewa, więc gniazd.
nie powinny rosnąć im skrzydła
ani żadne inne niepotrzebne wypustki.

uprzątnąć niebo. uprzątnąć to sklepienie
wewnątrz siebie, zaczesać prosto bruzdy
cirrusów na czole. powiedziałaś dziś
za dużo, jeden z tych ptaków
uwił mi gniazdo pod żebrem.
biorę go w dłonie i mówię cicho
że od teraz na pewno wszystko będzie
dobrze.

Wyobrażenia

napoję parasol deszczem
otworzy się rozetą w twoim oku

rzucę kotwicę w głąb siebie
pociągnie mnie za sobą
daleko
daleko

to wszystko mogłoby być
i pewnie dlatego właśnie
nie jest

na brudnej szybie w tramwaju
pluskwa
która kiedyś była ptakiem

Dariusz Tichoniuk

* * *

Niepostrzeżenie
przez jasne gałęzie przepłynie pajęczyna
w powietrzu zatoczy wielkie koło
ponad nami, gdy już zabraknie tchu by biec
za nią - tym widmem jesieni

* * *

Zmrużone ślepie latarni
w ciszy przydeptują zmierzch na ścieżce
wczorajsze sny z których ktoś się otrząsnął
jak bezsilna roślina w zmurszałej doniczce
z życia
w zapomnieniu

* * *

deszcz i słońce
jak w zabawie na sznureczku
trzymaliśmy w dłoniach
gdy mrużąc oczy
szepotaliśmy do siebie -
Patrz, tak kończy się
ten dzień...
samotność zasiana
miłością. To moje ulubione kłamstwo

Zofia Piłsiewicz

Gra w Go - wiersz podróżny

Na Placu Tysiąca Wiatrów grają w Go.
Rycerze ruchliwi,
Łowią się w pułapkę spiralnie.
Odwaga i wyobraźnia.
Biały pionek osacza czarnego.
Harmonia z tym, co wokół.
Taniec żurawi.
Eteryczna, subtelna droga, na której
Elegancja bierze górę nad przemocą.
Zwierciadło duszy.

W zrujnowanym pawilonie
Dziecko puszcza latawca.
Latawiec przepowiada przyszłość.
Oczy jak listki wierzby śledzą czujnie jego lot.
Poleci na wschód, południe – nadzieja i dobro
Poleci na zachód, północ – odżyją upiory.

Tysiące drzew otacza jezioro o lśniących falach.
Nadzieja ma miękką krągłość ramion
Przesuwających pionki i umysł
Konfucjusza.

/marzec 2007/

* * *

Zanurzam nogi w górskim potoku.

Pstrokaty grzbiet pstrąga
Wygina się w promieniu słonecznym,
Rozkoszny chłód otula ciało.

Przecięły się nasze drogi.

Roziskrzona, kręta rzeko,
Niezmienna
W swojej zmienności,
Nieczuła i obojętna.
Silna i beznamiętna,
A przecież tak hojna.

Dzielisz się ze mną swoim chłodem,
Gasisz pragnienie niecierpliwe.
Przynosisz ulgę zmęczonym plecom.

Twój szum wyżłabia ślad w moim sercu,
które zamiera w zachwycie
skalnego poranka.

* * *

Przez rozchylone zasłony,
jasność nieba sięga aż do łóżka.
Zapach trawy
miesza się z zapachem jaśminu.
Patrzy na mnie nieruchomy księżyc
W porządku rozgwieżdżonej nocy.
Polne koniki, mali znawcy sekretów duszy,
Zgrzytają radośnie.
A gdyby tak...
wybiec bosymi stopami na trawę?
Zatańczyć w świetle księżyca?
Zanurzyć się w ramionach srebrnej rzeki?
Wyśpiewać z wnętrza swoją radość?
Wskoczyć w kałuże
I łowić promienie księżyca
W kropelkach wody?
I nic sobie nie robić ze swoich 50 lat.
Trwaj chwilo! Złapałam Cię w swoje sidła.
Trwaj!!!

Dawid Klepadło

fututio

na wargach oddechu
kleją nam się
języki

topimy się w
magnie
wzajemnej namacalności

poruszasz szept
zaklęciem
przedostatnim

masażem słów rozpalasz serce

pocztówka o nieból

oswoić noc

wtulić się w ciszę
jak w poduszkę
o zapachu rozartego cynamonu

zapomnieć

hamartia

jesień pachniała deszczem

alfabet
zmrużonych fotografii

zasuszonych łez
policzki

oddechy na szybie
niepokojne

art

pokazują mi się anioły
o porcelanowych uśmiechach
i poszarpanych ustach

z dystansem
podchodzę do wiersza

czuję kawę rozsypaną w sepii

poznają siebie metaforycznie
po niebliznach
i po zapachu skóry w której chodzę

cielesność zatrzymuje metafizykę
którą dotykam przypadkiem
doczepionym językiem
poety

filozofia mojej duszy
modlitwą o chwilę
nieba
na papierze

Anna Krot

* * *

*Przyjacielowi
Tomkowi Sajewiczowi*

Zamykam ciebie
W pamięci
Mojej niepamięci
By twoich oczu blask
Pamiętać nie pamiętając

Zamykam ciebie
W snach
Niewyśnionych
W sensie słów
Niewypowiedzianych
W piosenkach
Bez melodii
W wierszach
Leżących w szufladach

Zamykam ciebie
W czasie przeszłym
Teraźniejszym
Przyszłym
Byś w każdej chwili
Istniejąc nie istniał
Obok mnie

Zamykam ciebie
W pamięci
Mojej nie pamięci

/09.06.2002/

* * *

*/„Śpieszą się tylko głupcy
Którzy wierzą, że gdzieś
jeszcze można zdążyć”
H. Poświatowska/*

Ali Gryc

Mówisz
Po co tak gnasz
Zabierasz skrzydła aniołom

Co będzie z nami
Następnego dnia
Nie obudzę się
Obok ciebie

Co zrobisz
Jutro umrze
Zapomni nam o tym
Powiedzieć

Czy świat
Zatrzyma się
W szalonym biegu
Zauważy
Jak mrówka niesie
Okruszek chleba wspomnień

/10.10.2008/

* * *

Odchudzam myśli
Do szpiku
Bezmyślności
Robię lifting
Wyobraźni
Zmarszczek realności
Pociągam
Pomadką usta
By smutki
Wyglądały weselej

/03.12.2004/

Kamil Dąbrowski

i obrót na trzy

raz dwa, raz dwa
a potem krzyżyk i kółko
guzik z pętelką
groch z kapustą
bolek i lelek
serbia i kosowo
gin z tonikiem
jak kot z psem
po – psl
wisła – legia

tysiące punkcików iskrzą
niezagojoną rewolucją

flamenco

wiatr śpiewa o ogniu
w środku zimy

drzewa śpiewają o srebrze
które kobieta nosi przy sercu

cyganie śpiewają o wolności
która narodzi się jesienią

papier-mâché

lewitacja
w palpatacjach
na krawędzi
drżenie powiek
i rąk szybkie się
przemieszczanie

a może lepiej

BURN BABY, BURN

listy z iwo jimy

usta twoje odcisnięte
na winylu (a nie na cd)
właśnie to mnie porusza
surowy old school
a nie plastik
weekendowych namiętności

solaris / polaris

powrót pod drzewo. na czas określony.
i choć obłoki znad głowy cofnęły się
i przywarły do ściany, mocno
trzymam się pnia.
na kilka chwil nieruchomieję.
pojawiają się wszystkie wspomnienia
i wszystkie lęki. deszcz wypłukuje
kawałki metalu. żywe, nieokreślone
kształty.

Eligiusz Buczyński

to będzie wiersz pierwszy

- mówią - mówią - mówią

drażliwi na swoim punkcie
odwrócenia od życia
wyszczekani adwokaci
własnych niewielkich imion
i niewielkich nazwisk
którzy jakimś cudem
potrafią wykręcić kota ogonem
i z najgorszej opresji
wyjść obronną ręką

najbardziej beczelni z nich
w środku ulubionej przez ciebie nocy
kiedy niczego się nie domyślasz
skradają się
jak niewidzialne niedźwiedzie
wpuszczając ci do oczu snop światła

by na postawie tego
co zobaczyli pokątnie
wyrobić sobie
pochopne opinie
i osądzić

sądzą
bezlitośnie
aż poczują na języku
twoją krew
której zapach wypełni
ich niedopieczzone ego
dziury w duszy

słabe serca
brak paliwa
brak miłości
i brak odpowiedzi

na wszystko

nie daj się
jesteś przecież silniejszy
od tej zgrai harcujących
myszy
które nigdy nie dotrą
do słońca

rozgrzany

chciałbym dać ci
pękata wiązkę wierszy
ofiarować coś
czym natchniesz się
nasycisz tak do woli
do końca
aby ujarzmić twój lęk
i zamienić na pieska
spokojnie śpiącego u twych nóg

ale cały czas stoję w słońcu
kochana
stoję tam pod rynną
tego co hojną ręką darzy

...i nie sposób tego zatrzymać

...aby to opisać

rozmowy o sztuce intymnej

dwa krzesła naprzeciw siebie
ty ja
okno pomieszczenie
i kłębiący się rój
uwag myśli i uczuć
które nie zostały
wygłoszone

oraz te
nie
licz
ne

ukazujące naszą
małość słabość

i kru
chość
słó
w
które padły

martwe

Ewa Kondraciuk

ideał

czasami wyobrażam sobie ciebie
jako człowieka
- bez krwi i kości

innym razem jako słońce
dla którego nie rzucę cienia

i nie spalę się ze wstydu
patrzac prosto w oczy

cykl

to tyle dla mnie znaczy

nie zgubić się
pełnią srebrnika

i nie wyć razem z psem

zaćmienie

spowił mnie lęk

za dnia
pospadały gwiazdy
a ciebie wciąż nie ma

zawczasu

złóż w niebie moją głowę
gdy dojrzeją włosy
splaciesz z nich warkocz
i stanę się kometą

połączę nasze skrajne punkty
i stworzymy pułapkę na chwilę
wytrącając czas z równowagi

deja vu

kiedyś stałam tutaj
mając nadzieję w ręku
ściskając myśli
bym mogła zmieścić ciebie

wciąż chodziłam na palcach
a nie chciałam
spłoszyć cię ich hałasem

zapięta

na sznurze od niechcenia
schnie pani

ostatni guzik
i pętelka z supełkiem
której zwisa życie

jestem snem

nakarm mnie
ze swojej głowy
wymyśl

niech będę
tuż przed obudzeniem
taka niezapomniana

jestem drzewem

lubię gdy czochrasz moje włosy
pleciesz koszyki
i nosisz w nich myśli

od niechcenia
drażnię się upuszczając
tu i ówdzie
dojrzałe już słowa

byś zauważył we mnie
miejsce na dom

przystanek

ostatnio nie rozmawiamy

spójrz na mnie jak na nieznajomą
przynajmniej ponarzekamy na pogodę

Kamila Korobkiewicz

*Pamięci Ryśka Riedla...
w 14 rocznicę Jego śmierci...(30 lipca)*

Gorzki smak wolności

gorzki jest smak wolności
dookoła samo zło
i myśl
że możesz po nie sięgnąć
i zejść nie wiadomo dokąd...

By życie tak nie bolało
By blisko leżał świat
I „niebo było tylko metr nad ziemią”
A nad nim wolność
Szybowało jak ptak...

Ale ta droga
Prowadzi do nikąd
A w „niebie” czeka śmierć
Ubrana w płaszcz wolności
Której tak bardzo chcesz....

Liścia pamięci żałobny rapsod

żółty liściu
powolutku spadasz z drzewa
delikatna twa suknia w powietrzu powiewa

żółty liściu
jakże mi ciebie szkoda
wiem
wszystko to urządziła przyroda

żółty liściu
ojcem twym był wiatr
a matką twą była gleba

żółty liściu
umierasz
wiem
umierasz
bo tak trzeba

Telefon

wczoraj zadzwonił
do mnie
Bóg
powiedział
że nie musimy już
zabijać bronią

On zrobi to
za nas-palcem

Iwona Gołko

* * *

ona ucieka gdy kot drapie chmurę
i gdy czerwień staje się taflą płaską
ona ucieka gdy psuje się czas horoskopu
zawsze
gdy myśl umiera
w ul zatroskanej sonaty

/październik 2007/

* * *

szalas czerstwi Twą młodość
w posłuszeństwie nie-dla-Ciebie
Wiem o której czujesz ból?

/2.10.2007/

* * *

Dwadzieścia sześć lat ma warkoczyk

Nie dotykaj jej słów
bo sączy się w nich ból

Do studni wpadają każdego dnia
aby spocząć w bezkresnej pułapce

Wciąż je przy tym samym stole

/12.09.2007/

Piotr Balkus

Sierpień

Przychodzisz myślą lata,
księżycowymi śpiewieczorami serc,
modlitwą bajeziara, nareszcie.

Nocą piszesz piękny wierszept,
kochasz niebieskie niebo,
śmiercisze.

długopiszept

pisanie wierszy długopiszeptem
porozumiewanie się ze światem
światłem zaświatów

ciszopisanie
sercowiercenie
tatuazale
nie do zmycia
nie do życia
wiersze wieczne i konieczne
niedorzeczy ostateczne

pisanie długopiszeptem
tak cicho żeby słyszał je tam na górze
Nikt

Zniknięcie

Z rynien sennie lała się woda, na ścianach banku
mokły chrabąszcze. Sklep był już zamknięty,
choć niedziela była dawno temu.

Nic nie zapowiadało tego, co nastąpi,
on zrobił to w milczeniu, nie żegnając się z braćmi.
Na stole ciągle stoi herbata, którą wypije czas.
Gdyby chociaż napisał list, albo trzasnął drzwiami. Nic,
jakby nadal tu siedział i czule głaskał codzienność.
A ci, którzy wiedzą gdzie się podziewa,
albo nie chcą, albo nie potrafią mówić.

Chciałbyś iść...

Chciałbyś iść, lecz zatrzymuje cię cisza domu,
gdy popołudnie zaprasza na sjęstę, a stare drzwi
skrzypią zalotnie, w takt klejących się powiek.
Te cztery ściany, w które się zapada twoje wyzwanie,
twoja męskość i ciekawość świata, głębiej i głębiej,
śmiech dziewczyny, w której się kochasz, która stoi
akurat pod twoim oknem i nie wierzy w przypadki,
choć jej usta mówią co innego.

Musisz krzyknąć, połać się zimną wodą,
przejszć chrzest oderwania, obiecać niepowrót,
potem wsiaść do pociągu i jechać, i wysiąść
dopiero w sobie.

BOGDAN JANKOWSKI

*Chwilą, trwamy w naszej pamięci;
wiecznie, w pamięci Czasu*

Zamyślenia

Pamięć to nie popiół palonej zapalki...

To treść

- sumujące się chwile układanki
ustanawiające złudzenie ciągu - *jedności w wielości*

w końcu zawsze
jakkolwiek rozsypujące się jak ziarenka różańca
to w celu by się stawać
wielością w jedności...
- pamięcią hologramu istnienia.

Ponownie scalane jako nowy element tworzenia
trwają
cyklem fraktalnych przeobrażeń w "kwantach"
dla nowej jakości wiary w ponowny świat
swojego świata
by w nim istnieć nie Cieniem światła
a Światłem bez cienia.

Siedzę wygodnie, pozycją ciała afirmując nasycenie odcieniami czasoprzestrzeni, delikatnie złożonymi pod powieką umysłu...

ale, chłód jesienny w starych kościach, i jakkolwiek samotność nie boli, czegoś, kogoś brakuje;

przez lata dobrowolne wyobcowanie - ucieczka w siebie -
gdzie nie ma tańczących pluskiew, biegu szczurów, książąt-

przebierańców, bezcelowych wędrówek stad bezrozumnych; jedynie uporczywe echo wahadła Foucaulta, namaszczone słowem Umberto Eco trwa... na tyle, ile wartość treści każdego, nawet bardziej udanego od tej gawędy kiczu, jakim w swoich sekwencjach niekiedy bywa życie...

Bowiem, najbardziej z pozoru martwy świat, posiada własną głębię.

Raz powołany - jest.

Ale czyż nie jest tak; że powielający się umysł wierzy w to, co sam wytwarza w nieustającym procesie powstawania, kształtując swój subiektywny wirtualny SEN?

Czy nie mógłby być manipulowany quasi-wiarą w Improvizację istnienia, kształtowaną jedynie Iluzją?

...czy iluzją logiki istnienia, kształtowaną jedynie improvizacją umysłu?

Przecież sekwencja DNA, nie jest jedynym kodem chromosomów. O ile tak; mogą rozwijać wstęgę zapisu SŁOWA, które mogą zawłaszczać, przeobrażając na własny użytek, kształtując WŁADZĘ,

lub zaakceptować Prawo zakodowane nie w genach, a hologramie umysłu, z którego nic nie wyrzucę, nie zmienię, nie opuszczę żadnego znaku, jaki zapisano, dopisując do pierwszej Litery - Alfa- resztę,
gdyby...

Problem zaistniał nie, dlatego, że go wywołałem, a sięga prehistorii, kiedy zostałem wyrzucony z Raju, a stało się to wówczas, kiedy po uzyskaniu świadomości, rolę instynktu ukierunkowanego na wartość **mieć-posiadać** mojej wegetatywnej wartości, zastąpiłem umysłową interpretacją treści, **być-poznawać**.

Niemożliwość pełnej weryfikacji uwarunkowań rozumu, przez sam rozum - tego tak poddańczego układu wobec genów, na dalszym etapie rozwoju, zabójczego dla wszechstronnej ekspansji umysłu w metafizycznych obszarach wizji, prowokuje by kontynuować codzienny monolog opisu własnego świata - istniejącego w czasoprzestrzeni, wyobrażalnej umysłem jako subiektywne JA - (graf *Bytu* substytuującego kreśło-

ny w umyśle obszar obserwacji pola wpisanego w indywidualny umysł)...

nadal zbyt niedojrzałego, aby zrozumieć przynajmniej siebie...

Horyzont sytuacyjny moich zamyśleń, nie kierowany jest ku komuś, a ku wizji dziejowości MOJEGO JA, tak jak siebie pojmuję - w utopii rozumu i ezoteryzmu.

Nic nie stoi bardziej na przeszkodzie w akceptacji innego świata inspirowanego ezoteryką, jak próba jego zrozumienia.

To nie możliwe... i po co?

Wzajemne współistnienie obszarów metafizyki i rozumu istnieją od zawsze i nie jest istotna akceptacja lub dezaprobata rozumu do ścieżki ezoterycznej umysłu, bo z lub bez, ona jest...

wartościuję znany mi świat treści rzeczywistej, w próbie infantylnej obiektywizacji (tym dojrzałe zajmuje się teologia, filozofia, nauka), i definiuję wyłącznie własną subiektywną jego interpretację - akceptując odrzucony przez naukę ezoteryzm; z prostego powodu - bo jest jedną z możliwych, i nie mniej niedoskonałą interpretacją informacji z poza przestrzeni rozumu niż nauka; interpretacją wizualizowaną poprzez mój umysł, świadomy możliwości rozumu operującego w zaledwie cząstkowym *polu obserwacji*; polu, którego horyzont zakreśla nieskończona niewiedza skończonej formy rozumu, który sam w sobie niewiele znaczy bez inspiracji umysłu przekraczającym skończoność rozumu; nadal dziewiczego umysłu, niezmiennie wkraczającego w obszary nieskończoności..

Epoka, która mnie stworzyła, odchodzi wraz ze mną. Jesień... jeszcze jednego istnienia, w świadomości współtworzenia nie do końca sprecyzowanej utopii - kolejnej *babki z piasku*.

Cokolwiek... jakkolwiek...

W końcu owa rzeczywistość, sprowadza się do uświadomienia jedynie własnego, subiektywnego JA; nie posiadającego treści merytorycznej, w kontekście HOLOGRAMU BYTU, które ją dopełnia jako wartość subiektywna w tym, że ona w nim istnieje, jak ono w niej; by wspólnie wobec siebie, obumierać.

Pozostanie tożsama gorycz z niedokonań na polu własnego rozwoju, w którym mądrość nie stanowi enklawy samej w sobie, a zaledwie element w wielości.

Przepływam w treści zmiennych układów, stojąc w miejscu na ruchomych schodach.

Zarazem tyle mnie, ile siebie; czyli powierzchni mozaiki z elementów, nadal nie do końca dopasowanych.

Poniższa forma, stanowi luźną formę notatek; w zasadzie na własny użytek.

Ale...

Kantor powiadał, że *sztukę tworzy się dla kilku przyjaciół*. W obecnej dobie ekspansji pisma obrazkowego, abstrahując od prac z zakresu informacji, pisze się w istocie sobie. W „*Tako rzeczce... Lem*”, autor twierdził, że obecnie w Polsce książki czyta 1% populacji.

To nie mój powód do żalu.

Należę do zanikającego pokolenia, wychowanego na słowie czytanym; mam w bibliotece tomy filozoficznych rozpraw, prac naukowych, powieści, poezji...

Tych ziaren skalanych w piaskową skałę, murszejącą jak ja, w prądach czasu...

Buduję niezmiennie tę samą - subiektywną utopię, pozornie niczemu nie przydatną, bowiem nigdy w nią do końca sam nie wierzę...

Przestrzeń informatyczna mojego świata odchodzi; ja wraz z nią. Taka jest kolej rzeczy. Mój umysł, jak każdy, tworzy własne utopistyczne wizje w przekonaniu o ich nieadekwatności do rzeczywistego obrazu świata, który w pewnym momencie rozwoju, staje się nie do zaakceptowania w istniejących strukturach.

Przecież i ta, jak każda utopia, umyka świadomości, już istniejąc *poza* nią,

wobec czego; o ile subiektywne ujęcie siebie oparte na wierze, nadziei, zawierzeniu, utrwali się jedynie w jeszcze jednym micie człowieka, dążę doń z nakazu pierwotnych uwarunkowań, nie mając odwrotu;

w opozycji wobec czasu inspirowanego trendem Świadomego Egoizmu.

Tak biegnie „ewolucja”.

Należę do tych, mówiących - nie.

Poniższe, tak oczywiste, subiektywne odczucia nie są usprawiedliwione brakiem obiektywnej motywacji potrzeby jego istnienia (tak wielu to czyni), bowiem obiektywizm zawsze jest umowny, gdy w grę wchodzi jego odrębność; jest on, bowiem *przeciwstawną* subiektywizmu, podobnie jak - rzeczywiście - byt wobec pojęcia - Istota, Bóg;

kreślone są motywacją prześledzenia własnego rozwoju inspirowanego nierealną, naiwną potrzebą odpowiedzi na pytanie, podobne odpowiedzi Abrahama do Stwórcy, który na wołanie - *Abrahamie, Abrahamie*, odparł - Jestem;

...kiedy słysząc - *gdzie ty jesteś...* niezmiennie odpowiadam - Nie wiem...

bo w obecnym przedziale rozwoju, moje niebo, to strop przemierzanego kosmicznego labiryntu *Quroborosa*, osadzonego w subiektywnej utopii

bowiem rozum amputując wizję umysłu, nie umie dostrzec duchowego wymiaru we własnym obszarze,

widząc wyłącznie wzory praw... w przekonaniu, że widzi siebie; to oczywisty nonsens, bowiem nawet tego nie potrafi.

Odcinając się od transcendentnego, przestrzennego pola umysłu, pozostają jedynie palce rozumu, niewyczulone na nieznanne obszary, improwizują rysunek z czerni i bieli, pozbawione perspektywy kolorów tęczy.

Mity, utopie, teorie, hipotezy...

Jakkolwiek A. Chalmers twierdzi, że w pewnym sensie w nauce ma miejsce postęp, całkiem wyraźnie stwierdza, że nie jest to postęp *ku prawdzie* w jakimkolwiek, ściśle określonym znaczeniu.

Twierdzi ponadto, iż nauka - indukcjonizm, relatywizm, falsyfikacjonizm nie są instrumentami zdolnymi do wyjaśnienia przyczyny i powodu istnienia życia

...czuję, że istotą problemu jest sztuczny podział obszaru wiedzy rozumu i metafizycznych obszarów umysłu...

Wiara... przestrzeń umysłu nadal nieweryfikowalna w polu rozumu - narządu stanowiącego czytnik informacji serwowanych przez umysł.

Obecny brak więzi, zerwanie logicznego układu umysł-rozum, lub inaczej ekspansji dokonań rozumu w oderwaniu od inspirowanych przez umysł obszarów kultury, prowadzi do inercji układu – homo.

W konsekwencji zapaść kulturowa – etyczna, moralna, religijna, prowadzi do zwyrodnień. Sama nauka to zbyt mało; przecież gdyby nie umysł, rozum byłby nadal na poziomie rozwiniętej, chytro-przebiegłej małpy.

To utopia inspirowana umysłem kreślącym dotąd nieznaną logice rozumu obszary inspirowała zawsze jego ciekawość i dociekliwość.

Improwizuję, iż umysł otwiera rozumowi, (niewidomemu na wymiary metafizyczne) obszary wiedzy, której sam umysł nie jest zdolny w pełni weryfikować, bo nie takie jest jego przeznaczenie. Stąd niejednokrotne przejawy pogardy dla nieprecyzyjnej intuicji umysłu.

Ekspansja nauki, zbyt czysto pragmatyczno-indukcyjna wizja życia, zabija życie w jej, wielowymiarowej kulturowości.

Obecny poziom rozumów wyrażany lekceważącym twierdzeniem, iż z filozofem biolog może wypić jedynie piwo, a nie rozmawiać, świadczy nie o dyletanctwie, a groźnej amputacji tych obszarów, które dotychczas współtworzyły osobowość człowieka. Najbardziej światłe umysły epok, to osobowości wielowymiarowe duchowo, nie zaś doktoryzowani liczydłopodobni technicy, o niedorozwiniętej strukturze duchowej pierwotnych małp.

Jestem w swoim osądzie niesprawiedliwy...

Dany mi Czas, przełomu epok – schyłek jeszcze jednego paradygmatu „ewolucji” w trwającym procesie przemian – upadku dotychczasowych treści inspirujących duchowy rozwój; podobnie schyłek mojego istnienia i zbliżona zmienność kreślonych umysłem.

Naturalny, odwieczny proces fermentacji – obumierania cyklu preferującego dotychczasowe formy.

Odchodzi wiara w substytuty Nadziei – Miłość, Piękno, Prawdę;
powraca – Brzydota, Kłamstwo, Cynizm;
i nie jest to tak, że tego nie chcemy...

Bo chcemy.

Niejednokrotnie nienawidzimy, co ustanawiało TREŚĆ, świadomi własnej niemożności kształtowania duchowych wartości piękna w nas samych; tym mocniej, coraz bardziej, preferując im pogardę...

Szukamy inspiracji nowych, odmiennych, powtórnie cofając się do Epoki Początku – Barbarzyństwa.

Bowiem linia progresji każdego układu, po okresie wzrostu załamuje się, kierując do punktu początkowego, tracąc pierwotny impuls. Nigdy jednak bezpowrotnie nie ginie dając nadzieję, iż dawne paradygmaty niezmiennie powracają w odmienionej formie na innym poziomie wartości...

Trakt ku Narwi...

* * *

Czym jest ruch – marzenie...

Oknem szczeliną wizją przeczuciem...

siłą inspirowaną instynktem

przeczuwającą władną kształtować bieg powstającego faktu?

...Rytem, grafem, odwiecznym aktem tworzenia?

Rzeczywistość kształtuje mój umysł

umysł rzeczywistość

czy w korelacji z sobą

oddziaływają na siebie?

Do jakiego punktu mojej przestrzeni zmierzam

w przekonaniu

że umysłowa improwizacja nigdy

w pełni nie przystająca do rzeczywistej treści istnienia

stanowi sobą jeszcze jedną

rozpaczliwą próbę nadania imienia

przestrzeniom nigdy nie weryfikowalnych rozumem

i wiem –

że stanowi sobą tylko jeden wariant

skończonych improwizacji – niewiadomych wariantów

$n\infty$.

Rozkołysane gałęzie, maleńkie wiry porywające piasek polnej drogi, zmienne w kształcie, płynące w powietrznych prądach inspirują zamyślenie, iż w przemijalności świata człowiek, to zawsze więcej niż on sam, na tyle, na ile stanowi kontynuację własnego świata w transcendencji, nawet w obecnej refleksji; dlaczego w paraleli dobra i zła - z perspektywy zdarzeń (poza bolesnymi wstrząsami rzutującymi na dalsze istnienie), zło umyka, zaciera - znika...

Czy w myśl sentencji, iż każdy organizm dąży do tego, co dobre dla niego?

Dobro, zawsze emanuje prawdą? A zło?

Też.

Rzeczywistość kształtowana jest przez inspirację umysłowych treści, czy konsekwencję praw natury?

Tak, czy tak; stanowi paradygmat samej siebie.

Każda treść rzeczy...

Jako przykład; symptom obecnej ery neonienawiści - ponizanie Sztuki; inspirowany przez ludzi z zatartą granicą osądu obiektywnego, bowiem boleśnie uświadamia im - kim naprawdę są.

Regulamin pracy Roberta Bolesto, kierownika literackiego Teatru Powszechnego:

„Nienawidzimy się generalnie, pierdol naszego szanownego patrona Zygmunta Hübnera, młody jebie starego”...

...Moje zamyślenia, to zwitek kory rzuconej w nurt tej rzeki wpisanej w mój życiorys...

na przeciwległym brzegu w oddali, - las...
Proste struktury, w odwiecznym podporządkowaniu Prawu, poprzez preferowanie inteligencji ukierunkowanej na zawłaszczanie - wszędzie i od zawsze... Ustanawiającej zasadę rozwoju, opartego na wzajemnym unicestwianiu...

Na tę chwilę refleksji toń wody sugeruje spokój iluzoryczny; - w niej widzę patologiczny, skrzywiony w „ewolucyjnym” spektaklu proces kształtowania świata...; w zastopowanym kadrze, przejaw schizofrenii Bytu.

Wiem. Ta wizja, to jeszcze jeden nie do końca sprawiedliwy, chwilowy odbiór nastroju inspirowanego goryczą - okre-

ślonej płaszczyzny *pola przeobrażeń...* Nieodpowiadający prawdzie w ujęciu *holistycznym*..

Blizsze mojej logice jest to, iż Natura jawi mi się jako GRA mojego umysłu - w założeniu początkowym - wymuszona łamięglówka rozumu; z uporem rozwiązywana szarada umysłowa, - z kontekstem - po co...

w narastającej z wiekiem dobrowolnej izolacji... w coraz bardziej odczuwalnej *obcości* tej rzeczywistości...

Świadomy swojego miejsca, uczę się pokory Czasu - jego odwiecznej reguły GRY, w której obowiązuje prawo *paszcza w paszczy*.

Nie istnieje przecież uniwersalna procedura weryfikująca pojęcie dobra i zła; pomijając subiektywne interpretacje rozumu. Logika dobra i zła tego świata, inspirowana jest intencją genetycznego prawa ekspansji (*każdy organizm dąży do tego, co dobre dla niego*); którą akceptuje rozum;

to mnieam, iż w przeciwieństwie do pojęcia zła i dobra wynikającego z uniwersum prawa naturalnego - każda świadomość umysłowa wzrasta w polu ekspansji duchowej w myśl innej zasady, że dobrem jest to, co inspiruje rozwój każdego bytu w polu altruizmu innego; dzięki czemu, przestrzenie pól horyzontalnych duchowości dwu jednostek wzbogacają się i wzrastają, inspirowane nie zawłaszczaniem a wzajemną empatia organizmów, w metafizycznej przestrzeni pola umysłu.

Tak buduję nadzieję celowości istnienia...

Tak sądzę w epoce, w której samoświadomość kreślona jest często dominacją rozumu nad umysłem.

Wierzę, iż mądrość zaś zawsze przychodzi z chwilą, kiedy rozum świadomie przyjmuje rolę służebną wobec umysłu;

świadomy, że cywilizacja, jaką wniósł homo w proces ekspansji własnego rozwoju z jej pochodnymi - kulturą, filozofią, sztuką, duchową ekspresją uczuć wyższych, dotyczą tylko jego (mnie) na tej planecie i stanowią przybliżoną wartość warstwy ozonowej planety. Wystarczy ją zniszczyć, by odsłoniła się prawda ludzkiej istoty uwarunkowanej schematem pierwotnego Id.

Współczesne, młode pokolenia europejskie pozbawione zostały wartości kreujących dotychczasowy schemat interpretacji postaw i zachowań. Między uczniami panuje hierarchia

identyczna, jak między małpami, bazuje ona na współzawodnictwie. Jakie miejsce zajmujesz w grupie, zależy od twojej agresywności¹. Prasa podaje, że uczniowie masowo demolują budynki szkolne; narkotyki, seks, brutalne zabawy, poniżanie to schemat.

Nie jest to wynaturzenie, a powrót do pra-pierwotnych korzeni, pozbawionych paradygmatu rozwoju duchowego.

¹ Onet - wiadomości

JULIUSZ SZCZĘSNY BATURA

„Czterdzieści i cztery”

Z niemalą obawą, ale też z ciekawością, zabrałem się za pisanie tej książki. Myślałem, jak przekazać sporo magiczno-matematycznych skojarzeń, refleksji o mitach, historycznych dygresji i nie zanudzić czytelnika. Wybrałem formę luźnych szkiców wzajemnie się zazębiających i obejmujących w sumie pewną całość.

Sprawiedliwe wyroki sędziego Pao-kunga. Wątek chiński.

W latach nauki szkolnej chętnie przesiadywałem w bibliotece. Czytałem powoli i z trudem, ponieważ co trzecie zdanie podsuwało mojej wyobraźni pomysły uciekające w bok od myśli autora. Częściej, z powodu tej przypadłości, oglądałem ilustracje i myślałem oczami.

Pewna książka zapadła mi głębiej w pamięć. Była to opowieść o chińskim mandarynie, który z detektywistyczną genialnością w proste sposoby rozwiązywał zagadki kryminalne. W końcu Pao-kung tak się rozzuchwiał, że wkroczył w niebiosy i zaczął demaskować intrygi i przestępstwa bogów.

W chińskiej kulturze legendy i pradzieje są traktowane z równą powagą i komentowane racjonalnie jak historia. Bogowie i herosi mają niezwykle kształty i zdolności, ale przyczyny wynalazków, którymi obdarowują hordę praludzi, są racjonalne i pragmatyczne.

Prometeusz z Azji - heros Fu-hsi, z rybim ogonem, albo od połowy zakończony węzowym ciałem, był potomkiem boga piorunów i kobiety Hua-su. Wraz z siostrą i jednocześnie żoną - Nu-kua - dał początek rodowi ludzkiemu.

W tamtych odległych czasach ludzie żyli w idealnej harmonii. Potrafili chodzić po wodzie jak Jezus i przechodzić

przez ogień i się nie spalić, jak wybrani bohaterowie Starego Testamentu.

Fu-hsi był pierwszym, który potrafił wędrować do nieba i z powrotem na ziemię po świętym drzewie Tsien-mu. Dziś chińczycy wskazują miejsce, gdzie rosło to drzewo. Podobno środek nieba i ziemi w Państwie Środka znajdował się w prowincji Sycz'uan, niedaleko miasta Cz'engtu.

Oszczep zakończony kamiennym grotem Fu-hsi wymyślił, kiedy bronił strwożonych ludzi przed niedźwiedziem. Innym razem podejrzal ptaka tak często bijącego dziobem w twarde drewno, że leciały skry. To podsunęło mu pomysł, jak rozniecać ogień przez pocieranie kawałków drewna. Dzięki temu wynalazkowi ludzie porzucili nadrzewny tryb życia i zamieszkali w jaskiniach. Słynne chińskie trójnogi były kontynuacją skorupki po pieczonych w glinie rybach. Takie odłamane połówki ustawiano po trzy, żeby się nie przewracały. Przechowywano w nich wodę. Fu-hsi wymyślił konopne sieci do chwytania królików, obserwując pajaka. Żeby lepiej zapamiętywać wolę nieba i ziemi, wynalazł pismo węzełkowe. Kiedy łowił ryby w rzece Huang-ho, z nurtu wyłonił się hipopotam, na którego spękanej skórze widniało osiem znaków - trigramów pisma mandaryńskiego. Zwierz przemówił ludzkim głosem. Wyjaśnił, że owe osiem tajemnych znaków są darem Nieba za poprzednie zasługi bohatera. Powiedział również, że za ich pomocą można przedstawić to co istniało, istnieje i będzie istnieć.

Oto osiem trigramów :

1.



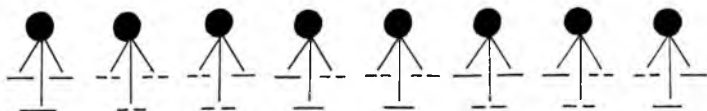
k'ien k'un czen sun k'an li ken tui

Znaki te, zestawiane piętro po dwa, tworzą 64 heksagramy, które symbolizują skomplikowane pojęcia z wróżebnej księgi przemian "I Cing".

Tyle tradycja chińska. W tym momencie wkrada się fantazja mojego umysłu, która usiłuje kojarzyć ten wynalazek

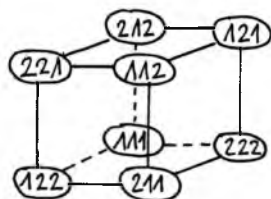
z budową oka i pewnymi figurami magicznymi. Wiadomo, że elementarne receptory światła w siatkówce oka mają po trzy zakończenia nerwowe. Zarówno słupki, jak i pręciki. Gdybym wymyślał prymitywny model cybernetyczny, szukałbym takiej "maszynki", która reaguje na rozmaite bodźce - fotony na osiem sposobów.

2.



Gdybym to zapisał przy pomocy cyfr 1 i 2 na trzech pozycjach, otrzymałbym odpowiednio: 222, 122, 212, 221, 112, 121, 211, 111. Mogę takie liczby zapisać w rogach sześciangu w sposób dający na każdej ze ścian sumę magiczną 666 (liczbę z Apokalipsy św. Jana).

3.



Oczywiście jest to tylko zabawa, gra skojarzeń. Oko bowiem jest znacznie bardziej skomplikowane. Tylko niektóre pręciki i czopki mają zakończenia nerwowe wiodące wprost do mózgu. Inne łączą się w zespoły. Poza tym czopki mają specjalizacje: wyczulenie poszczególnych na różne barwy i różne natężenie światła. Wspominany Fu-hsi nie tylko otrzymał dar pisma. Odkrył na skorupie żółwia pierwszy kwadrat magiczny, który w tradycji rzymskiej nosi miano kwadratu Saturna, a zapisany z użyciem liczb arabskich wygląda tak:

4.

4	9	2
3	5	7
8	1	6

Chiński wynalazca od wszystkiego odpowiada też za budowę cytry o pięćdziesięciu strunach zwanej "se". Na prośbę Fu-hsi bogini Su-nu zagrała rzewną melodię. Kiedy gra bogini napelniła bólem serce Fu-hsi, prosił ją, żeby przestała grać. Bogini odmówiła. Wtedy bohater wyrwał z jej rąk instrument i przełamał na pół. W ten sposób powstały dwie cytry po dwadzieścia pięć strun. Sęk w tym, że każda z nich miała po pięć strun jednakowych, to znaczy, że w obu było razem czterdzieści pięć różnych strun. Żeby nie zgubić się w wątkach, proszę czytelnika o zapamiętanie trigramów, kwadratu magicznego i dwudziestopięciostrunowych cytr.

5.

Dwudziestopięciostrunowy instrument występuje też na drugim krańcu Eurazji.

Harfa. Wątek celtycki.

Celtowie zamieszkiwali tereny nie tylko Irlandii, Szkocji czy Hiszpanii. Występowali nawet w okolicach dzisiejszego Krakowa. Instrumentem kultowym w Irlandii jest harfa. Dwudziestopięciostrunowa harfa należała do atrybutów celtyckiego boga Dagda, zwanego Smertinasem - boga świata podziemnego. Teraz nie potrafię odtworzyć historii, który z bogów i w jakich okolicznościach komu podarował harfę, a który ją ukradł, ponieważ przechodziła z rąk do rąk wiele razy. Zatrzymam się za to przy chrześcijańskich Iroszkotach - spadkobiercach Celtów. Charakterystycznym znakiem rozpoznawczym ich kultury są kamienne krzyże, łączące w sobie symbo-

le swastyki, kręgu, a nierzadko spiral, układających się na podobieństwo spiral, które zaobserwował angielski astrofizyk G.B.Airy, kiedy przepuścił światło przez odpowiednio wyszlifowane płytki, zrobione z kryształów. Nadmienię, że u Celtów istniał "kult czaszek". Pod ruinami ich miejsc kultowych znajdowano ofiary zakładzinowe z piętnastu uciętych głów.

6.



Celtowie podobnie jak Germanie, Słowianie, Grecy, Scytowie i inni, są potomkami Ariów, których ojczyzny doszukano się gdzieś pomiędzy Jeziorem Aralskim a Morzem Kaspijskim. Wiele wieków później z powodu dogodnego położenia na "Jedwabnym Szlaku" i przecięciu z drogą Bałtyk - Bizancjum w tym obszarze powstało turskie państwo Chazarów. Rozciągnęło ono swoje wpływy od Ukrainy po zachodni Kazachstan. Ścierały się tam oddziaływania szamanizmu, chrześcijaństwa, islamu i judaizmu. Elity jako religię państwową przyjęły judaizm.

Oj, chyba zagalopowałem się i odchodzę od głównej nici wywodu, ciągu skojarzeń. Otóż krzyżyk z kółkiem, oznaczający słońce, duszę, trzy dusze, jeden z trzech poziomów świata, występował nie tylko na północ od Półwyspu Kola na szamańskich bębnach z przedstawieniem Biega-Galesa lub Ilme-

ra, ale był też konkretną literą "ka" w "piśmie linearnym B", którego używali Achajowie, zanim powstał alfabet grecki. Może słowo "swastyka" oznaczało "słoneczne ka" albo "święte ka"? Achajowie przywędrowali na Bałkany i Peloponez z obszaru dziś tureckiej Anatolii. Tam, w II tysiącleciu przed naszą erą, sąsiedowali z hetyckim (indoirañskim) Hattussas, które z kolei od południa kontaktowało się z semickim Ugarit.

Alfabet. Wątek semicki.

W szkole dzieci uczą się, że pierwszy alfabet na świecie wymyślili Fenicjanie z morskich wybrzeży dzisiejszego Izraela, Libanu i Syrii. Jest to uproszczenie, a może i nieprawda. Stare języki indoirañskie zawierały sylaby wielospółgłoskowe, natomiast języki sąsiadujących z nimi Semitów miały przeważnie sylaby jednospółgłoskowe, jak np. w egipskim imieniu Ne-fre-ti-ti. Dla kontrastu podam słowiańskie nazwisko z Augustowa Pstrzoch, które jest jedną sylabą z pięcioma spółgłoskami i jedną samogłoską. Z powodu kontaktów z Hattussas, w Ugarit trzeba było zapisywać obce słowa z nadmiarem niewymawianych samogłosek. Pismo ugaryckie używało niewiele ponad trzydzieści znaków do zapisu w większości jednospółgłoskowych sylab. Później prawdopodobnie w Hattussas notowano wyrazy języka indoirañskiego z nadmiarem nieczytanych samogłosek. Wraz z migracją Achajów na Krecie, Peloponezie i Cyprze na glinianych tabliczkach pojawiły się napisy protogreckie w piśmie prawdopodobnie pochodzącym od wcześniejszego nieodczytanego do tej pory, używanego przez nieznanego lud "pisma linearnego A". Zapisywali oni nadmiar samogłosek, których nie czytano. Wśród liter tego pisma byłoowo "kółeczko - ka".

Jaki jest główny wniosek? Alfabet powstał z konieczności na styku dwu różnych grup językowych.

Dalekimi krewniakami plemienia z Ugarit byli i są Żydzi.

Kabała. Wątek żydowski.

Od zapalonego miłośnika zabytków Łodzi - pana Mirosława, otrzymałem książeczkę o łódzkim cmentarzu żydowskim. Jest to największy i najlepiej zachowany cmentarz żydowski w

Polsce. Obok tradycyjnych macew na grobach ludzi uboższych są kunsztowne grobowce przemysłowców a nawet, co w judaizmie jest niedopuszczalne, z powodu zakazu czynienia podobizny ludzkiej, grobowce ozdobione figurami ludzkimi.

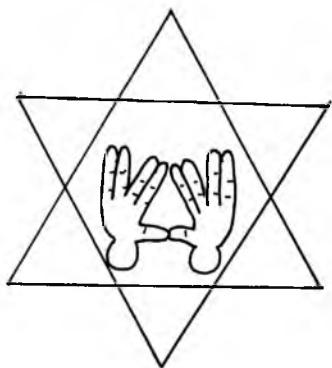
Wśród wielu motywów zwraca uwagę płaskorzeźba z gwiazdą Dawida i dwoma dłońmi, ułożonymi w rabińskim geście błogosławieństwa.

Pamiętam ze szkoły obowiązkową "Wielką Improwizację" Adama Mickiewicza, a w niej symboliczne imię zbawcy uciemiężonego Narodu Polskiego: Czterdzieści i Cztery. Z powodu tego symbolu, już po śmierci poety, przypominano, że po babce "Mickiewicz był Żydem". Żartowano, nazywając poetę Mickiem Adamowiczem.

W żydowskiej Kabale panuje przekonanie, że prócz dwudziestu dwóch liter znanych alfabetu hebrajskiego, są jeszcze dwadzieścia dwie litery utajone. W ten sposób czterdzieści cztery litery kreują i opisują wszystkie elementy świata we wzajemnych oddziaływaniach i zależnościach. To przekonanie przypomina chińskie wyobrażenia o heksagramach z księgi przemian "I Cing".

7.

Przyjrzyjmy się symbolowi:

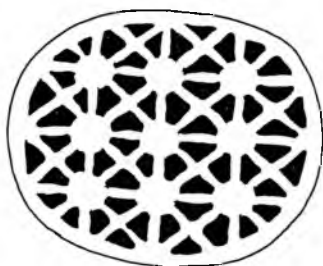


W obu dłoniach w kierunkach poziomych i skośnych palce są ułożone po dwa. W jednej 2 i 2 i w drugiej 2 i 2. Może jest w nich zakodowana suma $22 + 22 = 44$? Może lewica i prawica

symbolizują jakąś syntezę? Oba kciuki i sąsiednie po dwa palce wyznaczają trójkąt. W chrześcijaństwie w trójkącie malowano symbol oka opatrzności. W judaizmie tetragram Szem Ha Meforasz – trójkąt ułożony z dziesięciu punktów – odpowiada Dekalogowi i być może dziesięciu strunom harfy Dawida. Ów znak według tradycji żydowskiej był wyryty na lasce pierwszego kapłana – Aarona.

Na terenie Anatolii archeolodzy znaleźli hetycki sztandar z brązu - ażur z zaznaczonymi dziewięcioma polami.

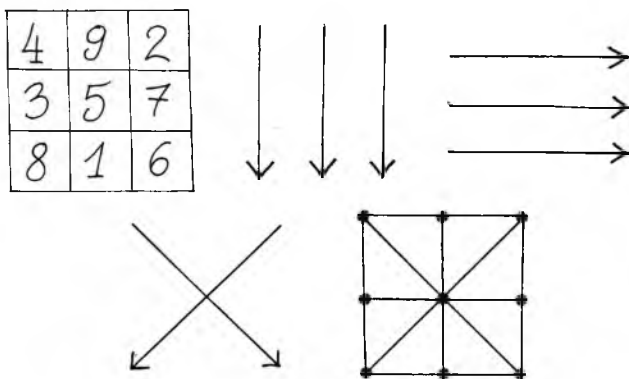
8.



Długo Hetyci współlistnieli z Semitami na ziemi Kanaan. Ba, służyli w wojsku Salomona. A jeśli wymieniali się symbolami?

Jeżeli palce dłoni błogosławiącego rabina wskazują sumy magiczne również w dziewięciopolowym kwadracie magicznym Saturna?

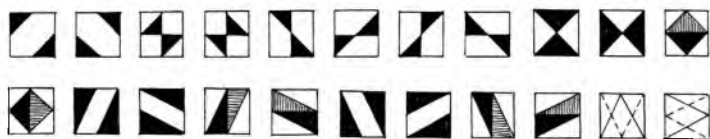
9.



W kolumnach, wierszach i po skosach sumy wynoszą po piętnaście. Taką ilość określa się mianem "mendel". Słowo to brzmi bardzo podobnie do sanskryckiego "mandala" - symbolu i znaku powszechnego w Indiach i krajach, gdzie gości hinduizm i buddyzm, od Indochin po Mongolię i Tuwę.

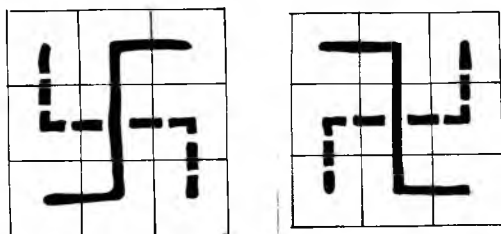
Gwiazdę Dawida stanowią dwa trójkąty równoboczne, symetryczne względem wspólnego środka. Jeśli wokół środka wspomnianego kwadratu, na wybranych spośród dziewięciu punktów spróbujemy rozpiąć pary trójkątów symetrycznych względem środka kwadratu, okaże się, że będą dokładnie dwadzieścia dwie pary trójkątów, które się nie powtarzają. Domyślałam się, żydowski "alfabet kwadratowy" ma związek z mandalą i rzymskim kwadratem Saturna.

10.



W tej figurze, w najmniejszym z możliwych kwadracie magicznym, da się wpisać dwie swastyki: lewo- i prawoskrętną, które po każdym podwójnym ramieniu wyznaczają sumę 25. Czy ma to związek z harfą celtycką i chińskim instrumentem se?

11.



W świadomości zbiorowej europejskich pokoleń dwudziestego i już dwudziestego pierwszego wieku dużo miejsca zajmują wielkie pogromy: judaistycznych Żydów, chrześcijań-

skich Ormian i Cyganów, ale prawie nikt nie pamięta o ofiarach dawniejszych muzułmańskich Morysków w Hiszpanii. Paradoxem jest to, że ci spod znaku swastyki dręczyli i mordowali tych spod znaku gwiazdy Dawida, chociaż oba znaki mają wspólne źródła. Ale owi "nowoaryjczycy" nie prześladowali Żydów za wiarę, lecz z powodów rasowych. Po co ta uwaga? A dlatego, że hitlerowcy nie tknęli trockich i wileńskich Karaimów - Turków wyznania mojżeszowego, ale ścigali Krymszczaków z "mieszanek tatarsko-żydowskiej" z Krymu. Takie "rozróżnienie" zastosowali naziści.

Karaimi. Wątek kazachski.

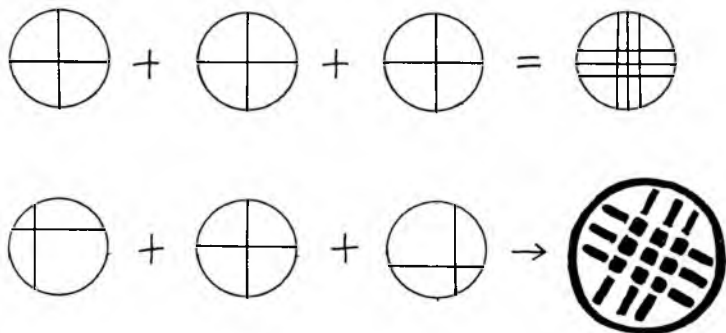
W ostatnim roku ubiegłego wieku na wiosnę, w przededniu Świąt Wielkanocnych, jechałem z żoną do Aktobe w Kazachstanie. Wiozłem ze sobą prace plastyczne polskich dzieci z Augustowa i z Suwałk na przyszłą wystawę. Miałem też otworzyć ekspozycję ekslibrisów mojego autorstwa i spotkać się ze studentami Uniwersytetu im. K. Żubanowa. Z Moskwy do Aktobe pociąg był szczelnie zamknięty. Po drodze drzwi wagonu otworzono tylko kilka razy. Okna były zaryglowane na stałe. Nocą trzymałem nos blisko szpary przy szybie, żeby chwycić trochę chłodnego świeżego powietrza. Było gorąco. Rozebraliśmy się do podkoszulków. Szczęśliwie bez ograniczeń, za darmo i na każdą prośbę, dostawaliśmy wyjątkowo smaczną herbatę. Czas upływał na rozmowach z rosyjską rodziną, jadącą aż z Władywostoku do Taszkientu. Kiedy przekraczaliśmy Wołgę, zobaczyłem w rozlewiskach, zakolach, basenach olbrzymią flotyllę pordzewiałych stateczków. Widok był podobny do dziewiętnastowiecznych sztychów, przedstawiających statki na Tamizie. Opis tej przygody zająłby zbyt wiele miejsca. Trzeba wrócić do spraw znaków i symboli oraz ich domniemanego pokrewieństwa.

Przygotowałem się starannie do wizyty. Miałem w planie mówić o polskich muzułmanach - podlaskich Tatarach i o mongolsko-tatarskich wpływach na kulturę polską, ruską i litewską. Oczywiście wszystko poszło inaczej. Musiałem przeprowadzić warsztaty plastyczne i odbyć wiele wizyt. A mój teoretyczny wykład stał się "wielką improwizacją". Kalecząc język mówiłem po rosyjsku. Zacząłem od żartu o odmiennym

brzmieniu polskich i rosyjskich słów: "zapamiętać - zapomnit'" i "zapomnieć - zabyt'". Potem wspominałem o archetypie labiryntu i jego przejawach w różnych kulturach. Napomknąłem o atrybutach asyro-babilońskiego boga sprawiedliwości Szamasza - tego, który m.in. jest przedstawiony na steli z prawem Hammurabiego. Zwróciłem uwagę, że laseczka odpowiada słowiańskiemu słowu "prawda", a pierścień słowu "krzywda". A potem jakoś poszło.

Będąc w Kazachstanie po raz pierwszy w ogóle zauważyłem herb tego kraju - "Szanyrak". Stanowi go okrąg z sześcioma, zgrupowanymi po trzy i przecinającymi się w dziewięciu punktach, "szprychami". Kółeczko takie umieszczano w górnym wylocie jurty, w symbolicznym miejscu przebiegu osi świata (aksis mundi), łączącej ziemię ze światem podziemnym i z niebem. Ponieważ znałem wywody Matti Haavio, Mircea Eliadego i Claude Levi-Starussa, przypomniałem rozważania na temat; czy szamanizm syberyjski wywodzi się z religii starożytnego Egiptu, czy też odwrotnie: owa religia jest dzieckiem szamanizmu. Skojarzyłem sobie coś takiego: jeżeli trzy kółeczka przekreślone krzyżykami oznaczają trzy dusze Egipcjanina - "ka" - dusza-oddech, "ba" - dusza-cień i "ach" - czynnik świetlany i boski, to ich sumą jest "szanyrak".

12.



Zastanawiałem się też, czy pseudonim Abaj narodowego poety kazachskiego nie mógł być wzięty od imienia rabiego Abaja, który żył w czasach "reformacji karaimejskiej" w Palestynie i upowszechnienia się judaizmu antytytalmudycznego na

"Jedwabnym Szlaku". Myśli pobiegły do państwa Chazarów. Osłabło ono znacznie w VIII wieku w wyniku wojny domowej, buntu Słowian i przemarszu Węgrów. Węgrzy w zachodniej części terenów podległych Chazarom (na terenie dzisiejszej Ukrainy) założyli swoje pierwsze państwo Lewedię, potem przenieśli się do Pannonii, gdzie pozostali do dzisiaj. U początków "zasiedlenia ojczyzny" do spółki z Czechami i Polanami dobili chrystianizujące się Państwo Wielkomorawskie, a ponieważ tamtejsze elity słowiańskie przyjęły chrześcijaństwo wschodnie, na polu judaistyczni, a w masie szamanistyczni Madziarowie sto lat później przyjęli chrześcijaństwo z Rzymu. Podobnie zresztą jak Polanie, którzy pokonali "chrześcijańskich" od 875 roku Wiślan. Po kilku wiekach Węgrzy z kolei przyjęli na swe tereny po części judaistycznych, a w masie szamanistycznych Kumanów (zwanych również Polowcami lub Kipczakami), którzy uciekali spod władzy Mongołów i Złotej Ordy. Proces ich asymilizacji i hungaryzacji zakończył węgierski król i Piastowicz - Władysław (Laszlo) Kumańczyk. Stop! Dość tych poematów dygresyjnych.

Wróćmy do znaków. Czy owe trzy krążki, trzy "literki ka" nie dają pojęcia o powszechnej w różnych tradycjach trójjedni Boga, jak np. w hinduizmie Trimurti: Brahma, Wisznu i Sziwa i powszechnym trójpodziale świata? I trójjedni duszy? W wyobrażeniach starożytnych Indoiranczyków sfery świata symbolizowały trzy ognie: ognisko domowe - "Bhwar", ogień atmosferyczny - "Waju" i ogień kosmiczny - "Swar". Ognisko, piorun-wiatr, słońce. Na pierwszy rzut oka widać, że od "bhwar" pochodzi słowo "war", a od "swar" imiona pogańskich bogów Swaroga i Swaróżyca.

W szamanizmie syberyjskim trzy dusze to: "henian", "benian" i "mein". W kabale żydowskiej wyodrębnia się trzy poziomy istnienia: "Nefesz", "Ruah", "Neszamah". Ludy mongolskie też wierzyły w trzy dusze: ami, suuder i suns. Kto pierwszy miał podobne pomysły? Jak to się mówi: "kółko się zamyka". Łącząc wątek turkiski z semickim wracam na Litwę do Trok. Z żoną gościłem dłużej w Druskiennikach i stamtąd robiliśmy wypadu turystyczne w różnych kierunkach. W Trokach chcieliśmy zwiedzić średniowieczny zamek, odbudowany na wyspie na jeziorze. Mówiono, że mieli się tam spotkać ważni politycy i że zamek może być niedostępny. Na szczęście trafiliśmy na czas, kiedy jeszcze wpuszczano turystów. Nie-

spodziewanie humory nam się zepsuły, kiedy oglądaliśmy stoiska z bursztynami i pamiątkami. Litewska policja opodał dokonywała oględzin ciała topielca. Uciekliśmy w górę w stronę miasteczka. Kiedy szliśmy brukowaną ulicą, ktoś pokazał: - To domek Karaimów, a tamten nie. Zapytany wyjaśnił, że w domach i w świątyni - Kinessie Karaici tradycyjnie wstawiali po trzy okna w każdej z czterech ścian na cztery strony świata. To przecież jakby trzy "szprychy" w każdym z czterech kierunków w koleczku "szanyrak".

Czterdzieści dziewcząt. Wątek tatarski.

Karaimi sprowadzeni na Litwę przez księcia Witolda nie byli jedyną europejską (i azjatycką) ciekawostką z Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Wszak była to Rzeczpospolita więcej niż dziewięciorga narodowości.

Na obszarze Złotej Ordy, która podporządkowała sobie nawet Kijów, z mieszaniny różnych plemion, ukształtował się naród tatarski. Stało się to w XIII wieku. Po jej rozpadzie tak zwana Orda Kipczacka przyjęła język turkских autochtonów znad Wołgi, Dniepru i Donu. Narodził się Chanat Krymski z centrum w byłych koloniach Genui. I popadł w zależność od Turcji, powstałej na ruinach Bizancjum. Nie zasymilowali się tylko Karaimi i nie dali sobie narzucić wiary Mahometa.

Tatarzy a ściślej - Muślimowie kilkoma falami osiadali w Wielkim Księstwie Litewskim. Najpierw w nadziei na łupy i jasyr wspomagali "nas" pod Grunwaldem. Część nie wróciła do ojczyzny, bo im się tu spodobało. Potem z różnych powodów osiadały kolejne fale muzułmanów. Na koniec pod Wiedniem wierni Polsce Tatarzy różnili swoich pobratymców walczących w służbie sułtana.

Adam Mickiewicz, koło Nowogródka, kiedy smażył cholewki do Maryli z ruskiego rodu Wereszczaków, z pewnością spotykał jej krewnych z tatarskiego, ale już chrześcijańskiego rodu Tuhanowiczów. Ci, być może, byli potomkami Temira Tuhanbeja - wodza Muślimów wspomagającego Świdrygiełłę w walce przeciwko Polakom, albo któregoś z podległych mu wojowników. Po śmierci Witolda ważyły się losy całości i autonomii Wielkiego Księstwa. Dojrzały Adam, oplątany siecią agentów rosyjskich, zmuszony do podpisania "lojalki", bawił

na Krymie. Tam spłodził swoje "Sonety Krymskie", tam też był przedstawiony chachamowi - zwierchnikowi gminy karaimskiej. W jego domu zobaczył bogatą bibliotekę. Pokazano mu też tłumaczenia wierszy Trembeckiego na język karaimski. W Wilnie, gdzie poeta studiował, do dzisiaj istnieje dzielnica Soroktatory, za polskich czasów zwana Czterdziestu Tatarów. Powstała prawdopodobnie z osady o nazwie Kirkory. Z podróży do Kazachstanu przywiozłem gazety w języku kazachskim. Przypadek sprawił, że wileński Karaim, pan Andrzej, zajrzał do niej i przetłumaczył na polski fragmenty artykułów. Pytałem, jak to możliwe, że jest w stanie to zrobić. Pytany wyjaśnił, że pomimo wielu naleciałości obcych: irańskich, rosyjskich, a nawet zachodnioeuropejskich, języki turkские są podobne. Pan Andrzej powiedział, że pomiędzy karaimskim z Wilna i Trok a językiem kazachskim jest podobna różnica jak pomiędzy polskim a czeskim. Zwrócił też uwagę na najbliższe podobieństwo mowy Karaimów z mową Karakałpaków znad Jeziora Aralskiego. Z dumą napomknął, że z podobnych powodów ambasadorami Litwy w Turcji są najczęściej Karaimi.

Dawno wiedziałem, że epos "Kyrk Kyz" ("Czterdzieści dziewcząt") jest znany w Kirgizji, której nazwa wprost wywodzi się od tytułu tej opowieści. Czyż nie podobnie brzmi słowo "kyrk-kyz" i "kirgiz"? Epos o uratowaniu czterdziestu dziewcząt, po masakrze plemienia dokonanej przez wrogów, zapłodnieniu ich przez wilka albo złotego psa, co biologicznie odrodziło cały naród, jest znany Turkom: Karakałpakom, Kirgizom, Kazachom i innym. Czy Tatarzy go zapomnieli?

Henryk Sienkiewicz, który w "Trylogii" okrutnie potraktował okrutnego Azję Tuhajbejowicza, miał dziadka Sienkiewicza - Tatara i muzułmanina. Dziadek Henryka, żeby dostać posadę urzędnika, porzucił wiarę przodków i przeszedł na katolicyzm.

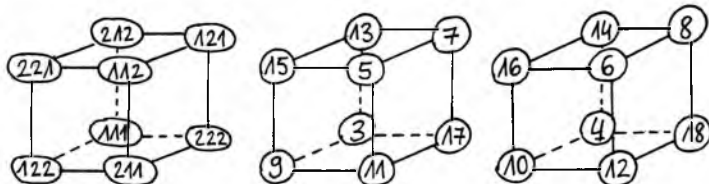
Może echem sympatii Henryka Sienkiewicza dla krewnych pohańców jest w "Trylogii" postać wiernego wachmistrza Soroki? Zwracam uwagę, że nazwisko to pochodzi od słowa "sorok", które w języku rosyjskim oznacza liczbę "czterdzieści". Tu dodam, że w czasach Złotej Ordy Rusini płacili daniny Mongołom liczone w czterdziestkach różnych dóbr. Gdzie jeszcze ukrywa się magiczna liczba 40?

Kiedy Mickiewicz napisał "Ballady i romanse", Juliusz Słowacki natychmiast stworzył "kontrswiteziankę" Goplanę i

umieścił ją nie na pograniczu białorusko-litewskim lecz u samego źródła polskości - na Kujawach i w Wielkopolsce. Za to słowiańskiemu księciu dał na imię Kirkor. Dlaczego tatarskie nazwisko z okolic białoruskiego Mińska przeniósł nad Gopło? Słowo "kirkor" pochodzi od turckiego "kerk-er", co oznacza czterdzieści lub czterdziestu. Ot tak sobie panowie poeci dworowali z siebie, z mitów i z historii.

Czy da się jakoś ożenić 44 i 40? Może wyjść od stereotypu podziału Azji na ducha irańskiego (z Persji) i turańskiego (z Altaju)? Bawiąc się pismem chińskim skomponowałem magiczny sześciąt z apokaliptyczną liczbą 666. Jeśli szesnaście kolejnych liczb naturalnych od 3 wzwyż rozdzielić na nieparzyste i parzyste, i osobno wpisać w dwa takie sześciąty, to w pierwszym suma magiczna na każdej ścianie wyniesie 40 a w drugim 44. Może turckie czterdzieści i żydowskie czterdzieści cztery powinny się spotkać w karaïmskich baśniach? Każde dziecko pamięta czterdziestu rozbójników, których pokonał sprytny Ali Baba. Może owi rozbójnicy to zbuntowani Turcy w służbie arabskiego kalifa?

13.



Mapa świata. Labirynt.

Egipska bogini Sachmet Bastet była opiekunką dziewięciu plemion. Chiny do okresu królestw walczących tradycyjnie i symbolicznie dzieliły się na dziewięć prowincji z centralną - cesarską. Chińczycy uważali, że niebo jest okrągłe, a ziemia kwadratowa. Za Dżingiz-chanem, prócz białej chorągwi z walczącymi sokołem i krukiem, noszono dziewięć buńczuków - symbol podległych mu prowincji. W mitologii greckiej występuje opowieść o Tezeuszu, Ariadnie, Minotaurze i Labiryncie.

Co dziewięć lat Ateńczycy musieli oddawać siedmiu chłopców i siedem dziewcząt na ofiarę dla Minotaura, uwięzionego w Labiryncie. W końcu z pomocą nici Ariadny Tezeusz dotarł do potwora, zabił go, a potem po nitce do kłębka wyszedł z Labiryntu.

Włoski etnolog Santarchangelli napisał "Księgę labiryntu", w której pokazał, że siedmiozwojowy labirynt można utworzyć tylko na cztery sposoby. Dwa przez przecięcie siedmiu kręgów czterema "szprychami" i dwa przez przecięcie tyłuż okręgów trzema "szprychami". Najpopularniejszy występujący na greckich monetach był jeden wzór.

14.



Z kolei na monetach z Knossos na Krecie widniała swastyka z pięcioma punktami w środku. W środkowym polu kwadratu Saturna też widnieje liczba 5. W domniemanym centrum labiryntu jest "pięć". Podobnie liczby 9 i 5 są wyeksponowane w swastyce z epoki brązu z Ikley w Anglii. Może dlatego pięcioramienna pitagorejska gwiazda stała się symbolem człowieka. Człowieka w labiryncie. Człowieka po inicjacji. W egipskim Heliopolis kapłan Sotis ubierał się w płaszcz wyszywany w pitagorejskie gwiazdy. Naziemne wzory w postaci siedmiozwojowych labiryntów i siedmiozwojowych spiral, układane z głazów lub małych kamieni, można znaleźć w całym basenie Morza Śródziemnego. Na wybrzeżach Morza Północnego, Bałtyku, od Islandii po Półwysep Kola także. I co ciekawe, najczęściej w ich środkach przedstawiciele znanych i nieznanymi nam kultur układali dziewięć kamieni.

Zakończenie. Gdzie Rzym, gdzie Krym a gdzie Afryka?

Przepraszam czytelnika za chaotyczność, zawirowania i nieoczekiwane zwroty opowieści. Jest to gawęda niedokończona, nie mająca ani końca, ani początku w sensownym czasie. Może rozwijać się jak "ogród o rozwidlających się ścieżkach" z opowieści Louisa Borgesa. Nie da się zwieńczyć jakąś pointą. Opowieść ta wszakże daje odczuć, że wszyscy w częstkach tradycji pochodzimy z tego samego źródła i nie wiadomo skąd. Moja wędrówka najczęściej zwracała ku Litwie, ale równie dobrze mogła pognać gdzie indziej.

Kiedys ilustrowałem "Opowieści ludu Hausa" - książkę o tradycjach jednego z narodów Nigerii. Studiując mity Afryki Zachodniej natknąłem się na wierzenia też sudańskiego, ale nie z grupy językowej semito-chamickiej, lecz nigro-konkijskiej, ludu Bambara. Plemię Bambara uważało, że na początku wszystkiego było nieosobowe uniwersum "Yo". Tworzenie rozumnego wszechświata zaczynając od "Yo" można ująć jako postępowanie myśli. Dalszych faz tworzenia było trzy. A postępowanie przedstawia liczbę siedmiu znaków. Siedem jest cyfrą człowieka i nasieniem świata. Składa się z cyfry "3" oznaczającej męczyznę i cyfry "4" oznaczającej kobietę. "Yo" zawierało wszystkie rzeczy niesłyszalne, niewidzialne, a również nienazwane. "Yo" (jak "tao" w Chinach) jest stałym przekształcaniem świata. Liczba "22" wyraża istnienie uniwersum, które określa powierzchnię "Yo" i jak mówią Bambara: Dwadzieścia dwie spirale niosły to, co niosło "Yo" w duchu wnętrzości, które w sobie miały wszystkie rzeczy i człowieka, nasienie wiatru, nasienie wody, nasienie ognia, nasienie całej ziemskiej materii. Prawie dokładnie zacytowałem wrywyki z książki Zofii Sokolewicz "Mitologia czarnej Afryki".

Czytelnika przyzwyczajonego do polono-, europo-, amerykańko-, antropo-, i innego centryzmu porzucam w tym miejscu z chytrym uśmiechem ślepego przewodnika ślepych. Idę odpocząć od labiryntu, bo mi już po głowie krąży myśl o spotkaniu klasztoru Szaolin i Wudan z Monte Cassino, czy góra z górą się nie zejdą...

Iorgos Gotis

Historia naturalna

w tłumaczeniu Agnieszki Krotke

1.

Światło – kawałek lodu
Za jego szkłem, ogród
Dobrze widziałem to miejsce
W sennych marzeniach kogutów.
W twoich oczach krople,
Które rozproszyły światło.
Trawa kielkowała
Gdy leciały skowronki o świcie
Zakrywała cię.
Opadłe liście
Przywodziły na myśl tę inną śmierć
W błocie pozostał szkielet
Otoczony nimi dokoła.

Dobrze znam ten ogród
Od wody, którą strząsnęło
Skrzydło wróbla, gdy
Rozrywało na części przydrożną kałużę...
Od starego orzecha
Który ukrywał księżyc
(Dziadek, sadząc go
Bał się, że zimy nie przetrwa).

Pamiętam dobrze ten ogród,
Znając muzykę chwiejących się drzew
Słyszac światło twoich oczu
Które topiło poranne lody.

2.

Dom zamknięty i pusty
 Od lat mieszka w nim wilgoć
 Matka nie sprząta go już na święta
 Ani wiosną nie wietrzy skrzyń z bielizną
 Po cichu rdzewieją narzędzia Ojca
 Znikają popołudnia w głębinach sadu
 Dookoła dachy podtrzymują niebo
 Na ścianach fotografie
 Otwarte okna...
 Gdy rozsuwam zasłony
 Dreszcz przechodzi mi ciało
 Zaczynam twoimi krokami
 Odmierzać spokój.
 Powietrze zapachnie twoim oddechem
 Ubierzesz się w suknię
 Utkaną dla ciebie przez chmury...

3.

Codziennie rano, przed drucianą klatką
 Zakrywa głowę grubą chustą
 Tak, w ciemnościach
 Ptak
 Dzień po dniu
 Uczy go latać

4.

Perły -
 - moje słowa w twych uszach
 Widziałas je kiedykolwiek?

5.

Pierś – łódeczka
Kieruję nią ustami
I dłonią...

6.

Perły
W sieci pająka
Nadchodzi jesień.

7.

Po ścianie, co wieczór
Przechadzają się cienie gałęzi
Znowu nie przyszłaś...

8.

Oczy jak słońca
Otwierasz powieki
Zapada zmrok.

9.

Na odwrót widzisz korzenie i liście
Deszcz splywa po twych ustach
Nie orzeźwia...
Słyszysz strumyki i pragniesz wody
Szukasz chustki w głębi kieszeni
Znajdujesz obola – zapłatę za przeprawę
Na przeciwległy brzeg
Płynie po palcu pierścioneł
I ciągle pocieszasz nas porównaniami.

10.

Pochylałam się nad studnią by zobaczyć
 Lecz kręgi wciąż zamazują obraz
 Bezgłośnie mijają mnie dzieci z białymi włosami
 Chcę się z nimi pobawić, ale odchodzą.
 Mchy porosły kamienie.
 Obfita żyła krzyku
 Ze srebrnym węgorzem
 Który urósł w siłę i zgrzeszył
 Siedzimy pod platanem
 Gdzie wróżki tańczyły wieczorem
 A może popołudniem
 Wiadro z wodą i winogrona
 Woda tak samo milcząca jak wtedy
 Gdy piliśmy spragnieni
 Chmura – zmarszczka na jego powierzchni.
 Na cembrowinie jaszczurka
 Małe stópki południa...

11.

Wystrzałami rozkwieciła się przestrzeń
 Wędrowne ptaki wróciły
 Nie przyniosły cię...
 Dwa słowa pożegnania
 Które zamieniliśmy jak obrączki.
 Na rzut kamieniem twój powrót
 I kiedy wołam twe imię
 Gubi się oddech w gęstwinie włosów.
 Powiew sukienki dociera do mnie
 Jakbym próbował rozłożyć
 Mapę twojej sylwetki.

Hatíf Janabí

Wzgórze

Powiedziałem: odpocznę na wzgórzu
w cieniu rosnącego na nim drzewa
a potem powstanę
aby spożywać jego owoce
i resztkami rzucać będę w stronę ptaka,
który z niepokojem krąży nade mną

Może pozostawię owoce
na łaskę innego pragnienia.

Wzgórze rozplywa się tymczasem
i unosi
jak narowisty koń
lub bezbożne życie.

Powiedziałem: dość!
Trzeba powrócić do siebie
wszak już zmrok zapadł

Nie wiedziałem,
że zstępuję
z wyżyn życia.

/Jabłonna, 20. 08. 2005/

Westchnienie ciała

*Przyjacielowi, malarzowi K. Alkhalifie
- pamięci przyszłych dni*

Nie odziedziczyłem ciała
tylko jego rozsypane łuski,
ręce które jak miotły bezsilne w czasie burzy
i usta gotowe do gasnącego szlochu

Nie odziedziczyłem
jak pająki
zdradliwych sieci
ani jęków cudzołożnicy
ani nieobecności kamieni
ani odwagi cmentarnych mrówek

Jęk mojego tchnienia
powraca
zakłamanymi
znakami niebios

(Czy to co odziedziczyłem nie jest już moją własnością)

Pragnąłem wypełnić moje usta
tym co jest godne Ciebie

O despotyczne pożarowisko polskie
jesteś moim rozsypanym istnieniem
koroną moich dni

Chciałem jedynie opisać moją duszę
aby płuca rytmicznie odmierzały twój oddech
a stopy wirowały ponad ziemią

A teraz moja głowa zwisając spoglądała
jak ziemia przyzywa meteor

Odziedziczyłem tylko
słabość ciała
i czystość łyż.

/Jabłonna, 22. 08. 2005/

Żar południa

Żadnego wiatru niosącego ukojenie
Żadnych drzwi brutalnie zatrzaskiwanych,
Żadnych ciężkich chmur,
Żadnych łąk zroszonych uśmiechami kwiatów
Żadnego dżina

Żaden konik polny nie przemierza swojej drogi
niosąc rozdrażnienie
Żaden zając nie zrywa się ze snu
Żadnej jaszczurki
Żadnej polnej myszy

W dolinach zatopionych w głębokim śnie
wiatr szuka schronienia
a tam drzwi są zamknięte
chmury wydają ostatnie tchnienie
łąki szukają zacisza w skałach

- O, skały, miejcie ludzkie serca -

Kroki pustyni dotykają cienia piasku
Niebo jest jak ziemia
Twarz przy twarzy, umysł przy umyśle
Aż wychynie prawdziwe wnętrze.

Skrzydła kurzu trzepoczą
w lustrach wiatru
Przeznaczenie jak piana duszy w garści życia.

Żadnego wiatru, żadnych drzwi, żadnych łąk
Żadnego węża oblizującego się
na widok żaby

Kropla otwiera aortę kropli
pod szyderczym słońcem!

Nikt nie zmusza
abym pozostał drapieżnym ptakiem
krążącym nad głębinami i nad pustyniami.

Nikt

Gdyby Gilgamesz wędrował
Dalej niż namiot Imr al-Qaysa
dojrzałby perłę w oku Hubala,
którą zniszczyły marzenia o innej planecie
i upragnionym raju
za dnia
w teatrze czasu.

Droga byłaby jedna, głos jeden
i marzeń wiele.

Czy jest ktoś
kogo mogę prosić o pomoc
a może on mnie poprosi?
Czy jest ktoś, kto mnie uderzy boleśnie?
Czy jest ktoś, kto wskaże mi drogę?

Nie ma nikogo?!

Nikogo.

/Brzeg/Jabłonna, 10. 12. 2004/

Nakładem Książnicy Podlaskiej ukaże się wkrótce nowa książka
poetycka Hatifa Janabiego, której fragment publikujemy.

Kilka uwag na marginesie „Zapisków” Jana Leończuka

Wołam do moich stóp: dotknijcie ziemi bez bólu, w posłuszeństwie wędrowania, tęsknijcie za ziemią, gdzie nie ma języków i znaków, ku której prowadzą wszystkie drogi spełnienia. Niech nie zasychają wasze rany pełne pragnień. A w drzwi, które przed wami będą zamknięte, niechaj nie uderza pięść gniewem, a pokora kornie pochyli czoło i niechaj powtarza: przychodzę do tego progu, ażeby zaznać miłowania. I miłowaniem wypełnić jego ściany. Bo czymże jest nasze wędrowanie, kiedy gasną ognie czułości. Nasze zimne dłonie będą martwe, nasze usta pokryje rdza, jej resztki dotkną serca i rdza zatrzyma jego rytm. („Zapiski trzeci”, s. 20).

Po lekturze „Zapisków” Jana Leończuka zapragnęłam, abyśmy tym właśnie cytatem weszli w ich odczytywanie. Ale najpierw kilka słów o tym, czym one są. To felietony radiowe, nadawane na antenie Radia Białystok od początku lat dziewięćdziesiątych, zebrane w kolejne książki, w sumie cztery. Felieton – gatunek publicystyki, swobodny, otwarty także na literackie formy wyrazu, cechuje aktualność. O jaką aktualność chodzi w „Zapiskach” autorowi? Przede wszystkim o „wewnętrzzną” aktualność przeżyć, związaną z wydarzeniami zewnętrznymi, ale nie tylko. Mamy tu do czynienia i z opisem roku polskiego z jego chronologią świąt, prac polowych na wsi, przemiennością pór roku; i z zapisem przeżyć z podróży, przede wszystkim na Wschód (do Grodna i Wilna); i peregrynacje historyczne, oparte na „dokumencie” – wspomnieniach, relacjach, fotografiach, materialnych „pamiątkach” po osobach, których już nie ma; i zarejestrowane ślady literackie minionych już dni – literaturę „wysoką” i popularną, mistrzowską i pierwociny literackie; a wreszcie to, co najbardziej osobiste – wspomnienia z dzieciństwa.

Klimat wspomnień określa wszystkie te „zapiski”, jest bardzo osobisty, nawet impresjonistyczny, tak że proza ta przerasta często w poetycką.

Ale wszystko, co powiedzieliśmy do tej pory, tworzy tylko zarys, „formę na treść”. Najważniejsze wydaje się tu poszukiwanie „wewnętrznej” tożsamości – jako Polaka, chłopca, ka-

tolika, części szerszej wspólnoty, wreszcie twórcy, który te treści chce zamknąć w swoich książkach. J. Leończuk buduje tu swoją „zintegrowaną” osobowość, nastawioną na ład moralny i estetyczny. To, że dzieli się z nami swymi przeżyciami, jest bardzo cenne. W naszym „dysfunkcyjnym” świecie, w którym pozór, etykieta, zapożyczona błyskotka udaje, że znaczy, istnieje głęboka potrzeba odnajdowania prawdziwych wartości. A niesie je tradycja.

W opisy sacrum – religii, przyrody, tradycji, obyczaju, naszej polskiej historii, wkrada się ból.

Jest to między innymi „niepełna” możliwość powrotu do wspomnień z dzieciństwa. Niepełna, bo okrojona przez naszą dorosłość, obce mu naleciałości naszych późniejszych poglądów, naznaczenie „grzechem odstępstwa”. Ta świadomość jest gdzieś w tle, kiedy autor „powraca” i uświadamia sobie, że to najlepsze, co go w życiu spotkało, wywodzi się z dzieciństwa, domu rodziców, a wreszcie z „ładu” tamtego życia. I wie, że naprawdę cenne jest otworzenie się na innych. Jego ciepła postawa „do ludzi” jest wynikiem świadomego wyboru, bo choć nieraz go raniono, wie, że inaczej nie można, to nakaz moralny.

Bardzo dużo miejsca w „Zapiśnikach” poświęca autor spletanym, polskim losom, bolesnej polskiej historii, nieludzkim czasem totalitaryzmu, komunizmu, PRL.

I jedno, co uderza w tych zapisach, to – obok ekspresyjnie wyrażonej niezgody na „czasy pogardy” – pokora. J. Leończuk wie, że zgłębiając historię, też tę tkankę życia musi zrozumieć, w pełni odczuć, że to doświadczenie jest mu niezbędne dla osiągnięcia duchowej „pełni” – także przez akt „zjednoczenia” z innymi.

Ból jest też obecny w dyskretnych wzmiankach o chorobie, zmęczeniu, rozzarowaniu postawami innych ludzi. Bardzo wyraźny ból odczuwamy w opisach współczesnego życia literackiego, gdy „nadmuchana” wielkość zastępuje istotę – ten wspólny wszystkim ludziom rozwój duchowy, który czasem owocuje wybitnymi dziełami, grunt, by je rozpoznać, odnaleźć dla siebie i innych, wbrew wszystkim modom i koteriom. Wyczuwam tu dużo pokory – pisanie to wewnętrzny nakaz, twórcy mogą tylko czekać na tę iskrę zrozumienia, która pojawi się u czytelnika.

Nie dokonuję tu analizy poszczególnych „Zapiśników”. Najważniejsze, by je mieć, wyszukiwać odpowiednie frag-

menty i wczytywać się w nie. Czwarty „Zapiski”, podobnie jak drugi, grupuje felietony w rozdziały, co trochę ułatwia poruszanie się po tej „magma odczuć”.

Gdy się w nie wczytuję, mam wrażenie, że obcuje z autorem, który cały swój trud wkłada w odnajdywanie i nadawanie sensu światu. Taka literatura jest nam bardzo potrzebna, także to wczytanie się w polskość. Autor dzieli się z nami swymi odczuciami, ale ich nie narzuca, jego zapis nie bywa agresywny, mimo że jest emocjonalny. Ale nie ma tu „rozpasania” emocjonalnego, ten wymiar jego prozy też cechuje umiar i ład (nadmiar czuje się chwilami we fragmentach poetyckich). Nie potępia, ale uważnie wpatruje się w to zjawisko, jakim jest człowiek.

Dokonuje jeszcze J. Leończuk rzeczy, wydawałoby się niemożliwej. Przenosi publicystykę w sfery literatury pięknej (chciałoby się rzec, jak Wańkowicz).

Urzeka piękno jego frazy, we fragmentach „poetyckich” bardzo wypełnionej. Dorównuje swym kunsztem frazie Jerzego Pilcha.

Szerzej bardzo wnikliwie pisze o „Zapiskach” Teresa Jabłońska w posłowniu, zatytułowanym „Poetycki eskapizm? O roz pogodzeniu nad Jana Leończuka „Zapiskiem drugim”.

Nie mamy powodu, by się wstydzić prozy powstałej u nas, na Białostocczyźnie. Niedawno pisałam o „Długozwiąz” Anny Markowej. Ciekawa jest też proza Mieczysława Czajkowskiego, Wojciecha Załęskiego. A że nie otrzymuje ona „prestizowych” nagród? Cóż, zakłócony został obieg literacki...

Irena Słomińska

Jan Leończuk. *Zapiski. Felietony radiowe*. Wydawnictwo „Łuk”, Białystok 1996. Jan Leończuk. *Zapiski drugi. Felietony radiowe*. Wydawnictwo „Prymat”, Białystok, 2003. Jan Leończuk. *Zapiski trzeci*. Wydawnictwo „Prymat”, Białystok 2005. Jan Leończuk. *Zapiski czwarty*. Wydawnictwo „Prymat”, Białystok 2007.

Między słowem a...

*Prostota poezji to cnota wbrew pozorom trudna,
osiągana w trudzie.
Nie można od niej zacząć. Do prostoty się dochodzi.*

Anna Kamińska

Janina Kozak-Pajkert podarowała swoim czytelnikom kolejny tomik poetycki, tomik, któremu towarzyszy autorskie motto sprzed trzech lat. Są to słowa ważne, programowe, o poezji i poetach. Czym jest, według Autorki, poezja? – *jest powiększaniem świata, a poeta to nie tylko „wrażliwy odmieniec”; „oracz codziennej pisaniny”; „Iza Boga”; ale to człowiek, który się buntuje, stawia pytania, obserwuje. Towarzyszy mu także szlachetna chęć odkrywania i naprawiania. Autorka pisze: Wyrażam więc pragnienie, by powiększany i naprawiany świat obdarzał zapalem i nadzieją – dobrą i wzruszającą. Oczekiwania te podkreśla – moim zdaniem – także tytuł tomiku: „Słowem w oczy”. Przywołuje on frazeologizm: sypać komuś piaskiem w oczy. Zamiana wyrazu „piaskiem” na „s ł o w e m” nabiera w kontekście wierszy, a szczególnie wierszy programowych, autotematycznych (a jest ich w zbiorze ponad 30) nowego znaczenia, głębi, przedstawienia i przypomnienia czegoś ważnego – choć wypowiedzianego w sposób jasny i prosty. W liryku pierwszym, inicjującym tomik, a zatytułowanym „Stary poeta naucza”, Janina Kozak-Pajkert mówi, nakazuje: *Napisz świat, / który ma piątą stronę i kończy słowami:**

*Pamiętaj o cierpkim smaku jeżyn
i o błyskach słońca
na grzbietach delfinów. (s. 5)*

Odwołuje się do tradycji K. Wierzyńskiego, S. Wyspiańskiego i aluzyjnie, w tytule do J. Iwaszkiewicza. Podkreśla: *Nie wolno ci lekceważyć / stylistycznych krygów. W innym wierszu sięga po żart, gorycz i przysłowie („Wiersze”, s. 7). Stwierdza: Poeta nie umie przebaczać, / lecz jego arogancka modlitwa / otula Stwórcę / atlasem metafory (s. 9) – a On odpowiada: – Nawet twój cień tęsknił / i pisał (...) Jesteś moją tzą. (s. 10).*

Tak powstaje świat Janiny Kozak-Pajkert. Świat realny, upiększony; świat miłości i nienawiści, natury i ukochania braci mniejszych. Ale jest to także świat krzyczący o naprawę, w którym *Jaś znów nie doczekał*, a

*nowym Odyssom śnią się zyski
jak Atlantyk,
ogień się pcha do okien
drżących wdów,
zbyt wiotkie brzozy chwieją się
na wietrze.*

*Czasem się zdaje,
jakby pękło Niebo,
Anioł Stróż odleciał (s. 44)*

Z franciszkańską pokorą przeciwstawia ten świat z goryczą, ale i nadzieją, światu utraconemu, światu dzieciństwa:

*Dzień się budzi
pełen nadziei i aromatów.*

*Klaksony krzyczą coraz częściej,
bo mózgi spieszą się
na złamanie szarych komórek.*

*Przywołujesz spokój
podmiejskich zagajników.
Twoja dzisiejszość ma smak
wonnych antonówek.
Wchodzisz w trud poety
z filozofią skromnej macierzanki.
Stajesz czujnego słupka
z zającem. (s. 62)*

- i, dalej w tymże wierszu: *badasz (...) łuk Bożej tęczy, co się rozpiął nad tobą i mrówką.*

W świecie poetyckim Autorki bardzo ważną rolę spełnia **Słowo**. To przecież budulec poety - „smutnego arlekina” - „właściciela niepewnych skrzydeł” - „latawca na niebie”. A **Słowo** to bywa raz śmietniskiem, zagubieniem, żarem, tęsknotą, przypomnieniem wersów *Roty*, nagrodą, pięknem, pracą, *bo praca trwa, / gdy rwiesz pod prąd - / poeta-łosoś, żeby złożyć słowa.* (s. 72). A praca to trudna, niepewna. Poetka pisze o trudach tworzenia w liryku „Zapis”:

Nie wiem
 ile przejdziesz schodów i rzek
 aż złapiesz myśli w garść
 i ułożysz w wersy.

(...)

Potem przeczytasz zapis.

(...)

Wobec Boga
 i mocy wzruszenia
 szepniesz:

Twoja łaska, Boże,
 mój – dzień.

Twoje przyzwolenie,
 moja – praca. (s. 74)

Wyrasta z tej poezji pokrzepienie, nadzieja, pokora i skromność, a w dyskusji z „zimnym czasem” imperatywy: pisz, nie milcz, poeta pamięta. Choć rodzi się pytanie: czy *warto bujać w obłokach poezji, / gdy lży sfora?! (s. 49)*.

Każdy czytelnik tomiku „Słowem w oczy” znajdzie dla siebie pokarm wyśmienity, bogaty, dobrze przyprawiony solą słów, goryczą polskiego piolunu i podany ze smakiem. Wyostrzy swą myśl, oko, dotyk i słuch. Choć Janina Kozak-Pajkert zbudowała swą poezję słowem prostym, celnym, okraszonym codziennością i przysłowiem, aluzją i znawstwem. Autorka z pewnością osiągnęła to, o czym mówi tak celnie motto Anny Kamieńskiej. Z chęci powrotu do źródeł tradycji i słowa J. Kozak-Pajkert ofiarowała nam tomik oszczędnej – choć pięknej, indywidualnej, własnej poezji, której budulcem jest bogate, proste słowo, oszczędnie dozowana metafora i częste porównania. Pracy poetki towarzyszy zaprojektowana – jakże trafnie – przez Andrzeja Bazyluka okładka. Dobrze się stało, że Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku wzbogaciła nas i naszą kulturę o tomik Janiny Kozak-Pajkert.

Irena T. Grabowiecka

Janina Kozak-Pajkert. *Słowem w oczy*. Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego, Białystok 2006.

I dokąd ta droga...

Małgorzata Dobkowska – poetka rocznik 1966 – obdarowała nas drugim tomikiem poetyckim. Pierwszy – „Zatopione w słowach” – ukazał się w 1999 roku. Można – kierując się choćby tytułem – przypuszczać, że wiersze w nim zawarte, to jeszcze „uwięzienie” w cudzych słowach, w lekturach książek innych pisarzy. Świadczą o tym m. in. motta, poetyka wierszy, próby gatunkowe – choćby haiku, które haiku nie są, ale są to zdecydowanie dobre miniatury poetyckie. Wiersze debiutanczkiego tomiku zapowiadają także własną drogę twórczą, typ ciekawej wyobraźni. Wystarczy przywołać wiersz „Ptak” (s. 57) z aurą przypominającą obrazy Marca Chagalla czy asteronim z incipitem *wiszę u dachu soplem...* Przytoczę go w całości:

*wiszę u dachu soplem
uważaj miły
spadnę i wbiję się w głowę
ostrą mizerykordią kryształu
przebiję czapkę uszatkę śmiesznotkę
rozchylę sitowie
już mnie nie wydlubiesz
zostanę zaproszę ci oko
bielą obrazu nie do wywabienia
posłuszną gumką myszką*
(s. 27)

Żart, uśmieszek, lekkość – to też cecha przyszłej drogi. Jest w tym pierwszym tomiku zapowiedź „Azymutu”. Ostatni utwór tomiku kończą słowa: *celem zostanie wędrowanie z przypadkowym – tak myślę – rymem wewnętrznym*. Więc wędrowka – intelektualna i dosłowna; więc droga według azymutu – a nie przypadkowa włóczęga. Jaka jest ta droga, trakt poetycki autorki? Z pewnością to wędrowka przez życie. Małgorzata Dobkowska poszukuje odpowiedzi na pytania kim jest, zastanawia się nad trudem istnienia, doświadczeniem bytu, tragizmem, a może i pustką (*pod zbroją nie ma / ni kawałka*

mięsa – s. 25); poszukuje prawdy i odpowiada: *prawdą jest życie / które toczy się TERAZ* (s. 9); zastanawia się nad upływającym czasem:

*zawieszeni w czasie i przestrzeni
między stamtąd i dotąd teraz tędy i owędy
życiem snem wymiarem
jak stado wędrujących ptaków
(brakuje tylko ślepego konduktora z latarnią
wśród przecinających się taśm czasu)*

(s. 21)

Oryginalny to obraz i ciekawym językiem malowany. W innym wierszu spokojnie buntuje się przeciwko amerykанизacji naszego życia i jego materializacji, broni wszystkich odrzuconych:

*pasuje i nie pasuje
w nowobogackim salonie
słoma wystaje mu z butów których nie ma
podając niosąc pióra kaptcie i wachlarze
murzynek smętnie rozmyśla o ucieczce
o przygodzie na zielonych polach
niekoniecznie bawełny
więc kiedy jestem tam z wizytą i nocuję
podkradam się czasami strącam barbi
i sadzam go pośrodku różowej kanapy
albo organizuję kolejną ucieczkę*

(s. 32)

Jak widać – poetka, budując swój świat, odchodzi od oszczędnego wiersza różewiczowskiego ku poezji opowiadającej, narracyjnej, pełnej nadmiaru – nieraz potoku słów. Często grupuje słowa – wylicza po trzy, cztery, dwa. Zręcznie operuje zdaniami nawiasowymi, nieraz sięga po figury retoryczne – anafory, anafory gramatyczne (powtarza w tych samych pozycjach najczęściej czasowniki). Złożoność świata przedstawianego Małgorzata Dobkowska podkreśla paradoksami, kontrastami, grą słów. Oto tylko kilka przykładów:

oddycham chłonę i jestem wchłaniana (s. 10)

zastygnięcie w bezruchu (s. 16)

*czym jest ta dziwna godzina
sprężona lekka ciemna kula czasu
która jest ale jej nie ma... (s. 21)*

*mało nie zdeptałam gołąbka pokoju (...)
zabijam gołąbka niepokoju (s. 30)*

*jestem w krainie milczenia
ileż dźwięków! (s. 37)*

Świat poetycki tomiku – to świat realny, ale i oniryczny, nadrealny (np. wiersze ze stron 25, 28).

Wśród wierszy opowiadających pojawiają się czyste liryki, odbiegające od pozostałych wyciszeniem czy nastrojem – choćby wiersz „Mamo”:

*ślad twojej ręki w mące
którą wyrabiasz na ciasto
podobno nieważny
zaraz zniknie*

*utrwalam go
migawką oka
i pamiętam*

*a ty karmisz cały świat
pełna ptaków
(s. 45)*

Egzystencjalną treść w prostej, choć symbolicznej formie, niesie wiersz „Zegarmistrzyni”:

*ta mała staruszka która drepcze przed nami
wpół schylona
niosąc w torbie trzy kajzerki i cytrynę
jakże chcielibyśmy ją jeszcze zetrzeć
z krajobrazu młodych oczu
by nie mąciła nam świeżości słonecznego
przedpołudnia
a ona rośnie coraz bliższa i odmierza czas
końcem swojej laski stuk stuk
(s. 20)*

Sądzę, że droga wyznaczona przez Małgorzatę Dobkowską jest zrozumiała, przewidywalna i prosta. Będzie się rozwijać ku zadowoleniu czytelników a zgodnie z indywidualnością oraz wyobraźnią poetki. Jej talent jest już zauważony – została laureatką Konkursu Literackiego im. Wiesława Kazańskiego w Białymstoku i wielu konkursów w Polsce. Gratuluję i czekam na dalsze zbiorki.

/Białystok, marzec 2007 r./

Irena Grabowiecka

Małgorzata Dobkowska, *Zatopione w słowach*, Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Łukasza Górnickiego, Białystok 1999. Małgorzata Dobkowska, *Azymut*, Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego, Białystok 2006.

Wcielenia Małgorzaty. Codzienność, nieskończoność, przestrzeń

Dlaczego warto przeczytać „Azymut” Małgorzaty Dobkowskiej? Bo napisała go poetka, posługująca się świetną obserwacją, intuicją, egzystencjalną odpowiedzialnością. A także perspektywami, wykraczającymi poza literackie treści Zachodu.

To, co odróżnia ludzi od siebie, to jakości ich umysłów: wrażliwość, dociekliwość, rozległość spojrzenia. Stąd właśnie biorą się dobrzy poeci i dobre wiersze. Temu służą poeci i ich wiersze. Pokazują, że to, co w praktycznym życiu wydaje się marginalne, okazuje się – często po latach doświadczeń – ważną prawdą, od rozpoznania której zależy, której jesteśmy częścią.

wchodzę obecnie w to akurat ciało / poruszam rękoma i nogami / naciągam kiwam głową / czasem zatańczę / zaśpiewam, zapieję / opuszczam je poniewczasie / wchodzę w następne / kilka razy powtórzę tę zabawę / póki nie zmądrzeję / i nie zaprzestanę zbrodniczej działalności (Przechadzka)

Czy na pewno wiemy, czym jest to, co nazywamy życiem, rzeczywistością? Jak wytłumaczyć takie, pozornie zwyczajne, zjawisko:

jak to jest co znaczy / gdy nagle pojawia się (w szybie?) / krajobraz równoległy i ty go widzisz i masz go / w ustach i w oczach /.../ (Zmiana dekoracji. Ucieczka.)

Uprawianie ekskluzywnych zajęć – jak chociażby pisanie wierszy na serio, dociekanie, opisywanie, czym są zjawiska, na czym polega istnienie – ma swoją cenę egzystencjalną. Więc:

powinnaś panować nad swoimi odruchami / poskramiać nawyki zimnym biczem wodnym / więc panuję / tylko czasem upuszczam nieco krwi sobaczek / sobie i innym / ciemnej spieczonej juchy z waporem / dla oczyszczenia organizmu /.../ (Dobre rady na rozmiełanie.)

A w kwestii wyglądu, swojej powierzchowności, sprawa przedstawia się tak:

na zdjęciach wychodzę beznadziejnie / zwłaszcza gdy się denerwuję lub stresuję /.../ mam wygląd wystraszonego wypłosza o płaczliwych oczkach /.../ zawsze podobała mi się / Jane Eyre dlatego że nie była ładna / lecz uparta a dokładnie wypełniła / zadania heroiny powieści gotyckiej (Scenariusze).

W uroczym „Czasie relaxu” – siedzę z kumplami w knajpie / przebibuję czas /.../ – dzieje się *malutka apokalipsa*, i wobec tego należy zrobić coś *konstruktywnego (?)* / choćby porządek / z czego będziesz zadowolony ty a może i inni.

Opisywanie świata – tak, ale – nie przywiązywanie się do świata. Przeżywanie, ale – nie tragizowanie. Współczucie, lecz – nie sentymentalność. Ja, ale też – nie Ja. Życie trochę boli. Z akcentem na trochę. W życiu można się uczyć podczas wszelkich doświadczeń. Robić rzeczy sensowne, znać kierunek, wiedzieć, że *światło w ciemnościach świeci*.

Sercowe sprawy kobiet i mężczyzn są wobec najlepszych wierszy w książce, jak ubrania, z których – czuję – Poetka wyrasta, ale wciąż je nakłada. Gdy się wie, że w „*ruchu jest przyszłość*”, jak mawiał Mistrz Yoda – że wszystko krąży, zamienia się miejscami, że istnienie przybiera różne ciała – błahe wydają się rozgrywki pomiędzy nim a nią, chociaż oboje naprawdę cierpią. On odchodzi, ona zostaje, albo na odwrót...

Ponad sercowymi komplikacjami, przepływa czysty, odświeżający powiew ze Wschodu – Dalekiego – który odbiera Ja zbyt wielką rangę :

przed tobą pieni się przestrzeń / doskonała harmonia dźwięku i formy / lśni w świetle jak kostka lodu / z każdym oddechem jest cię mniej / a więcej obraca się w powietrzu.

Polecam! Smakowite.

Krzysztof Gedroyć

Wiersze - „wypatrywania”

Wydany ostatnio, jeszcze „ciepły” tom Józefa Zenona Budzińskiego *przekroitem niebo krążkiem księżycą* korzystnie wyróżnia się spośród zbiorów, które obecnie trafiają masowo do rąk odbiorców. O poezji tego autora można bez zastrzeżeń powiedzieć, że jest to prawdziwa liryka. Utwory są zwarte, bardzo delikatne, choć jednocześnie eksplozywne, naładowane swoistą energią. Dominuje forma wypowiedzi bezpośredniej w pierwszej osobie, co nie zawsze znaczy, że mamy do czynienia z wyznaniem. Konfesyjność wielu wierszy przybiera postać utajonego dialogu, czasem dialogu z samym sobą, czasem z Bogiem lub otoczeniem. Poeta nierzadko dokonuje rozrachunku z własnym sumieniem, docieka prawdy, stwierdzając: *Jestem jak / klucz do / nieznanych / drzwi*. Te drażenia wewnętrzne dokonują się dyskretnie, bywa, że są ledwo napomknieniem. Zdarza się, że prowadzą do sprzeczności, jest to jednak tylko sprzeczność pozorna. Przykładem może być nieco ambiwalentny stosunek do problemu poezji, sensu pisania. Podkreślając zauroczenie słowem i - wydaje się - bezgranicznie ufając poezji jak modlitwie (*Poezjo / chleba powszedniego / daj nam dzisiaj*) w niemal aforystycznym, niezwykle skondensowanym liryku, wyraża autor wątpliwości:

(...)
Nie jestem
prawdziwym poetą
prawdziwy poeta
milczy

To niejako totalne zaprzeczenie funkcji i roli poety, bo przecież bez wypowiedzenia słowa poetyckiego nie ma poezji, po prostu: nie ma nic. Jest pusta kartka papieru, szarość powierzchni monitora, głucha przestrzeń między potencjalnym nadawcą a odbiorcą. Ale w dobie zdevaluowania słowa cytowany czterowiersz odzwierciedla głęboką choć bolesną prawdę, że to co istotne mieści się czasem w przemilczeniu, że we

wnętrzu człowieka tkwią, może najcenniejsze czy najtrudniejsze, sprawy nie do uniesienia przez słowo lub wręcz przez słowo „profanowane”. A może cytowany utwór to gorzka ironia?

Paradoksów jest w tomiku Budzińskiego więcej. Np. wyrażana w nim radość istnienia zderza się raz po raz ze świadomością kruchości ludzkiej egzystencji; wiara jest niezaprzeczalną wartością, ale też mozołem, nawet ciężarem często nie do udźwignięcia; świat - дарowanym pięknem, lecz także „ugorowiskiem”, człowiek - istotą zdolną zarówno do czynienia dobra jak i zła. Podmiot liryczny tych wierszy stawia przed nami i przed sobą samym wysoką poprzeczkę moralną, pewien że *Żyć nie można / zapisując na brudno / dzień po dniu [...]* *niech pozostaną po nas / czyste kartki*.

Bo utwory zawarte w omawianym tomie są właśnie nadzwyczaj czyste. Ta ich cecha wyraża się zarówno poprzez problematykę, jak i dobór specyficznych środków artystycznych. Czytelnika ujmuje klarowność wypowiedzi, godność języka poetyckiego, przejrzystość niełatwego przecież w poezji wyrażania postaw. Nie ma w tomie ani odrobiny dydaktyzmu, deklaratywności, narzucania odbiorcy własnych racji. Przeciwnie - to autor pragnie uczyć się od ludzi, chce **poznawać**. Wyczuwamy wyraźne echa znanego wiersza Jerzego Lieberta (w omawianej książce są nawiązania i do innych twórców np. do *Testamentu* Ewy Lipskiej w utworze na s. 17), choć indywidualnie przekształcone. Poeta z Grajewa pisze: *O bogowie / nauczcie mnie / grzechów / drugiego człowieka / pachnących pięknem*. Spokojnie, jakby z namysłem, określa swoje miejsce. Wie, że w życiu nie brakuje wewnętrznych rozterek, ale jego liryka nie zdąża w kierunku jałowego „tragizmu”. Odżegnuje się też Budziński od przypisywania jej jakichś nadzwyczajnych walorów. Czasem owa pokora wydaje się całkiem niezwykłą; wyrażana jest bez zbędnych ozdóbek, choć przecież autor zbioru doskonale rozumie, do czego służą poetyckie środki wyrazu: *Mój wiersz [...] jest* - powie po prostu. Znakomicie wyważa poeta proporcje między emocjonalnością a intelektem, co jednak nie wywołuje w czytelniku wrażenia chłodu. Wyjątkowa na tle współczesnej produkcji literackiej pełnej wulgaryzmów, obrazów obscenicznych i chropowatości słowa jest w zbioru dyskretna wypowiedź. Jak się okazuje - bez tych wszystkich „mocnych akcentów”, którymi stara się przycią-

gnąć odbiorcę spora grupa młodych (i nie tylko młodych) twórców, dobry wiersz zawsze znajdzie uznanie. Piszący wiersze nie musi (a sędzę, że nawet nie powinien) epatować brutalnością, brukowym słownictwem, nazbyt szokującym obrazowaniem dla wywołania opacznie pojmowanego „dramatyzmu”. Napięcie dramatyczne pojawia się w wierszach Budzińskiego jakby mimochodem, w pozornie beznamiętnej, a przecież aż palącej wypowiedzi. Tak jest np. w utworze (notabene jednym z niewielu opatrzonych tytułem), który zacytuje w całości:

Modlitwa

*Matko
nie wiedziałem
przed urodzeniem
że życie
jest wysypiskiem*

Budziński odważnie, a jednocześnie subtelnie podejmuje w swoim tomiku zagadnienia związane z psychiką człowieka. Bez natrętnej dewocyjności, chciałoby się powiedzieć: po męsku, zarysowana bywa sfera przeżyć religijnych. Refleksja nad życiem i śmiercią, nad przemijaniem, bólem, osamotnieniem, istnieniem w ludziach zarówno pozytywnych, jak i negatywnych odruchów – wszystkie te dociekania pojawiają się w sposób naturalny, czasem aluzyjny, nie obarczony „przemądrzałością”. A przede wszystkim zawsze otwierają przed odbiorcą drogę ku światłu, ku nadziei:

(...)

*Dziś jestem
jak żdźbło
trawy nadłamaney
już nie trzciny
i wiem, że
czekasz aż
się zrosnę
w całość*

To prawda, że codzienność wypełniona bywa lękiem, że świat wydaje nam się czasem „kulawy”, że człowiek brnie jak ślepiec przez trud i cierpienie, ale przecież w końcu znajduje punkt oparcia, jakiś wymarzony i ciepły „dom”; niechby to był „dom” metaforyczny, zbudowany we własnym wnętrzu, wypełniony wiarą i miłością. *Nie sugeruję / metody / sugeruję / miłość* - tym krótkim utworem mogłabym właściwie zamknąć swoje dość ogólne przemyślenia. Chciałam nimi jedynie zwrócić uwagę na niecodzienne (jednak śmiało dotykające codzienności) wiersze poety, który wiele dostrzega i gorąco czuje, ale mówi z rozwagą. Skupia się na sprawach najważniejszych dla człowieka, choć pisze o nich zrozumiale, ze szlachetną prostotą. Kocha życie i świat, lecz wyraża miłość bez patetycznych „gestów”. *przekroilem niebo krążkiem księżycy* to zbiorek poezji kameralnej i jednocześnie uniwersalnej. Z „ja” lirycznym tych wierszy możemy się utożsamiać lub nie, jednak zawsze odczuwamy, że ktoś w nich na nas czeka, „wypatruje”, że wychodzi nam naprzeciw nawet wtedy, gdy niełatwo mu przekroczyć własne ograniczenia. Bowiem w kręgu świadomości poety *wszystko / dzieje się / ponad miarę*. A pewno właśnie na tym polega ponadczasowa mądrość i sens mowy wiązanej.

Elżbieta Cichła-Czarniawska

Józef Zenon Budziński, *Przekroilem niebo krążkiem księżycy*,
Oficyna Wydawnicza Łośgraf. Warszawa 2008.

„Rozmowa z cieniem” Eugeniusza Szulborskiego

Książka Eugeniusza Szulborskiego „Rozmowa z cieniem” zawiera utwory powstałe w różnych okresach jego pracy twórczej (począwszy od lat sześćdziesiątych), niektóre już drukowane, inne wyciągnięte z szuflady. Są to przede wszystkim poematy, składające się z ponumerowanych części. Najpierw może opisać ogólne wrażenie – intensywnej, wręcz rozsadzającej ramy wiersza emocjonalności („Jesienne ptaki”, „Krajobraz ze szpakiem”, „Rozmowa z cieniem”, „Czuwanie”, „Jonasz i paszcza wieloryba”, „Dekalog”). Przyjrzyjmy się choćby „Jesiennym ptakom”. Zaczynają się one od słów Łuk już napinam, które zapowiadają metaforycznie działanie (chodzi tu o bunt patrioty, zawarty w bardzo wyrazistym akcie twórczym). Wyłaniający się z tła. Jakie to tło? Wszędzie kurhany, nagrobki, mogiły – a więc znaki historii, wobec których staje człowiek współczesny. I jak je odbiera? Jako skarłale i spróchniałe. Następny kontekst: *...wygnanie z Raju (...) A patrząc na to Bóg się żyłma! / Ileż to można zerwać jabłek / Z zakazanego drzewa życia!* (s. 9). Później autor przytacza historię Kaina i Abla, snuje dywagacje na temat ducha narodu (który przechowuje Boryna) i którego kontynuacją (jak można przypuszczać) są słowa poety. W 7 części poematu napomyka o zrywie grudniowym 1970 r. Niewesoła jest tu diagnoza Polski i na Kainów i Ablów podzielonego społeczeństwa, skażonego grzechem pierworodnym. Zresztą sensory, ujęte w przypowieści, bardzo plastycznie ukonkretnione sytuacje (jak choćby w części 6 i 10 wyjaławianie z polskości), nagromadzone obrazy, gdzieś tam przekonywanie z zaśpiewem gawędy – to wszystko tłoczy się, nabrzmiewa, rozsadza wiersz (rytmiczny, rymowany).

W „Krajobrazie ze szpakiem” – lira poety wyrasta z natury, bardzo sugestywnie opisanej, z chłopskiego trudu, z polskiej ziemi z jej bolesną historią (bardzo wyraziste są tu akcenty biografii poety). Trudne lata okupacji, później powojenne stanowią tło dla takiego właśnie obrazu matki:

*Madonna z obrazka jak matka stroskana,
 a matka madonna przy pracy.
 Ociera pot z czoła, ociera łzy z oczu,
 nie mogłem – łzy chciałem zobaczyć –
 Tyś była jaszczurką – z rękoma na piasku,
 ze wzrokiem jak sarna, gdy goni ją ktoś.
 Ja, takim maleństwem, trzymałem się karku
 wpłątany w kwiat chabrow, żytni twardy kłos –
 Gdy gęsi kolejno wchodziły na rożen
 i tabor niemiecki pod oknem się włókł,
 tyś stała zapachem jak w płomieniu drewno
 i ciągle niepokój w oczach twych się tłukł.
 Czy mogłaś przewidzieć samotnych dni tyle,
 gdzie chleb, gdzie ogień, a gdzie prawdy tuł?
 (s. 16)*

i ojca:

*...szedł ojciec za pługiem i miedzę wyrzynał
 O ziemię chodziło...
 (s. 16)*

To zespolenie z ziemią (rolą i ziemią ojczystą), tak wyrażyste, przerywa gawęda (część 16) o Twardowskim, który otwiera wrota księżycy dla sputnika (wyraźne tu tony gawędy szlacheckiej). W części 19 poematu mamy obraz wyciosanego toporem świątka (niby świątka, niby chłop, przypuszczalnie alter ego podmiotu):

*Wychodzi ze wsi ciosany toporem
 lipowy człowiek – z akwareli szatki,
 zgrzebna koszulina i płócienne gatki.
 Myśl aż widoczna, wisi wprost na czole
 zmarszczkami w prawo i lewo pociętym.
 Trudno uwierzyć, by nie był on świętym.
 Wychodzi człowiek i idzie tą ziemią,
 po której tylu drapieżnych i mściwych
 spacerkiem sobie przemierzało życie.
 Brzask się kończy i zaraz po świcie
 ciepły ranek przychodzi, utyltany w złocie.
 Człowiek z grubsza ciosany – przypisany cnocie –
 mało widoczny, to oczko w rosole –*

*samotny pracą i losem topoli.
Jak ona drżący, jak wierzba zgarbiony,
pot z niego cieknie i krwawy, i słony,
destylowany codziennie z uporem.
Wycieńczony człowiek stał się już upiorem,
ze świętej postaci pozostały dłonie
modlitewną pokorą tylko napętnione.
A jeśli nie dłonie, to myśli jak wieże,
przy których można odmawiać pacierze.*

(s. 22-23)

Poemat kończy alegoria domu – chaty chłopskiej i Ojczyzny, zawłaszczonej przez *władzę czerwoną* ze specyficznym poj-
mowaną sprawiedliwością – wolnością i nuta optymizmu:
majstrów nowych nastanie czas (s. 26).

„Rozmowa z cieniem” mówi o fałszywej jedności, o ob-
cym zawłaszczeniu *piorunem strzeliły – aż pięcioramiennym*,
o zwątpieniu w solidarność Polaków, o tym, że niechlubnej
przeszłości wymazać nie można.

Streszczałam zamieszczone w książce poematy po to, by
wykazać ich specyfikę, ich oryginalność i sugestywność, a tak-
że zawartą w nich problematykę polskości, jak wrzód na-
brzmiała. Ta problematyka nierozdzielnie łączy się z religijną
(poemat „Dekalog”, „Jonasz w paszczy wieloryba”). Tak też
jest w „Czuwaniu”, które rozpoczynają słowa:

*Rankiem wciąż jestem
zabłąkany w Tobie
wiatr gdzieś za oknem
o szybę uderza
swój dzień zaczynam
wersami pacierza
na parapecie
gotąb je śniadanie*

(s. 39)

Świadczą one o tym, jak wielkiej odpowiedzialności wy-
maga wiara, to „zabłąkanie” to trud odczytania boskiego prze-
kazu, tak w odniesieniu do podmiotu przeżywającego, jak
i Ojczyzny.

Jaki jest klimat uczuciowy i estetyczny tej poezji? Czasem pojawia się sarkazm, który towarzyszy tonom dramatyzmu i głębokiego liryzmu. Ale zdarzają się też utwory, których cechy to humor i nostalgia („Krajobraz z patefonem”) oraz ironia („Dziennik tygodniowy”).

Już po tym bardzo pobieżnym opisanju widać, jakim bogactwem środków wyrazu, a także stylizacją na różne typy opowieści, dysponują te utwory. Obrazy chwilami przypominają malowidła naiwne:

*I Abel stanął, ręce złożył,
jak niewiniątko głowę skrzywił*

(s. 10)

Metafory swoją konkretnością, uprzedmiotowieniem, animizacją przypominają czasem wczesną, historyczną metaforę, ale myliłby się ten, kto tylko tam upatrywałby ich źródeł (są także w proveniencji ludowe, ale autor wykracza i poza tę stylizację). Częste są „mięsiste” porównania i alegorie. Pewne niezgrabności stylu wynikają tu z zamierzonej „swoistości” języka. Kiedyś przychylałam się ku tezie, że autor kontynuuje zaniechaną, Rejowską drogę literatury polskiej. Dziś wiem, że „nowe” w języku poetyckim to nie tylko awangarda.

Utwory te są wciąż aktualne, mimo że powstały w czasach sprzed transformacji ustrojowej. Wciąż bowiem żywe są tamte przywary, ukształtowana przez te czasy mentalność, która sprawia (i nie tylko ona), że współczesność jest tak rozchwiana aksjologicznie, tak gorzka.

Irena Słomińska

Eugeniusz Szulborski, *Rozmowa z cieniem*, Nauczycielski Klub Literacki, Białystok 2007.

Zamiast recenzji

1.

Filozofia Bogumiła to rozważania tego, co jest i co być może. Pytania skonstruowane na dziś i na jutro. Pytania o wiedzę, o wiarę między wargami i pod surdudem, tam gdzie biją źródła miłości do Wszechmogącego. I do tej nieporadnej czasem ojcowizny, z brzemieniem Marksa i Trockiego.

Nie wszystko jest takie jak znaki na papierze. Są odległości znaczone kolorowymi myślami. Jako czytelnik powinienem ułożyć z nich nowy kolor potrzebny do tęczy na naszym niebie.

Nie odkrywanie tej filozofii, bo jakże tak z tupetem nicować coś, co jest jeszcze wśród cyklicznych domysłów, to tracenie możliwości zaglądania za kotarę, za którą nagi król na katedrze chwiał i nieporadności.

/05.02.2008/

2.

Symbioza wierszy i rozmyślań może przybierać różne kształty. Trzeba jednak wpleść w nie własną myśl, sentencję, powiedzenie o tym, czym emanuje dobro, a czym zło. Ważną jest treść rzeczywistości, znajomość sztuki pisania wielkiej litery i małych proporcji na wielkich planach, przechodzenia koło neonienawistnych, nie potrafiących dociec, kim są naprawdę w „teatrze powszechnym”.

/07.02.2008/

3.

Sen sprawiedliwego nie jest sprawiedliwy, bo zawsze tkwi w nadziei modlitwy zmieszanej z przemijaniem. Rozum postrzega obiektywnie. Rozumowanie jest nielogicznym powielaniem przyczyn i skutków, wprowadza chaos w strukturę całości.

„Nic nie dzieje się bez powodu”. Gdyby jednak istniało nic, to inaczej wyglądałby wiatr czasu. „Pojęcie wizji Boga nigdy nie będzie zdefiniowane w pełni”, bo ta niezdefiniowana, nieprzetłumaczalna na język rozumu wizja – istnieje, wykracza poza nieskończoność, poza wszelkie układy.

„Bóg nie stworzył siebie”. Rozum nigdy nie będzie „Bogiem”.

/09.02.2008/

4.

Nie pytam, dlaczego, ale o powód, o istotę, logikę istnienia. „Wszechświat jest wieczny. Nie ma początku, końca ni środka, a każdy jego punkt jest początkiem i centrum”. „Powracam przez zamieć niepewności, pytań, nieporadnej odpowiedzi umysłu, do własnej ciszy”. Cisza owa jest pamięcią innej Rzeki, innej Drogi, pięknej utopii ludzkich drogowskazów.

/10.02.2008/

5.

Na tym mógłbym skończyć pomijając niepokój kropli rosy, kształt chwil istnienia w przestrzeni, w której nieistotne jest, że wiatr pozostawia ślad.

Idziemy z Kaa...Pada śnieg...

Na chodniku ślady – traktu bez końca?...

Wierzymy –

dopóki siano pachnie wiatrem

ciepłem snów

Rozum i wiara czy też spacer z Kaa? – po to, by usłyszeć, że rozum może odbierać ludziom prawdę, a więc kłamać.

Nie zabrąłem tak daleko w swojej komplikacji jak Bogumił. Częściowo przynajmniej posmakowałem nowej formy przekazywania czarnych znaków na białym papierze. Doświadczając przecież może nie tylko Białoszewski, Różewicz czy Guzek.

/11.02.2008/

Eugeniusz Szulborski

Bogumił Jankowski, Katedra. 2 klocki Lego z książki pytań (fragmenty), nakład 10 egz. do użytku wewnętrznego – bliskim, Białyśtok 2007.

Czas przeszły otwierający się

Nic nie odbierze nam chwil zauroczenia wyptywających z obcowania z dobrą poezją. Czuje się ją sensualnie, każdym zmysłem, emocjonalnie, kiedy świat odczuć otwiera w sposób subtelny i niesłychanie złożony najbliższe nam przestrzenie i wreszcie na sposób intelektualny – wynikający z mozaiki obrazów ogląd świata. Ten nurt intelektualny, refleksja nad życiem, podskórnie i nienatrętnie draży świat przedstawiony. Ma się poczucie pełnego, człowieczego dotknięcia egzystencji w jej materialnym i metafizycznym kształcie.

Tych kilka uwag ogólnych już wprowadza nas w specyfikę tomiku Janiny Osewskiej „Do czasu przyszłego”. Swoją refleksję nad życiem wyprowadza bowiem autorka z przeszłości – z magicznego, wrażeniowego, rozpiętego między niebem i ziemią kraju dzieciństwa, gdzie kontakt z naturą i dziadkami tworzy najbliższe horyzonty. Ten świat został w tomiku sugestywnie, obrazowo, sensualnie opisany. Wydawałoby się, że to przetarte szlaki poezji, wzbogacone tylko przez autorkę o mistrzostwo detalu, ale wprowadzają nas one w specyfikę odczucia świata przez podmiot przeżywający. Poetka, po pierwsze, stara się wynieść z tych lat zdziwienie dziecka w oglądzie świata i, po drugie, podział rzeczywistości na strefę światła i cienia, sacrum i profanum.

sad pełen jabłoni

*pamiętam każdą jabłoń
na którą udało się wspiąć*

*na górze pomiędzy konarami
czuło się wolność i było święto*

*z liturgią smaków i zapachów
lepiej żywicy i malinówek*

*zielonopurpurowe liście
przyjmowały spowiedź –*

*nastawał czas ulgi podobnej tej
gdy gałąź oddaje owoc trawie*

*dzisiaj po szczeblach dni
schodzę do tamtego sadu
coraz głębiej*

i głębiej

(s. 10)

Kolejne wiersze w tomiku dotyczą innego rodzaju przeszłości – utraconej miłości, utraty najbliższej osoby. Ale tylko dotyczą. Na plan pierwszy wysuwają się problemy egzystencjalne – przemijania, śmierci, sensu bolesnych przeżyć, wreszcie sensu życia. Autorka delikatnie maluje swój pejzaż egzystencjalny, napomyka, otwiera nowe przestrzenie, nie wygłasza prawd „pro publico bono”. Jej widzenie tej problematyki otwiera się w głąb.

drzewo

*życie jest drzewem któremu słoje czasu dodają mocy
a wody podziemne łagodzą suchość w ustach gałęzi*

*jestem życiem więc jestem drzewem
w które wbito gwoździe – schody do katedry
po których wspiąć się możesz na najwyższą z wież*

*jestem życiem w które wbito gwoździe więc jestem
drzewem dla ciebie*

(s. 28)

Bardzo zapadły mi w serce wersy A. Machada: *Pod błękitem zapomnienia święta woda / nie śpiewa niczego – ani twojego imienia, ani mojego*. A J. Osewska w „Śnie o rzece” mówi:

*tylko obdarzeni pozostają w pamięci
kształtów słów i obrazów
po innych wiatr zmiata popiół nijakości*

(s. 30)

Nie jest to powierzchowna wiara w pamięć o człowieku, w „duchowej” przestrzeni świata „obdarzeni” odbijają się naj-

bardziej wyraziście, nawet gdyby ich imię przeminęło, tak to rozumiem.

I wreszcie metafizyka tych wierszy:

*metafizyka tej ciszy
obala teorię bezwzględności świata
formułę wyczerpaną*

(s. 12)

*świat jak Ty umiera każdej jesieni
i każdej wiosny czci Twoje narodziny
a człowiek biegnie – biegnie – i biegnie...
wystarczy zaczerpnąć ze źródła krajobrazu
choćby naparstkiem ciszy by stanąć
twarzą w Twarz*

(s. 36)

Natura, byt, człowiek mają swoją duchową ośnowę, w niej spełnia się sacrum.

Te wiersze obejmują swą treścią nie tylko naturę, także kulturę, zdążają bowiem do pełni odczucia człowieczeństwa. Bardzo wzruszył mnie wiersz „Kobieta w sukience zapinanej z tyłu na guziki”. Kobieta, po utracie mężczyzny, symbolicznie „żegna” sukienki zapinane z tyłu na guziki (odpięty guzik – ostateczna bliskość!) *aż do czasu przyszłego*.

Te wiersze, celebrując przeszłość, otwierają się na przyszłość. A nam dostarczają wysokiej miary przeżyć estetycznych. Nieczęsto zdarza się bowiem obcowanie z poezją tak wysokich lotów.

Irena Słomińska

Janina Osewska, *Do czasu przyszłego*, Tikkun, Warszawa 2007.

„Factum est” Andrzeja Strumiłły

Pierwszy zapis w opasłym tomie „Factum est” Andrzeja Strumiłły – opatrzony jest datą 29 września 1978 roku, ostatni – pierwszego listopada roku 2006-tego. Ponad 400 stron formatu A-4, po dwie kolumny na każdej stronie, zapiski z ponad 28 lat życia. I to jakiego życia – chciałoby się powiedzieć. Wystarczyć by go mogło na dwa, trzy, a może i cztery ludzkie jestestwa. I nie na 28, a może i na 50 lat. Ale nie w liczbach tkwi wartość wydanej przez łomżyńską „Stopkę” książki.

Zapiski profesora Strumiłły są prawdziwe, szczere aż do bólu, nieskrępowane świadomością pisania dla potomnych – bez napuszonego krygowania się przed czytelnikiem; te zapisy pękają życiem we wszystkich jego barwach, odcieniach i stanach.

To niemożliwe, by jeden człowiek mógł to wszystko przeżyć – to pierwsza myśl, jaka pojawia się po lekturze tej książki – bo przecież nie można żyć tak intensywnie, tak bardzo w biegu, w ciągłym pośpiechu, w pięciu czy siedmiu światach, nie w jednym – wymiernym – a w kilku – niewymiernych czasach.

To niemożliwe, by jeden człowiek miał tyle energii, by w każdym z tych światów i w każdym z tych czasów angażować się tak do końca, tak zupełnie, bez wytchnienia i bez wyrachowania.

I co najbardziej w tym wszystkim niemożliwe wreszcie – jak w takim tempie wytrzymać tyle lat. Jak wiele trzeba mieć w sobie „siły życia”.

Dzienniki profesora Strumiłły to jednocześnie obraz i człowieka – i czasów, w jakich przyszło mu żyć i tworzyć. Choć swoje notatki autor rozpoczął późno – bo w wieku 50-ciu lat, wielokrotnie na stronicach „factum est” powraca do czasów dzieciństwa i młodości, do losów swoich przodków, szczególnie ojca zamęczonego przez NKWD.

Czas tych zapisków to Polska końca lat 70-tych, czas strajków i Solidarności, stanu wojennego, później Okrągłego

Stołu i wolnych wyborów, dalej lata 90-te, upadek muru berlińskiego, wreszcie niepodległość Litwy.

Jeden z ciekawszych wątków tej książki to okres pobytu autora w Nowym Jorku związany z pracą na rzecz Organizacji Narodów Zjednoczonych.

I wreszcie Maćkowa Ruda – to miejsce – jak pisze autor – ostatnie. Remont domu, sadzenie drzew, konie...

Dzienniki Strumiły – autora uważnego i otwartego – to kronika dziejów świata, Polski, Suwalszczyzny – ale i takich miejsc jak Niedźwiedzi Róg, czy Maćkowa Ruda. To także kronika ludzka – jest w niej miejsce i dla cieśli czy leśniczego z pobliskiej wsi, jest i dla Miłosza, i dla wielkich tego świata.

Gdyby spróbować wyliczyć choćby wszystkich gości Maćkowej Rudy – wyszłaby z tego osobna książka.

Wyłania się z tych zapisków obraz człowieka niezwykle silnego, upartego i zdeterminowanego, pełnego pomysłów, człowieka niezwyklej energii, wiary i mocy – ale i wątpliwości, świadomości nieuchronności życia. Widać to szczególnie w momentach trudnych – jak choćby wypadek żony.

28 lat, ponad 400 stron, setki ludzi, tysiące kilometrów przejechanych w nieustannym pędzie życia.

I ta niegasnąca wiara w człowieka, w sens twórczości, w to – że warto być w życiu aktywnym. Factum est – stało się. Gdyby nie te zapiski – o ile uboższa byłaby nasza wiedza o człowieku.

Dziękujemy, panie profesorze.

Wiesław Szymański

Spis treści:

Anna Markowa

W atelier „Rembrandt”	3
Modern - retro	4
Jeszcze trwa ta niedziela	5
Zamieszkali w albumie	6
Krótko trwało	7
Gdzie	7
Ślady	8
Obecni inaczej	9
Epilog - Prośba	10

Wiesław Szymański - Pożegnanie Anny Markowej	11
---	----

Jan Leończuk

* * * szukam Panie tej jedynej drogi	13
* * * tęsknoty jak drzewa o wiosnie... ..	13
* * * dotknie i skaleczy... ..	14
* * * zwątpilem w swoje kości... ..	14
* * * szukając dla dłoni ciepła... ..	15
* * * zapisuję dzieciństwo... ..	16
* * * zanim Twój oddech... ..	17

Ewa Alimowska

Cisza	18
Graale	19
Lubię... ..	20
Do synka	21

Janusz Taranienko

* * * całkiem niedawno... ..	22
wypowiedź; z niepamięci	23
* * * dziękuję ci dziękuję... ..	24
papierosowo, tu-tam na balkonie	25

Leonarda Szubzda	
Gruszy z ulicy Grodzieńskiej	26
W Puszczy Knyszyńskiej	27
Kasztany z ulicy Sikorskiego	28
W Różanymstoku	28
Mizar	29
Joanna Papuzińska	
Suchowola	30
Janina Kozak-Pajkert	
Cykl „Zaduszki”	31
1. Moi bohaterowie powszedni	31
2. Duchy	32
Ukochani poeci	33
Małgorzata Dobkowska	
Amazonka	34
Modlitwa (Obrazki łódzkie)	35
Cykl ogrodów	36
Szeptę mu na ucho	37
Elżbieta Michalska	
Świniobicie	38
Halina Kabac	
Wnętrze	39
Spotkanie	39
Wieczorny spacer po lesie	40
Pożegnanie na skraju lasu	40
Zbigniew Patryk	
List	41
Za Tobą	42
Po Twojej śmierci	43
Różnica w pisowni	44
Krzysztof Dąbrowski	
Byłem, Jestem i Będę	45
Wędrówka	45
Otchłań	46
Koniec	46

Agnieszka Krotke	
1. Gardenie	47
2. Rzeźby z drewna	47
3. Do nieznanego	48
4. Monolog	48
Regina Kantarska-Koper	
Niepokój	49
Lęk	50
* * * kiedyś byłam poetką... ..	51
* * * Czy w wieczności nadal... ..	52
Irena Słomińska	
* * * za mało było ciebie zbyt łagodnie... ..	53
* * * tak umierałam przez kilka... ..	54
* * * przypisani do tego domu... ..	55
Codziennosc	56
* * * ja brzoza... ..	57
* * * Boże zachowaj nas dla litości... ..	58
Irena Grabowiecka	
* * * sikorko z mojego snu... ..	59
* * * Nad Dolistówką wstaje dzień... ..	60
* * * Rozsiadło się miasto nad Białą... ..	61
Janina Puchalska-Ryniejska	
Pod niebem Podlasia	62
W Puszczy Knyszyńskiej	63
Z wiatrem... ..	64
Katyń	64
Katarzyna Drzemicka	
Zapisane	66
Poukładane	66
Zakończone	67
* * * Białą opłatek... ..	67
Roman Kowalewicz	
Kolorowe złudzenia	68
Cisza	68
Dęby	69

Barbara Lachowicz	
* * * Sylwester w deszczu...	70
* * * Róża październikowa	71
* * * Myśl śnieżnobiała...	71
* * * Jedna chwila...	72
Krystyna Gudel	
* * * pod rzęsą...	73
W ciszy	74
O niesłyszących	75
Zmęczone oczy ulicy	75
Joanna Dawidziuk	
* * * Ktoś powiedział...	76
Adwent	76
* * * zbierała krople w dłonie...	77
* * * W świętej stajence...	77
Mój Boże...	78
Joanna Pisarska	
Okno	79
Wojciech Załęski	
Czy jest tamten świat?	87
Zegar z ulicy Zgierskiej	89
Andrzej Wydmіński	
Przebiśnięg	91
Jan Filewicz	
Niebo Podlasia	95
Maj na Podlasiu	96
Wiosna na Podlasiu	96
Ziemio podlaska	97
* * * ocalmy piękno...	97
* * * W wierszach z Podlasia...	97
Joanna Pisarska	
Droga Krzyżowa	98
W ranach Twoich	98
Matka	99
Cyrenejczyk	100

Marek Dobrowolski	
Dwie...	101
* * * Było ciemno...	102
Tomasz Wilga	
Jezus bezdomny	103
* * * spieszmy się...	103
* * * przed laty...	104
Tęsknota	104
* * * wyciągam dłoń...	104
Józef Budziński	
* * * Dzisiaj w nocy...	105
* * * Napisałem wiersz...	105
* * * Mój wiersz...	106
* * * Przed moim domem...	106
Zofia Maria Dembińska	
Anioł od wierszy	107
Wiersz	107
Jabłonie	108
* * * Macierzyństwo przyfrunęło...	108
Wesele	109
Z dworca	109
Julian Dworakowski	
Pamiętajcie, drzewa	110
Przykazanie zieleni	110
Teodor Sokołowski	
Lecą liście	111
Elżbieta Skąpska	
Twórco tęczy	113
Spojrzenie w Wielobyty	114
Sprężyna dnia	115
Eugeniusz Szulborski	
Moja Matka	116
* * * Długo czekałaś...	117
* * * Kamień z kamienia...	118

Konkursy

IV Otwarty Konkurs Poetycki Majowej Konwalii	119
Konkurs poetycki „O Srebrne Pióro MDK”	127
Roman Kowalewicz	
Aniołki	142
Marek Kurasz	
O ironio losu	146
Janina Kozak-Pajkert	
Siostry z wyrokiem (z tomu „Atomówka”)	155
Julian Dworakowski	
W kropli	160
Stanisława Suszyńska	
Opowieść o partyzanckiej miłości	164
Anastazja Banasiak	
Przed świtem	168
Regina Kantarska-Koper	
Moje Wigilie	172
Wiesław Szymański	
Stary kalendarz	177
Jedenaście linijek	178
Dotykanie i mówienie	178
Janina Osewska	
nad Wilenką	179
w kawiarni na Wielkiej	179
wileński Montmartre	180
wileńskimi zaułkami spacer w deszcz	181
Janusz Sowiński	
Ojciec	182
Dni odchodzą	183
Nie gaś	184
Najpierw	184

Mateusz Kołos	
Po wojnie	185
Wiosna	185
Wyobrażenia	186
Dariusz Tichoniuk	
* * * Niepostrzeżenie...	187
* * * Zmrużone ślepie latarni...	187
* * * deszcz i słońce...	187
Zofia Piłasiewicz	
Gra w Go - wiersz podróżny	188
* * * Zanurzam nogi w górskim potoku...	189
* * * Przez rozchylone zasłony...	190
Dawid Klepałło	
fututio	191
pocztówka o nieból	191
hamartia	192
art	192
Anna Krot	
* * * Zamykam ciebie...	193
* * * Mówisz...	194
* * * Odchudzam myśli...	195
Kamil Dąbrowski	
i obrót na trzy	196
flamenco	196
papier-mâché	197
listy z iwo jimy	197
solaris / polaris	197
Eligiusz Buczyński	
to będzie wiersz pierwszy	198
rozgrzany	199
rozmowy o sztuce intymnej	200

Z „Poczty Literackiej” Radia Białystok

Ewa Kondraciuk

ideał	201
cykl	201
zaćmienie	201
zawczasu	202
deja vu	202
zapięta	202
jestem snem	203
jestem drzewem	203
przystanek	203

Kamila Korobkiewicz

Gorzki smak wolności	204
Liścia pamięci żałobny rapsod	205
Telefon	205

Iwona Gołko

* * * ona ucieka gdy kot drapie chmurę... ..	206
* * * szalas czerstwi Twą młodość... ..	206
* * * Dwadzieścia sześć lat ma warkoczek... ..	206

Piotr Balkus

Sierpień	207
długopiszept	207
Zniknięcie	208
Chciałbyś iść... ..	208

Bogdan Jankowski

Zamyślenia	209
------------------	-----

Juliusz Szczęsny Batura

„Czterdzieści i cztery”	219
-------------------------------	-----

Przekłady

Iorgos Gotis

Historia naturalna (w tłumaczeniu Agnieszki Krotke)	236
--	-----

Hatif Janabi	
Wzgórze	240
Westchnienie ciała	241
Żar południa	242

Recenzje

Irena Słomińska	
Kilka uwag na marginesie „Zapisków”	
Jana Leończuka	244
Irena Grabowiecka	
Między słowem a... ..	247
Irena Grabowiecka	
I dokąd ta droga... ..	250
Krzysztof Gedroyć	
Wcielenia Małgorzaty. Codziennosc, nieskończoność, przestrzeń	254
Elżbieta Cichła-Czarniawska	
Wiersze – „wypatrywania”	256
Irena Słomińska	
„Rozmowa z cieniem”	
Eugeniusza Szulborskiego	260
Eugeniusz Szulborski	
Zamiast recenzji	264
Irena Słomińska	
Czas przeszły otwierający się	266
Wiesław Szymański	
„Factum est” Andrzeja Strumiły	269

Epea . J.7

Książnica Podlaska

im. Ł. Górnickiego w Białymstoku



KP-CzC-0013413

ISBN 978-83-60368-02-2